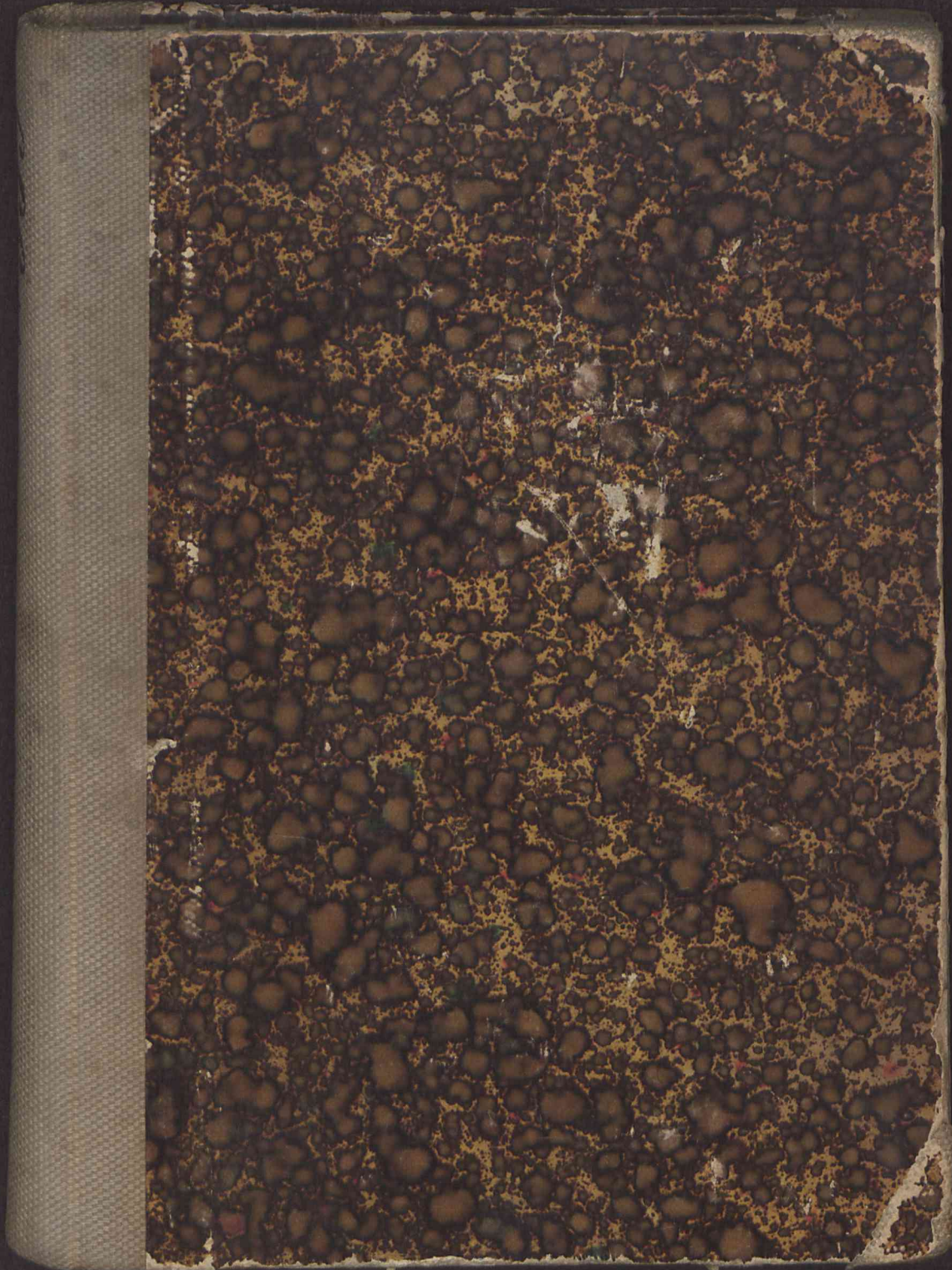




Okólnik Komisji Klimatycznej L. 74.

„Wzywa się P. T. Publiczność, by donosiła wypożyczalniom książek o domach, nawiedzonych chorobą zakaźną, celem wstrzymania wydawania książek do tych domów.

Kontrolę w tym kierunku prowadzi się będzie z urzędu“.

PRZESTROGA.

Książka może być łatwo przenosicielką gruźlicy i ostrych chorób zakaźnych.

By uniknąć zakażenia :

Oblóż okładkę czystym papierem.

Nie odwracaj kartek poślinionym palcem.

Po skończonem czytaniu myj ręce dokładnie mydłem, lub lepiej rozczyneń lizolu.

Gdy kaszlesz, oddal książkę od siebie.

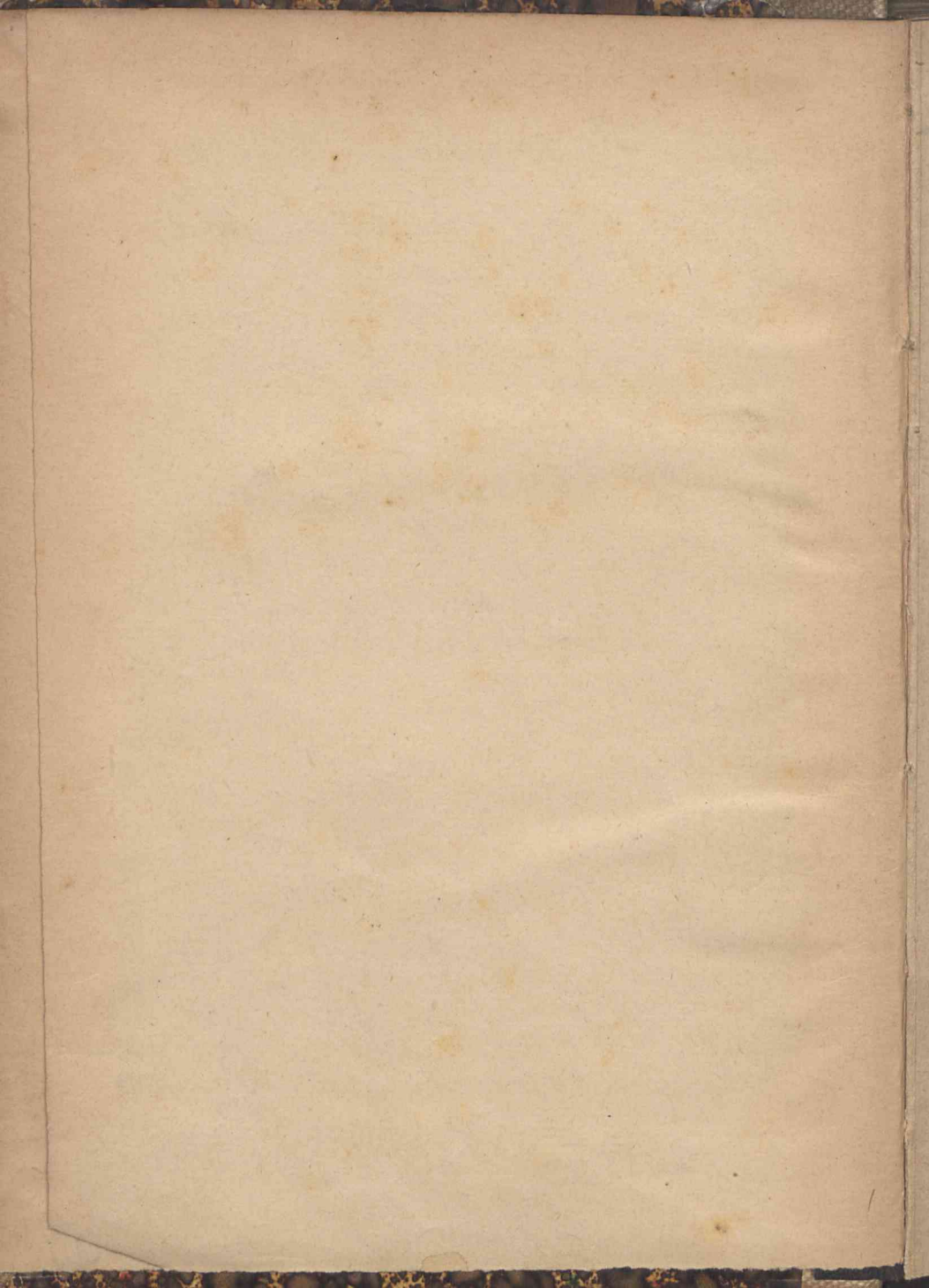
Pamiętaj, że chroniąc siebie, chronisz bliźnich!

O łaskawe zastosowanie się do powyższego rozporządzenia prosi uprzejmie

KSIĘGARNIA L. ZWOLIŃSKIEGO.

13/1876/1

1753



BIAŁY GRZEGORZ.

SZKIC HISTORYCZNY

PRZEZ

Jana Nepomucena Czarnowskiego.

Tom II.



WARSZAWA.

Nakład **A. Pajewskiego**, ulica Niecała № 12.

Druk i Lit. **F. Kasprzykiewicza**, Miodowa № 6

1900.

1033284



884-3

091326

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 18 Октября 1900 года,

MAGAZYN

Dolnośląska Biblioteka Publiczna
we Wrocławiu



14301-100275325

D22-30.18.25

ROZDZIAŁ I.

Zachodzące słońce, oświecając ostatnimi promieniami wierzchołki drzew po nad drogą, rzucało ponure cienie na karcznię Judki, do której zmrok już zaczynał się wkradać. Za stołem, zastawionym kwartami i cynowami kuflami, siedział żyd, na jego chudej twarzy malowała się niecierpliwość i zamyślenie, głowę wspartą trzymał na obu rękach, przysłuchując się z pilnością najmniejszemu szelestowi, często iskrzące swoje oczy zwracał na drzwi, ale tych nikt nie otwierał. W drugim końcu izby siedziała siedmnastoletnia dziewczica, jej jasno błękitne włosy porządnie ułożone, czyste suknie i nadzwyczajna piękność, stanowiły rażącą sprzeczność z brudną odzieżą żyda, i rozczochranymi, czarnymi jego pejsami. Błękitne oczy dziewczyny spuszczone były na ziemię, znużenie malowało się w całej jej postaci, oblicze pokrywa śnieżna bladeść, którą tylko różowe usta łagodziły nieco. Czasami ciężkie westchnienie wyrywało się z łona dziewczicy, wtedy mocniejszy rumieniec występował na jej oblicze, wielka łza błys-

kała w oku, wzniesionem do nieba, i obie ręce przytłaczały łono.

Żyd z bacnością zwrócił na nią wejrzenie.

— Zuzanno, co tobie jest? — zapytał po polsku — czy ci się tu nudzi?

— Nie — odrzekła dziewczica — lecz już słońce zachodzi, a Tomasz nie przybywa, [zapewnie udał się na łowy, jestem niespokojną o jego życie, bo bardzo często który z naszych zostaje w lesie na zawsze; a inni mówią, że zwierz go zabił.

— Więc tak za Tomaszem wzdychasz? — zapytał żyd, uśmiechając się dwóznacznie, i wpoił w oblicze dziewczyny badawczy swój wzrok.

Zuzanna spuściła oczy.

— Bądź spokojną, nie mu się złego nie stanie, niedługo zapewne przybędzie do mojej gospody, mamy konieczną potrzebę widzenia się z sobą, a potem nie zostawiłby tu ciebie.

— Mówił, że wróci zaraz po południu, już wieczór a jego niewiadać, ja pójdę sama do domu.

Wtem na gościńcu dał się słyszeć męzki śpiew.

— To nasi — zawołał żyd.

— To Tomasz! — rzekła Zuzanna, i oboje pobiegli naprzeciw przybywającemu.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł męczyzna, mający około czterdziestu pięciu lat, niski, barczysty i silny, rumiane jego oblicze otaczał czarny zarost; długie włosy jak u wieśniaka wypływały z pod baraniej czapki, a czerwony pas obciągał około jego muskularnego ciała granatową kurtkę.

— Otóż i on! — zawołał żyd — cóż tak późno, przyjacielu?

— Interesa — odrzekł wesolo przybyły — ważne interesa mnie zatrzymały, trafia nam się śliczna gratka.

— Cóż takiego? — zapytał Judka, a oczy jego zabłyśły niezwykłym ogniem.

— Powiem ci wszystko, tylko mi każ dać z półkwaterek gorzałki.

— Pójdź, pójdź druhu, moja duszo! — mówił żyd i, wzięwszy Tomasza za rękę, zaprowadził do przyległej komory, która była zarazem składem trunków.

Po ich odejściu Zuzanna znów usiadła na dawnem miejscu i, wsparłszy palającą główkę na rękę, zdawała się wyglądać oknem.

— O mój Boże! jakiż on był piękny, jak jego głos miły, wejrzenie łagodne i czyste, ani podobny do Grzegorza i jego towarzyszy! — mówiła w zamyśleniu sama do siebie Zuzanna — już miesiąc mija, jak go nie widziałam, codzień wybiegam do lasu w to samo miejsce, gdzie go pierwszy raz widziałam, gdy, snem ujęty spoczywał, znużony polowaniem... tak był ładnym, śpiąc, a jednak przeleżałam się i krzyknęłam, aż mój głos go zbudził... O pamiętam do dziś te niezrozumiałe wyrazy, które wyrzekł. kiedyś zaczęła uciekać. „O Boże, czyż anieli mieszkają na ziemi, zatrzymaj się, moja miła“. Stałam na jego słodki głos, on zbliżył się ku mnie, serce biło mi tak mocno, on wziął za rękę, zapytał o imię, rozmawiał długo i nareszcie chciał odprowadzić do domu, lecz prosiłam, aby nie czynił tego, bo Grzegorz zakazał mi pokazywać komukolwiek nasze

mieszkanie. Całą noc śnił mi się piękny strzelec, a nazajutrz wyszłam do lasu i w temże samem miejscu spotkałam Kazimierza, tak było przez pięć dni... tylko przez pięć dni! — powtórzyła z ciężkiem westchnieniem dziewczica. — Kiedy ostatni raz żegnał się ze mną, powiedział mi: „może nie prędko zobaczymy się, Zuzanno, bo jadę do ojca, do Misuryna, lecz pomyśl czasem o Kazimierzu Śladkowskim“... O ja ciągle o nim myślę i myślałabym nawet bez jego prośby! lecz dlaczego tak przykre jest dla mnie jego oddalenie, wszak tylu towarzyszy Grzegorza opuściło go, nie wróciwszy z łowów, a nigdy mi tak tęskno nie było!..

Wtem zdawało się dziewczycy, że usłyszała wymówione znajome sobie nazwisko, płomienisty rumieniec oblał jej oblicze, pulsa śpiesznie bić zaczęły, Zuzanna zerwała się z ławki, przybiegła do drzwi od komory i zaczęła się przysłuchiwać rozmowie żyda z Tomaszem.

— Dlaczegoż tak skwapliwie śpieszą pognać starostę — zapytał Judka — wszak on i tak jest uwięzionym i niełatwo zdoła się uniewinnić.

— Owszem jak najłatwiej, bo jakiś nieznany, a możny protektor wspiera go u króla i hetmana, a może uda mu się wykryć jego prawość, dlatego nasi panowie wezwali nas o pomoc.

— Ach rozumiem, i chcą dla przekonania o występku Śladkowskiego nakłonić lud Ukrainy do obwołania go swym naczelnikiem.

— Tak, wtedy, jako naczelnik buntu, zostanie na śmierć skazany.

Na te wyrazy Zuzanna zadrżała całym ciałem; zdawało jej się, że już widzi śmiertelny cios, wiszący nad głową Kazimierza, bo jego jednego tylko znała pod tem nazwiskiem.

— O Boże — zawołała — on umrze, jeżeli go nie ostrzegę, lecz jak to uczynić potrafię, nie wiedząc, gdzie się teraz znajduje!

I usiadła na ławie i, podparłszy głowę na obu rękach, utonęła w zamyśleniu, lecz w kilka chwil zerwała się nagle i rzekła:

— Ach, prawda, on mi powiadał że udaje się do Misuryna, do ojca! pobiegnę tam, choćby to było najdalej i ostrzegę go o wiszącym nad jego głową niebezpieczeństwie! — A powstawszy, postąpiła ku drzwiom, lecz na progu się zatrzymała; — nie, teraz nie pora, moje zniknięcie zwróciłoby ich uwagę, może domyśliliby się jego przyczyny, udali za mną w pogoń i przytrzymali, tem powiększyłabym niebezpieczeństwo Kazimierza, ale w nocy, gdy wszyscy posną, wyjdę i udam się do Misuryna.

W tej chwili Tomasz z żydem wyszli z komory. Na twarzy pierwszego widać było zadowolenie i spokojność, mimo zarumienienia, będącego skutkiem kilku półkwartków gorzałki, lecz lice Judki było ożywione, iskrzące oczy biegały jeszcze żywiej, niż zwykle, brwi były zmarszczone, choć uśmiech osiadł na ustach, a wszystkie ruchy ciała oznaczały jakieś niezwykcyjne wzruszenie.

— No, do widzenia, żydzie! — zawołał Tomasz — słońce zachodzi, czas do domu, przytem potrzeba dziś

spocząć, bo jutro ruszam w drogę aby dopełnić prośby *naszych panów*, a pojutrze wracamy obadwa...

— Zgoda, mój bracie, zgoda.

— Powrócimy oba na złotych! wozach, mój karczmarzu, wtedy dukatami będę ci płacił za każdy półkwaterek gorzałki! Tak, żydzie, tak... cóż tak na mnie wytrzeszczasz oczy? czy nie wierzysz? do kroćset tysięcy!...

— O, broń Boże, wierzę, wierzę — odrzekł żyd.

— Więc milcz — zawołał rozmarzony trunkiem Tomasz — bo, gdyby mi się nie śpieszyło, to bym cię tu nauczył śpiewać. I zataczając się, wyszedł z izby, wsiadł na konia, posadził przed sobą Zuzannę i pojechali w las.

Już noc zapadła, gdy rumak Tomasza, znużony podwójnym ciężarem, stanął przed ruinami, gdzie mieszkała banda Białego Grzegorza. Jeździec zsiadł z konia, zeskoczyła i Zuzanna, potem wyjął z za cholewy małą piszczałkę i wydobył z niej przewlekłe świśnięcie. Natychmiast odłam muru, zdający się być kupą gruzów, porosłą chwastem, usunął się wewnątrz i odkrył wygodne wejście do podziemia.

— Czy wódz już śpi, Mańkucie? — zapytał przybyły trzymającego straż u wchodu.

— Nie wiem, lecz rozkazał ci oznajmić, że jutro zdasz mu rachunek z twej podróży.

— Nic nowego nie zaszło w czasie mej nieobecności?

— Zupełnie nic — odrzekł szyldwach i wolnym krokiem oddalił się od nowoprzybyłych.

Tomasz wpuścił naprzód konia, potem wszedł z Zuzanną na długi korytarz, oświecony wiszącą u sklepienia lampą, po obu stronach tego podziemia było mnóstwo drzwi, niektóre zamknięte żelazną kratą, inne okutymi żelazem podwojami. W pierwszych po prawej ręce była ogromna sala w której stało kilkanaście koni, tam zaprowadził i Tomasz swego bieguna. Zuzanna zajmowała małą komnatę w samym końcu korytarza.

Już milcząca noc owładnęła całą okolicę; martwa cisza nastała w podziemiu, znużeni towarzysze Grzegorza spoczywali snem twardym, Zuzanna tylko czuwała. Pozostawszy sama, otoczona cichością i milczeniem nocy w ciemnem swoim mieszkaniu, puściła wodze uczuciom, jakie zrodziły się w jej dziewiczym sercu po wypadkach dnia tego. Długo zmuszona była taić cierpienia, dręczące jej duszę, starała się być spokojną i wesolą w towarzystwie Tomasza, choć serce jej szarpała niespokojność o los ukochanego, cierpiała bez szemrania męczarnie tortur, ponieważ czuła w swej duszy dumę ze swej miłości, która jej siłę dodawała. Lecz teraz, gdy nikt jej nie mógł widzieć, ani słyszeć, upadła na kolana, a zakrywszy oczy rękami, zapłakała temi świętymi łzami przed Bogiem, jakimi tylko płaczą dzieci i niewinni.

Długo zostawała w tem położeniu, już lampa dopalała się, gdy powstała i bojaźliwie, spojrzawszy dookoła, zaczęła się uważnie przysłuchiwać, potem zwolna uchyliła ciężkich podwoi i wyszła na długi korytarz.

Wszystkie drzwi były poprzymykane, kaganiec, wiszący u sufitu zagasł, lecz przez mały otwór w skle-

pieniu jasne światło księżyca, padając na posadzkę, oświeciło nieco podziemie. Szyldwach, wsparty o ścianę, drzemał spokojnie. Zuzanna cicho przytknęła drzwi, przy słabem świetle gasnącej lampy związała w chustkę swoje ubiory i wyszła na korytarz.

Zwolna i z ostrożnością spuściła kaganiec, wiszący na korytarzu u sklepienia na dosyć grubej linie, i z lekkością kotki wspięła się po niej do otworu, ³będącego w pułapie, potem wypchnęła na zewnątrz niewielki kamień i, powiększywszy tym sposobem otwór, wysunęła się nim na dwór. Noc była piękna, księżyc, otoczony, milionami migających gwiazd, oświecał swym srebnem blaskiem wierzchołki drzew nieprzejrzaną puszczy. Wokoło panowała uroczysta cisza, a lekki wiaterek zaledwie poruszał liśćmi. Zuzanna spojrzała wokoło siebie, jakieś tęskne uczucie napełniło jej duszę, jej męztwo zachwiało się, miała opuścić miejsce, gdzie się wychowała, gdzie wzrosła, opuścić je, aby zdradzić tego, który był dla niej ojcem.

Okolice nigdy nie zdawała jej się tak piękną. Tu, wśród ruin, szeregi wzniosłych arkad podobnych do grona wysmukłych dziewic, trzymających się za ręce, zdawały się zastępować jej drogę, pragnąc odwieść od zamierzonego czynu, tam olbrzymia kolumna do wpół zwalona i obrosła bluszczem, podobna do schyłego umartwieniem brodatego starca, tam znów szczątki dwóch baszt, u wierzchołku których jeszcze wiszą resztki łączącego ich mostu, podobne do dwojga kochanków, wyciągających do siebie pożegnalne ramiona. Zuzanna oczarowana tak wspaniałym widokiem zakryła

oczy, wspomniała sobie swego opiekuna, drugiego ojca, Grzegorza, wspomniała Kazimierza i postanowiła być niewdzięczną — lecz mogło stać się inaczej.

Zerwała się śpiesznie i zaczęła uciekać w las, nie śmiejąc spojrzeć po za siebie, po półgodzinnym przeszło biegu zatrzymała się, aby odetchnąć, powiodła błędnym wzrokiem wokoło, już ruiny Balaklaju znikły jej z oczu, gwiazdy na niebie zbladły, a przez gałęzie drzew zaczęło się przedzierać białe światło poranku.

Nieszczęśliwa została teraz bez domu, opiekuna, przyjaciela nawet, bo tego, dla którego opuściła Grzegorza, dla którego po raz pierwszy w życiu stała się występłą, niewdzięczną, nie śmiała nazwać tem drogiem imieniem.

Odpucawszy chwil kilka, powstała i zaczęła iść śpiesznie, obawiając się pogoni ze strony Grzegorza. Gdy wyszła z lasu, już słońce wzniosło się znacznie nad horyzont, w oddaleniu ujrzała zabudowanie wiejskie i zboczyła w pole, lękając się widoku ludzi, gdyż здавало jej się, że każdy wyczyta na jej czole występek, każdy domyśli się celu jej ucieczki. W południe upał słońca był tak dokuczający, iż dziewczica, znużona wysileniem ciągłego biegu, zemdlona upadła nadedrogą. Tego dnia Zuzanna nie brała żadnego pożywienia, ruch podwoił siłę trawienia, przeto głód zaczął jej dokuczać.

Słońce zbliżyło się ku zachodowi, powietrze nieco się ochłodziło, dziewczica odzyskała przytomność, i otworzywszy oczy, ujrzała wokoło siebie kilku wieśniaków i kobiet, dziwujących się zapewne jej zjawieniu w tych

stronach, którzy, domyślając się z jej ubrania, osądzili ją za osobę wyższego stanu.

— Zkąd jesteście, panieneczko? — zapytał najstarszy z pomiędzy włościan — dokąd dążycie?

— Do Kazimierza Śladkowskiego — wymówiła prawie mimo woli dziewczica, gdyż to nazwisko jedynie panowało w jej umyśle, wśród chaosu wrażeń.

— Do pana starosty, ho, ho, ho! to bardzo daleko.

— Więc wy go znacie, dobry człowieku! — zawołała Zuzanna, wstrząśnięta całą tą szczęśliwą wiadomością.

— Ać przecie tośwa słyszeli, że on miał zdradzić króla i za to wzięli go do więzienia.

— Więc już wszystko przepadło!.. ależ on jest niewinny, ja wiem o tem, fałszywie go oskarżono!

— Toć tam król lepiej o tem będzie wiedział, bo on mądrzejszy od nas wszystkich.

— A gdzie mieszka ten król? powiedzcie mi, ja pójdę do niego i powiem, że Śladkowski jest niewinny, bo ja wiem wszystko!

— O moja panienko, król mieszka w Warszawie, a Warszawa to tam gdzieś za morzem, bardzo daleko.

— Mój Boże, i cóż ja uczynię aby odkryć fałsz.

— Pan starosta ma młodą córkę i syna, którzy zapewne mieszkają w Misurynie — odezwała się jedna z kobiet — to możecie im oświadczyć to samo, cobyście jemu samemu powiedzieć chcieli.

— Ach więc zaprowadźcie mnie do Misuryna, oddam wam wszystko, co tylko mam, te moje suknie, ten

pierścień, on ma bardzo wiele kosztować!.. i z rezygnacją rzuciła im cały swój tłumoczek.

Wieśniacy zaczęli go przeglądać.

— Ach, Jezusie Marya, jakaż to ładna chustka! — zawołała jedna z kobiet — a to jak książęca, to nasza pani takich nie nosi! O mój Marcinie, ja muszę mieć tę chustkę, zawieź tę panienkę do starosty.

— Czyżes ty odurzała, czy co? a to jabym ze trzy dni musiał zmarnować w podróży, do Misuryna taki sztuk drogi.

— Patrzajże, Marcinie, jakie to ładne! ja ci mówię, że muszę mieć tę chustkę, a potem Marta czarownica kazała nam uczynić wszystko tej młodej dziewczynie, co tylko od nas będzie żądała, czy chcesz ściągnąć jej gniew na nas i nasz dobytek?

— O zmiłuj się, zawieź mnie do Misuryna! — zawołała Zuzanna, klękając u nóg wieśniaka; — Śladkowski wynagrodzi ci twoje trudy.

— A kiedyż wy chcecie jechać? — zapytał zmęczony Marcin.

— W tej chwili, bo czas nagli!

— O, teraz noc, moja panienko, a drogi tak niebezpieczne, ci rabusie z puszczy pod Balaklajem mogą zabrać mi bydlęta.

— Cóż to za rabusie mieszkają w puszczy? — zapytała naiwnie Zuzanna.

— Co ludzi rozbijają po drogach i kradną ich mienie.

— Jam przecież tam tak długo mieszkała i nie widziałam ich nigdy?

— O niech was Bóg broni, moja panienko, żaden podróżny szczęśliwie tamtędy nie przejedzie.

— Więc zatrzymamy się do jutra — rzekła smutnie dziewczica, przypomniawszy sobie, że Grzegorz ze swoimi towarzyszami najczęściej w nocy wychodzi na łowy i może ją dognać.

— To panienczka zapewne przenocuje w naszej chacie? — odezwała się znów żona Marcina.

Zuzanna dała znak potwierdzający i wieśniacy zabrali ją z sobą do chałupy.

Po całodziennem utrudzeniu ciało dziewczicy potrzebowało spoczynku, bo zmordowane członki działać już nie mogły. Zasnęła, ale umysł nie znalazł wytchnienia. Wrażenia są duszy żywiołem, obciążona tylu przedmiotami silniej działają we śnie, który równie był niespokojny i trwożliwy jak czuwanie.

Widziała Kazimierza, otoczonego przez zdrajców, widziała cios śmiertelny, godzący w łono ukochanego, usłyszała jęk, chciała biedz mu na pomoc, błagać zbójców o litość, zerwała się i upadła przy łożu.

Dobra żona wieśniaka czuwała nad nią nieustannie, aż nadedniem Zuzanna usnęła spokojniej. Zaledwie jutrzeńka swym brzaskiem zarumieniła niebo, dziewczica już była na nogach i nagliła Marcina, aby wybierał się w drogę. Jeszcze się nie rozwidniło, gdy wyjechali z domu i, mimo wolnego kroku wołów, przed wieczorem stanęli w Misurynie.

Zuzanna kazała zatrzymać cię Marcinowi nade drogą, a sama udała się do zamku starosty.

Julja tego dnia oczekiwała brata ze stolicy z wiadomością o ojcu, była pewna, że z Kazimierzem przyjedzie i ich przyjaciel Jędrzej, który łoży tyle starań dla powrócenia im ojca, jak donosił jej brat.

O jak słodko ośmnastoletniej dziewczicy myśleć o młodym przyjacielu, dla którego serce nakazuje wdzięczność, bo czemuż jest wdzięczność w sercu ośmnastoletniej kobiety?

Dlatego starościanka tego dnia była więcej zamyśloną, więcej roztargnioną i niecierpliwą.

Słońce już skryło swe jasne oblicze za odległy las i w komnatach szary zmrok już zaczynał rozpościerać swą ponurą oponę, zaledwie różowe światło niknącego słońca, przedzierając się przez różnobarwne szyby, oświecało lica Julji, zostawiając inne przedmioty w zupełnym cieniu.

Wtem drzwi się uchyliły i jedna ze służek oznajmiła starościance, że jakaś obca kobieta pragnie z nią mówić. Julja z niechęcią kazała służącej, aby ją wprowadziła.

I po chwili, anielska postać Zuzanny z nieśmiałością ukazała się na progu. Jej powierzchowność zajeła młodą Śladkowską.

— Czego żadasz, panienko? — zapytała łagodnie, biorąc ją za córkę jakiego szlachcica.

— Boże, to on!... — wyrzekła dziewczica ledwo słyszonym głosem i jakby niedowierzając sobie, postąpiła dwa kroki ku Julji. — Kazimierzu, to ty jesteś? ach powiedz mi — zawołała, składając ręce.

— Nie... Kazimierz jest moim bratem.

— O szczęśliwaś, mając takiego brata,... ale wybacz mi, twoja twarz, twój głos, tak podobne do jego... przytem ten zmrok, napełniający komnatę, był przyczyną mojej pomyłki.

— Cóżeś panna chciała od Kazimierza?

— Kazimierza,—powtórzyła Zuzanna,—ach prawda, zapomniałam zupełnie, choć dlategom tu przyszła, dlategom uciekła z domu mego opiekuna... oszukałam mych dobroczyńców!... Ach, gdzie on jest?

Julja zarumieniona spojrzała na kibić nieznajomej, domysławiając się, że jakaś miłosna awantura jej brata przymusiła uciekać z domu tę młodą dziewczę, potem rzekła ze współczuciem:

— Żal mi cię moja droga, lecz mego brata tu niema, może wkrótce przyjedzie, jeżeli chcesz, zatrzymaj się.

— Zatrzymać się nie, nie mogę, nie powinnam, jedna chwila może stanowić o jego życiu lub śmierci.

— Co mówisz! — zapytała, zrywając się z siedzenia, Julja.

— Czy brat wasz jest starosta międzyrzecki?

— Nie, to mój ojciec.

— Ojciec? więc ostrzeż go, że źli ludzie godzą na jego życie, że chcą go oskarżyć przed królem o złe zamiary!

— Wiem o tem, już to uczynili — odrzekła smutnie.

— Jakto, tak śpiesznie! ja wczoraj dopiero wysłuchałam znowę, a mówiono, że bunt ma wybuchnąć za dwa tygodnie.

— Gdzie?

— Tego wyznać nie mogę! lecz powiem wam, jakim sposobem uniknąć niebezpieczeństwa. Twego ojca mają obwołać naczelnikiem.

— Ach!.... Kto taki?

— Żli ludzie.

— Boże! co za szkaradny podstęp! O dziękuję ci, dziękuję, moja droga! — zawołała Julia, ująwszy z zapalem w objęcia dziewczycę.

— Nie dziękujcie mi, starościanko, nie zasłużyłam na to, lecz raczej śpieszcie się, aby uprzedzić złe, ja was opuścić muszę.

— O wstrzymaj się chwilkę, przynajmniej do przybycia brata, lub Jędrzeja.

— Nie mogę, muszę iść za mojem przeznaczeniem, lecz proszę cię wysłuchaj jednej mej prośby.

— Nie powinnaś prosić, lecz rozkazuj mi!

— Nie, pani, bo ty jesteś starościanką, a ja...

— Mów, mów!

— Gdym biegła z domu, aby was ostrzedz o niebezpieczeństwie, wśród drogi opuściły mnie siły i pewien wieśniak, znalazłszy mnie bez przytomności, znużoną podróżą i wycieńczoną głodem, zabrał do swego domu, a potem przywiózł tutaj, racz wynagrodzić go pani!

— Gdzież on jest?

— Stoi tam u wrót — odrzekła Zuzanna.

A chcąc go wskazać, przystąpiła do okna i w tej chwili została jakby piorunem rażoną.

— Ach, zginęłam! — zawołała, składając ręce.

— Co takiego? — zapytała Julja.

— Patrz! tam stoi Tomasz, w domu spostrzegli moją ucieczkę, domyslili się, że ich zdradzam, śledzą mnie! To jeden z sług mego opiekuna rozmawia z wieśniakiem, który maie tu przywiózł.

— Więc zostaniesz u nas, będziesz moją przyjaciółką, moją siostrą, boś mi ocaliła ojca — zawołała Julja, ściskając z zapalem ręce Zuzanny.

— Tak, pani, będę wszystkim, co mi rozkażesz — mówiła dziewczica — będę cię kochała mocno, boś taka podobna do Kazimierza.

Wtem drzwi się rozwarły i mężczyzna niski, barczysty, z ogorzałą twarzą, dzikiem i groźnem wejrzeniem, ukazał się na progu.

— Siostro, ratuj mnie! — krzyknęła dziewczica i upadła bez czucia w objęcia nowej przyjaciółki.

— Kto jesteś? czego tu chcesz? — zapytała Julja przybyłego.

— Pani, ta dziewczyna jest moją córką, jakiś bies ją opętał, plecie, sama nie wie co, uciekła z domu, ona jest waryatką, nie wierz jej pani, jeżeli co mówiła. Wezmę ją z sobą.

Julja zmieszała się, obejście dziewczyny, jej mowa, miały jakieś cechy obłąkania, sama nie wiedziała, co czynić.

Nieznajomy tymczasem postąpił kilka kroków, schylił się do leżącej na krześle Zuzanny i, zgrzytnawszy okropnie zębami, uchwycił ją ze zwierzęcą dzikością za jej piękne, jasne włosy i powłókł ku drzwiom.

— Co ty robisz, nielitościwy człowieku! ona cierpiąca, a ty tak dziko z nią się obchodzisz i mówisz, że ona jest twoją córką? kłamiesz, nikczemniku! — zawołała z oburzeniem starościanka, pobiegłszy do dzwonka i silnie zań pociągnęła. — Wychodź ztąd, wychodź natychmiast! zostaw tę dziewczynę, ani jej się dotykaj.

— To jest moja córka.

— Kłamiesz, wychodź ztąd!

W tej chwili wbiegli słudzy Śladkowskiego.

— Czy słyszysz, masz odejść! — mówiła Julja, a nieznajomy dziko spoglądał wokoło siebie.

— Pani, zostawię twej opiece tę dziewczynę, bo widzę, że jesteś litościwą i dobrą, lepiej jej będzie u ciebie, niż w domu, na nic też mi się nie przyda w chacie, bo jest waryatką. Nie gniewaj się, bo jej ucieczka, będąc powodem tylu trosk, rozjątrzyła mnie mocno.

I wyszedł.

Po półgodzinnem trzeźwieniu przywrócono Zuzannę do życia, lecz tak była osłabioną, że nie mogła utrzymać się na nogach.

ROZDZIAŁ II.

Już kilka dni leżała Zuzanna złożona ciężką chorobą, a dobra Julja doglądała jej z całą troskliwością czułego serca. Lecz biedna dziewczyna nie mogła czuć tej zobowiązującej do niej nowiej przyjaciółki, nieraz we-



szło i zagasło słońce, a ona leżała bez przytomności, pożerana ogniem gorączki, który jak rozpalone żelazo pali zwolna i nieznosnie.

Robak nie tak szybko toczy pień drzewa, jak gorączkowy ogień wewnątrz człowieka.

Wycieńczona, blada, przebudziła się nakoniec z tego okropnego odrętwienia, które zdawało się być długim, niespokojnym snem. Usiadłszy na łóżku, wsparła swą piękną główkę na ręce i z niespokojnością spojrzała dokoła.

— Co to za pokój, gdzie ja jestem? — zawołała — ja nie tu usnęłam!

Słowa te wymówiła ledwo zrozumianym głosem, lecz dosłyszano je, ciężki adamaszkowy pawilon odsłonił się i stara kobieta wstała z krzesła, stojącego przy posłaniu.

Zuzanna zadrżała, ujrawszy to ponure oliwkowe oblicze, pokryte zmarszczkami, bo ono przypomniało jej dawnych towarzyszy, lecz łagodne wyrazy, wymówione przez starą, uspokoiły ją nieco.

— Cicho, moje dziecko, cicho, nie mów nic, bo ci to szkodzi — rzekła łagodnie.

Zwolna opuściła głowę Zuzanny na poduszkę i, odsłaniając jej jasne włosy, spojrzała na twarz tak mile, z taką dobrocią, że w oczach dziewczicy błysnęły łzy szczęścia.

Tą starą kobietą była Marta, która, lecząc w okolicy włościan od panującej jeszcze wówczas żółtej gorączki, zjednała sobie sławę głośną po całej Ukrainie.

Julja, pragnąc ocalić od grożącej śmierci młodą sierotę, wezwała lekarkę do swego domu.

— Miłe dziecko! — rzekła po chwili milczenia stara kobieta, wpatrując się ze smutkiem w oblicze Zuzanny — coby powiedziała twoja matka, gdyby jak ja, siedząc w tej chwili obok twego łóżka, ujrzała cię powracającą do życia?

— Matka, czyje to jest imię? — zapytała Zuzanna — kogo tak nazywasz? słyszałam często wymawiających to słowo, ale nie pojmuję, co ono oznacza.

— Boże wszechmocny! to biedne dziecię nie znało widać nigdy swych rodziców — rzekła cicho Marta, wznosząc oczy do nieba.

Wtem wzrok jej spotkał obraz, wiszący naprzeciw łóża Zuzanny, wystawiający kobietę w kwiecie wieku, trzymającą na kolanach niemowlę.

— A słowo stało się ciałem!.. co to znaczy? — zawołała stara z przerażeniem — to jest twarz tej młodej dziewczyny, toż smutne wejrzenie, toż samo piękne czoło, też usta, wszystkie rysy twarzy!.. co to znaczy?

— Ach czy ja ciebie obraziłam, czemu patrzysz tak okropnie — zapytała dziewczica, spostrzegłszy obłąkany wzrok lekarki.

— Nie, nie, moje dziecko, czemużbyś mnie miała obrazić? ale zdaje mi się, żeś pytała o coś? — mówiła stara, przywołując na pamięć rozpierzchnięte wyobrażenie — chciałaś wiedzieć; kogo nazywamy matką.

— Tak jest, bo ten wyraz brzmi tak miłe, lubię go powtarzać.

— Moja duszo, matką nazywamy kobietę, która nam dała życie, która nas wykarmiła, wypieęgnowała wśród tysiąca trudów, która z dobrocią i troskliwością czuwa nad nami, aż do dojścia do zupełnej dojrzałości.

— Tom ja nie miała nigdy takiej matki! — odrzekła smutnie Zuzanna.

— Nie Zuzanno, miałaś, tylkoś jej nie znała, zapewne umarła zbyt wcześnie, lecz ona z nieba czuwa nad tobą.

— Ach może, może, bo, dziś w nocy przebudziwszy się, czułam, że mi tak błogo, tak dobrze było, spójrzałam wokoło siebie i tu, na tem krześle, ujrzałam damę piękną, jak Julja, patrzała na mnie z taką dobrocią, oblicze jej zdawało mi się tak świetnem i szczęśliwem, choć lekka mgła smutku ocieniała jej czoło. Po chwili podniosła się i chciała odejść, z żalu zaledwie serce mi nie pękło, tak przykro mi było utracić widok tego pięknego oblicza, wyciągnęłam ręce, chciałam na nią zawołać, dama z dobrocią schyliła się, przycisnęła do swego łona moje ręce i pocałowała w czoło! O, co to za rozkosz tego pocałowania, to tylko ta dobra matka, o której mówiłaś, może tak pocałować!

— To gorączka moja miła! marzyłaś!

— O nie, to było na jawie, jestem pewna, że odrazu poznałabym tę dobrą damę, ale ona musi być w niebie i czuwa nademną... To moja matka, tak jest, ja mam matkę!

— Uspokój się, Zuzanno, spoczynek koniecznie jest ci potrzebny, trzeba, abyś, zasnęła jeżeli nie chcesz dłużej chorować.

Dziewczyna zamilkła, bo pragnęła we wszystkim być posłuszną staruszcze. I wkrótce zasnęła.

Minęła noc, młoda dziewczica często się przebudzała i, przypominając sobie wszystko, co z nią mówiła Marta, gorąco się modliła i prosiła matkę w niebie, aby czuwała nad nią i jej Kazimierzem. Nareszcie zasnęła tym mocnym spokojnym snem, który przynosi ulgę cierpiącym.

Już było widno, gdy Zuzanna otworzyła oczy; czuła się tak swobodną, tak szczęśliwą — pomyślnie zniosła przesilenie i na nowo na świat powróciła.

Nazajutrz po owej uroczystej nocy, w której Zuzanna uległa przesileniu, weszła Julja do komnaty młodej swej przyjaciółki i cicho zapytała Martę:

— Jakże się ma?

— Lepiej, daleko lepiej — odrzekła stara — jest nadzieja, że wkrótce przyjdzie do zupełnego zdrowia.

— O dziękuję ci dobra kobieto, zasłużyłaś na dozgonną moją wdzięczność, powiedz, jakże cię mam wynagrodzić?

— Nagroda i wdzięczność w sercu, a nie w słowach, i innej od ciebie, moja młoda pani, nie pragnę. Lecz powiedz mi proszę, kogo wyobraża ten portret?

— To wyobrażenie mej matki, ale dlaczego pytasz, czy ci się tak podoba?

— Ach jak piękna, jak łagodna jest twarz tej pani.

— Tak, mówią, że była słynną w swoim czasie pięknnością.

— Boże, jak dziwne są wyroki Boskie! więc mnie pamięć nie omyliła, to jest owa towarzyszka lat dziecinnych... biedna nieszczęśliwa kobieta, ofiara swej czułości — mówiła cicho sama do siebie stara sybilla — nieszczęśliwa kobieta już szesnaście lat jak opuściła świat.

— Czyś ją знаła, Marto?

— Tak... słyszałam o niej, wszak mówiłaś, że jej piękność była głośną.

Wtem chora poruszyła się w łóżku, Julja z troskliwością przystąpiła do jej posłania i uchyliła zasłonę, lecz gdy oczy jej ujrzały zbladła i wychudła od słabości twarz Zuzanny, oblicze jej zachmurzyło, się serce zaledwo nie pękło z żalu, widząc okropną zmianę pięknej towarzyszki.

— Ach to ty, moja dobra siostró! — odezwała się dziewczyna — nie widziałam cię od kilku dni, było mi tak tęskno.

— Jakże się masz, Zuzanno? czy już nie cierpisz?

— O nie, czuję się zupełnie zdrową! O siostró, jesteś bardzo, bardzo dla mnie łaskawą, będę prosiła matkę moją, która przebywa w niebie, aby czuwała i nad tobą, boś ty jest moją siostrą.

Wymawiając te słowa, Zuzanna złożyła ręce i wzniosła swe piękne oczy do nieba.

W tej chwili Julja, podniósłszy wzrok, spotkała błagalne wejście młodej dziewczyny.

— Marto, patrz, patrz, co za okropne podobieństwo! — zawołała Śladkowska, wskazując na portret — to też samo oblicze, też wejście, to ona!

Dziewczyna, zdziwiona wykrzyknikiem swej opiekunki, odrzuciła adamaszkową firankę i spojrzała w stronę, gdzie były zwrócone oczy obydwóch jej towarzyszek.

— Boże, to ona! to moja matka, którą dziś w nocy widziałam obok mego łóżka! — zawołała, wyciągając ramiona, i upadła bez czucia na ręce Marty.

ROZDZIAŁ III.

Zuzanna z każdym dniem stawała się spokojniejszą, a przychodząc do zdrowia, odzyskiwała spokojność i szczęście w przyjaźni Julji, Marta bawiła ciągle w domu Śladkowskiej pod postacią lekarki a dobrocią swoją umiała zjednać sobie serce młodej dziewczyny i jej dobrodziejki. Jednej leczyła ciało, a drugiej duszę. Julja przywykła do starej tułaczki, polubiła jej towarzystwo, a jej rozmowy stały się jedyną rozrywką nieszczęśliwej córki, bo w nich czerpała rady i pociechy.

Pewnego wieczora Julja i Zuzanna siedziały przed kominkiem, obie smutne i zamyślane. Zuzanna po kilka razy zaczynała rozmowę, lecz w niej, znać było przymus i dlatego wkrótce ustawała. Julja, wlepiwszy wzrok w ruchome płomienie, podobniejsza była do posągu niż do żyjącej osoby, gdyż częste westchnienia wyrwywały się z jej łona przekonywały o tem.

Obiedwie różnemi przedmiotami, lecz równie mocno zajęte być musiały, gdyż Marta weszła do komnaty i stanęła obok krzeseł, nie zwróciwszy nawet na siebie uwagi.

— Moje dzieci, czyście posnęły? — rzekła żartobliwie — już długą chwilę stoję obok was, a żadna nie przemówi słowa, nawet nie spojrzysz na starą.

— Wybacz nam, dobra kobieto — odezwała się Julja — nie zauważyliśmy twego przybycia, już tak dawno nie mamy żadnej wiadomości od ojca. Kazimierz nie wraca, ani nic nie odpowiada na nasze doniesienia o nowych podstępach nieprzyjaciół.

— Tak, nie wraca... — powtórzyła Zuzanna, westchnąwszy.

— Ta niepewność przejmuję mnie okropnym przestachem, nie mogę przytłumić w sobie tajemnego głosu, który na mnie woła niustannie: twój ojciec w niebezpieczeństwie! O droga Zuzanno, twoje doniesienie musi być prawdziwe, mój ojciec, mój drogi ojciec!...

— Zuzanno, tyś mi nie mówiła, jakie niebezpieczeństwo zagraża panu Śladkowskiemu — zawołała Marta, spojrzawszy na dziewczynę.

— Nie wiedziałam, moja droga, że chcesz o tem wiedzieć — odrzekła dziewczica — ale dlatego tu przybyła, dlatego opuściła Grzegorza, aby ostrzedz Kazimierza, iż godzi na życie jego ojca.

— Kto, Grzegorz? — zawołała stara.

— Nie wiem kto, słyszałam tylko, jak Tomasz, zapewne z rozkazu Grzegorza, umawiał się z żydem, iż mają zgubić Śladkowskiego, podburzywszy kozaków do podniesienia buntu przeciw królowi i obwołania ojca Julji swym naczelnikiem.

— O mój Boże, a jam o tem nie wiedziała! nie pamiętasz, jak prędko to ma nastąpić?

— Za piętnaście dni, ale już zapewne dziesięć upłynęło.

— Juljo, ja ocalę twego ojca! bądź spokojną, znam wszystkie drogi, któremi postępować trzeba dla odwrócenia niebezpieczeństwa. Sieci, które nieprzyjaciele szykują dla niego, staną się ich własną zgubą!.. Dziś jeszcze pobiegnę do wielkiego hetmana, który niedaleko stoi z wojskiem, opowiem mu wszystko i będę nalegała, aby uprzedzić wybuch buntu.

— O droga Marto, szacowna kobieto, jakże ci mam dziękować za twoją dobroć, za twoje poświęcenie się dla nas i trudy!

— Moja córko, już w czynieniu dobrego bliżnim, czuję wynagrodzenie, a pognębienie ludzi chytrych, nie czułych, ludzi z kamiennymi duszami, sprawia mi niewypowiedzianą rozkosz; bo żyję dla zemsty i dziękuję niebu, iż mi teraz nadarza sposobność dopełnienia jej, nasycenia mej duszy!.. Teraz bądźcie zdrowe, moje gołąbki, niech spokojność wstąpi do serc waszych.

— O nie odchodź! patrz, jaka okropna noc, jaka zawieja, deszcz leje strumieniami, zatrzymaj się do jutra.

— O dzieci, dzieci! deszcz mnie oziębi i zmoczy, mówicie — rzekła, rozśmiawszy się okropnie, stara — płomień, który rozdyma uczucie, panujące w mem sercu, ogrzeje mnie i osuszy! zresztą przywykłam do trudów większych daleko.

— Marto, jesteś nie pojęta!

— Tak, moja duszo!.. niepojęta, bo ja sama nie pojmuję siebie, nie pojmuję świata i przewrotnych ludzi,

wiem tylko, że się powinna zemścić nad zabójcą mego syna!

— Zemsta, jakiż to szkaradny wyraz, Marto — rzekła Zuzanna.

— Błogosław niebo, moja córko, że go nie znasz! lecz ja, któram widziała umierającą matkę, zamordowanego męża, w pętach syna! któram utraciła wszystko na świecie!..

— Ach, jakąż ona nieszczęśliwa — odezwała się naiwnie Zuzanna.

— Marto, kto ty jesteś? co za tajemnica otacza cię dokoła, twoje słowa zdradzają wyższość, nie jesteś tą, czem się być zdajesz, czym cię twoje odzienie pokazuje?

— Jestem... ja sama nie wiem! byłam chrześcianką, mahometanką, teraz jestem — niczem. Byłam polką, tatarką, teraz — ja nie wiem!

Oblicze Marty przybrało okropny wyraz obłąkania, oczy rzucały dzikie wejrzenia, zęby szczękały, na czole wystąpił kroplisty pot.

— Słuchajcie, dzieci, opowiem wam moje życie, abyście poznały cały ogrom mych nieszczęść.

— Ach, mów, mów, droga nasza przyjaciółko! — zawołały obie dziewice, sadzając ją obok siebie.

— Moje dzieci — zaczęła Marta — jestem Polką, niegdyś z chlubą nosiłam to nazwisko, z pychą rodacy moi wspominali moje imię i wdzięki. Urodziłam się nad brzegami Dniepru, rodzice moi byli możni i bogaci, lecz wczesnie pozostawili mnie sierotą. Ojciec mój zginął na wojnie z niewiernymi, a matka umarła w rok

później z tęsknoty i zmartwienia. Ja, jako jedyna dziewczka po niej, byłam wychowywana przez wuja, który mnie kochał bardzo. Opiekun mój miał pięciu synów i córkę, postanowił przeto połączyć mnie z najstarszym, aby tym sposobem mój majątek został w jego rodzinie. Młody Władysław był pięknym mężczyzną, dlatego też bez trudności zyskał moje przywiązanie i w szesnastym roku zostałam jego żoną; lecz w dzień wesela naszego tłumy dzikich nieprzyjaciół naszły kraj, w czasie godów rozległ się okrzyk: Tatarzy! Mężczyźni porwali się do broni, a nas zamknięto w osobnym pokoju.

— Władysławie! — zawołałam, tknięta jakimś przecuciem — nie odchodź, nie opuszczaj mnie, niech mi wydrą życie, nie lękam się śmierci, lecz pragnę umrzeć razem z tobą!

— Będziemy walczyli w waszej obronie, droga Józefo, nie obawiaj się niczego, jeszcze jest nadzieja, może się ocalimy!

Ja uwierzyłam jego słowom i upadłam na kolana, prosząc Boga o wsparcie usiłowań naszych obrońców. Bitwa trwała chwil kilka, aż oto drzwi się otwierają i tłum rabusiów wpada do naszej komnaty. Kobiety wydały okropny krzyk i stłoczyły się w jeden róg pokoju, jak owce przy napadzie wilka. Dzieci rabusie pobiegli ku nam, w tej chwili Bóg natchnął moje serce nadzwyczajnem mężstwem, jakaś wściekłość mnie opanovała, poskoczyłam naprzód i wyrwałam z rąk tatara skrwawiony miecz, stanęłam przed swemi towarzyszami.

— Stójcie, barbarzyńcy! chyba trupy nasze stąd uniesiecie, śmierć temu, kto pierwszy sięgnie ręką.

Moja młodość, nieszczęsne wdzięki, któremi, na moje nieszczęście, natura mnie obdarzyła i rozpacz, wypiętnowana na mem obliczu, poraziły dowódcę hasty. Stał, jak wryty, potem wyrzekł coś do swoich, a ci rzucili się na nas i w jednej chwili powiązali wszystkim ręce, ja jedna zostałam swobodna.

Wyprowadzono nas na dziedziniec, gdzie ujrzałam Władysława i wuja z wielu innymi także w więzach. Pobiegłam ku nim, lecz ledwie zdołał wyciągnąć ku mnie ramiona, nieludzki dowódca rozkazał nas rozłaczyć, zakazał, aby nam niewolno było się widzieć. Mego Władysława powlekli zdała odemnie, nie zważając na moje prośby i łzy. O dzieci! jak okrutny był ten moment, niech was Bóg broni doczekać podobnego.

Zuzanna ze strachem przytuliła się do Julji, powtarzała ze zgrozą:

— O szkaradni barbarzyńcy!

— Czekaście — mówiła dalej Marta — to tylko początek nieszczęść, które później, się na mnie zwały! Od tego dnia nie widywałam już Władysława, ani wuja, a jeden z naszych dozorców, umiejący nieco po polsku, powiedział nam, że dowódca hordy ma nas oddać w podarunku swemu hanowi. Nazajutrz wsadzono nas na konie i śpiesznie dążono z nami ku południu. We dwa tygodnie stanęliśmy w Krymie, gdzie wraz z siostrą mego Władysława zostałam stawioną przed oblicze nieludzkiego hana. Zaledwie spojrzał na mnie, roz-

kazał wynagrodzić dowódcę hordy, a do mnie rzekł przez tłumacza:

— Nie płacz, piękna niewolnico, od ciebie zależeć będzie władać mem sercem i być panią w kraju, gdzie spojżenia twe wkładają okowy na jego rządzącę.

— Panie! — zawołałam, padając mu do nóg — zlituj się nademną, powróć mi męża, a będę twoją najwierniejszą sługą.

— Jakto, ty masz męża? tak młoda! — zawołał, zmarszczywszy brwi — gdzież on jest?

— Zabrany został z domu razem zemną. Ach powróć mi go, nie rozłączaj nas.

— Niegodna, czy wiesz, o co mnie prosisz, co mówisz? gardzisz mną dla niewolnika podobnego sobie! oddacie ją z moich oczu!

Odprowadzono mnie do wyznaczonych komnat, gdzie zastałam już moją siostrę; obchodzono się z nami łagodnie, lecz pilnie strzeżono, niewolno nam było wychodzić nawet do ogrodu. Po kilku dniach przyszedł han i rzekł do mnie:

— Moja piękna niewolnico, tak długo byłem cierpliwy i pobłażający, by zostawić ci czas do zapamiętania o twych stratach, które są dla ciebie niepowrotne, lecz w twojej jest mocy w zamian za nie otrzymać szczęście prawdziwe i trwałe, wyrzeknij się swej religii, zostań mahometanką, bądź moją żoną i panią krainy tak pięknej i miłej, która w przeciwnym razie stanie się twojem więzieniem. Żadna polka nie dostąpiła takiego zaszczytu, lecz wdzięki twoje czynią cię godną jego.

Potem skinął na swego niewolnika a ten podał srebrny puchar, napełniony napojem. Han odebrał go dotknął ust i podał mnie; wychylenie tego napoju czyniło mnie jego żoną. Przejęta zgrozą na takie przełożenie, aby wyrzec się świętej religji, w której zostałam wychowaną, męża, którego sam Bóg mi wyznaczył, niech raczej umrę, pomyślałam, wydarto mi wszystko, com kochała, dla kogóż mam żyć na świecie? — aby służyć dumnemu muzułmanowi? Gardząc przeto życiem, uderzyłam ręką w srebrny puchar, a ciecz chlustnęła na brodę i złocisty kaftan hana.

Zsiniał muzułmanin z gniewu i, zerwawszy się, porwał za miecz, lecz ja nie ruszyłam się z miejsca. Han podniósł rękę, spojrział na mnie i odwrócił się.

— Nie, ona jest nadto piękną! nie mogę nawet pomścić mej zniewagi! Niewierna! w moim jest ręku twoje życie, twych ziomków, będących w niewoli, jeżeli dłużej opierać się będziesz, ujrzysz, jak głowy ich wszystkich spadną na mój rozkaz, a z twojej przyczyny.

Potem wyszedł śpiesznie; a ja zadrżałam mimowolnie. Niewyszło dwie godziny, dziki han wszedł znowu, oblicze jego pałało jeszcze gniewem, a oczy iskrzyły się jak u szakala.

— No, namyśliłaś się? — zapytał, stanąwszy przedemną.

— Tak, postanowiłam umrzeć chrześcijanką.

— Więc chodź za mną! — zawołał, porwawszy mnie za rękę, z taką mocą, że się nie mogła oprzeć i zawlókł na plac przed jego pałacem — patrz! oto widok, który twój upór przygotował dla ciebie.

Podniosłam oczy. O, Boże, cóżem ujrzała! dziś jeszcze dreszcz mnie przejmuję i krew krzepnie w mych żyłach. Kilkuset Polaków, popętanych jak zwierzęta stało o kilkanaście kroków odemnie, otoczeni przez Tatarów, wszyscy z obnażonemi szyjami a mordercza ręka jednego z tych barbarzyńców już wznosiła nad głową mego Władysława krwawy miecz, oczekujący skinienia pana.

Na miłych obliczach mych rodaków, prawie wszystkich znajomych sobie, wyczytałam jakiś wyrzut, i sprawiedliwy, bo cóż znaczy życie moje w porównaniu z życiem tylu ojców familji, tylu obrońców ojczyzny, tylu synów, ostatnich nadziei redzin.

— Panie, wróć im wolność i rozrządzaj mną! — zawołałam, upadając bez zmysłów u nóg dzikiego władcy.

Han dopełnił mych prośb, brańcy zostali uwolnieni, mnie zaś przedstawił swemu dworowi i sługom, jako ich panią. Dano mi imię Elmaza *), a od tego czasu zostałam nieco swobodniejszą; wolno mi było wychodzić do ogrodu, błąkać się po wszystkich komnatach i czytać, co mi się podobało. Tak upłynęło tydzień.

Jednego dnia przyszedł han i rzekł:

— Moja Elmazo, spodziewam się, że ma łagodność przewyciężyła i rozproszyła twój smutek, byłem wyrozumiały, cały tydzień nie naruszałem twej spokojności, dziś uczynisz mnie szczęśliwym, zostaniesz moją żoną.

*) Znaczący dyament.

— Panie, rzekłam — daruj mi jeszcze choć dzień dni, a potem rozrządzaj mną — odrzekłam z pokorą, chcąc dać czas mym rodakom do oddalenia się z Krymu — o nie odmawiaj mi, to jest ostatnia prośba, którą cię śmiem utrudzać!

Muzułmanin zmarszczył brwi, potem rzekł z niejakim nieukontentowaniem:

— Dobrze, niech stanie zadość twojej woli, patrz, Elmazo, jak wiele czynię dla ciebie, kocham cię tak mocno, iż panowania nad mym walecznym ludem odstąpiłbym pręcej, niż wyrzekł się posiadania ciebie.

Zadrżałam na te słowa, a myśl, że mam pędzić życie w kraju, gdzie niewinność cierpi, a zbrodnia i pochlebstwo odnosi nagrodę, na ziemi, która przesiała krwią Polaków, moich współbraci, gdzie tylu ich jęczy w okowach, pędząc życie we łzach i zniewadze, gdzie w oczach moich nielitościwy muzułmanin pogania ich jak zwierzęta, zaprzężonych do pługa, przejmowała zgrozą. — Umrę raczej! — zawołałam, padając na kolana. Wtem przez drobne szyby kolorowego szkła w mem oknie spostrzegłam na ulicy pobożnego Trynitarza, błagającego go z chrześcijańską pokorą o zniżenie wykupu jeńców.

— O Boże! czemuż ja nie mam naśladować jego, powinnam żyć! on, narażając swe życie, tyle mil przybył wydobyć z niewoli bliźniego za pieniądze, zebrane krwawo z jałmużny. Czemuż ja, odejmując zbyt kowi, nie mam naśladować jego? Czyż kobieta we wszystkim niższą być ma od mężczyzn? Stwórcu, wesprzyj me siły i opiekuj się memi zamiarami, okryj je nie-

przejrzaną zasłoną przed oczami nieprzyjaciół twej wiary. Potem śpiesznie zdarłam z siebie wszystkie kosztowności, porwałam kawałek papieru i farbą, którą tatarskie kobiety czernią brwi, napisałam słowa:

„Czcigodny ojcze! niech ten mały dar powiększy twe fundusze na wykup niewolników polskich, za parę dni znów przybądź w te samo miejsce, może będę mogła zasilić twą kasę.

I, zawinąwszy klejnoty w ten papier, wybiegłam na płaski dach naszego domu, dałam znak zakonnikowi by się zbliżył, rzuciłam mu paczkę i oddaliłam się, aby mnie kto nie spostrzegł.

Przez kilka następnych dni starałam się zgromadzić jak najwięcej kosztowności, aby przynieść ulgę cierpiącym, lecz obawiałam się z drugiej strony огоłać się ze wszystkich ozdób, aby nie zwrócić na to uwagi hana i nie zbudzić w nim podejrzenia. To mone zajęcie wlewało jakąś spokojność w mą duszę, lecz niekiedy jednak przychodziło mi na myśl, iż zbliża się ów dziesiąty dzień, a ta myśl przejmowała mnie dreszczem, rozbrajając moje męstwo i odbierając siły do spełnienia ofiary z siebie dla dobra współbraci; mimo woli na to wspomnienie zalewałam się łzami, a biedne moje serce wyrывало się za mym krajem, gdzie odebrała życie, gdzie mieszkał Władysław i opiekuni.

W takim stanie zastała mnie raz stara Izuma, jedyna z mych niewolnic rodem z Wołoch.

— Pani, co znaczą te łzy, ten ciągły smutek? otoczona szczęściem, dostatkiem i miłością, wydajesz się być nieszczęśliwą? cóż my powinniśmy czynić w bie-

dzie, w ciągłej pracy, bez woli, bez własności i swobody.

— O moja Izumo — odrzekłam wzruszona jej słowami — czemże są bogactwa i dostatki, jeżeli serce pogrążone w tęsknocie, gdy dusza cierpi? o moja przyjaciółko, te ozdoby nie tylko nie czynią mi żadnej pociechy, ale owszem przypominają mi moją niewolę.

— Pani, ty skarżysz się na niewolę, a któraż z kobiet w całym Krymie więcej wolności posiada?

— Tak, według tutejszych wyobrażeń... Czyżes ty zapomniała już, Izumo, zwyczajów swego kraju, czyś porównywała życie tamtejsze z wolnością tutejszą?... O z radością przeniosłabym więzienie pod mem rodzinem niebem, obok osób kochanych, nad to świetne życie w obcym kraju, zamieniłabym z ochotą te bogate suknie na prostą siermięgę naszego chłopca!

— Pani, w tym kraju pieniądze mogą wszystko uczynić.

— Jakto? mówisz, że mogłabym się nawet wyswobodzić.

— Może.

— Jakim sposobem?

— Han ufa ci zupełnie, nawet cię nie strzeże, dał mi twoje klejnoty, a ja najemę którego z koczujących Tatarów i w przeciągu jednej nocy staniesz na polskiej ziemi.

— Czyż można zaufać zobowiązaniu się takiego rabusia?

— O bądź spokojną, jeżeli ci przysięże, możesz mu zawierzyć.

Zebrałam przeto naprędce nieco klejnotów, oddałam je Izumie, ona odeszła i już więcej jej nie widziałam. Czekałam cały dzień i noc, następny dzień, Izuma nie wróciła.

Tak pierwszy raz zostałam oszukana.

Niespokojna, rozumiejąc, że odkryto moje zamiary, siedziałam przy oknie, gdy ujrzałam owego Trynitarza niedaleko domu. Tu nowa myśl błysła w mej głowie i postanowiłam ją wykonać. Nic się nie dzieje bez woli Boga, jeżeli On przeznaczył, abym żyła, nic mi nie potrafi szkodzić, jeżeli mam umrzeć — niech się spełni wola Boska!

Kazałam przeto odejść moim niewolnicom, pobiegłam na dach nad haremową altaną i polecając się opiece Matki Boskiej, skoczyłam na ziemię.

— Ojciec mój, ratuj mnie! — zawołałam, padając do nóg zakonnika.

— Kto jesteś, moja córko! — zapytał z dobrocią.

— Józefa Z*

— Z*, żona Władysława?

— Tak, mój ojciec, ty go znasz? widziałeś go, czy zdrowszy, czy powrócił do ojczyzny?

— Dotąd jeszcze nie, mieszka w mej gospodzie.

— Ach, zaprowadź mnie do niego, ojciec, prowadź!

Już zciemniało, zakonnik zdjął z siebie swój biały płaszcz, okrył mnie nim i śpiesznie udaliśmy się do gospody. O moje dzieci! jakże wam opiszę moją radość z połączenia się z Władysławem! szczęście, opanowawszy całą moją istność, uczyniło mnie nieczułą na

wszystko, szanowny zakonnik nie mógł wstrzymać łez, patrząc na naszą radość.

Nazajutrz przed świtem ubrano mnie w suknie zakonnika trynitarzy i w tłumie wykupionych niewolników ruszyliśmy w drogę. Pierwsze dwa dni podróży naszej były pomyślne, lecz trzeciego doznał nas oddział konnych tatarów, odkryto moją ucieczkę i han rozesłał na wszystkie strony pogonie z rozkazem, aby mnie ścigano.

Moje przebranie oszukało ścigających, puścili nas swobodnie, lecz niedługo nadbiegł drugi oddział i zaczął z pilnością przeglądać nasz obóz, z bojaźni, aby mnie nie wykryto, weszłam na drzewo. Tymczasem słońce zaszło; cały nasz oddział stanął obozem na obszernej równinie, pogonie, rozesłane przez hana, miały się raz wraz, przeglądając troskliwie wszystkich w naszym taborze, a ja przymuszona byłam przepędzić noc na drzewie.

Nazajutrz nasi towarzysze ruszyli dalej, my przymuszeni byliśmy zostać wśród pustyni.

W pośród nieprzebytych wąwozów, stała pustelnicza chata, w której mieszkał stary trynitarz. Sędziwy kapłan tam nas zaprowadził i, poleciwszy opiece pustelnika, odszedł z innymi.

W tem schronieniu przymuszeni byliśmy przemieszkować rok cały. Nasz dobry opiekun wychodził na drogę dowiedzieć się, czy ustały poszukiwania, lecz zawsze powracał ze smutkiem i odpowiedzią, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Nie będę wam opowiadała szczegółów tego pustelniczego życia, w którym nie zaszło

nie ważnego, lecz zaczęę od czasu, kiedy syn nasz, drogi Wacław, świat ujrzał.

Jednego dnia siedziałam na darniowej ławce, przed domkiem, trzymając dziecię na ręku, gdy z zadziwieniem ujrzałam zbrojnych ludzi. Ledwie dowódzca oddziału spojrzał na mnie, zawołał natychmiast:

— Cieszcie się, chłopcy ze zdobyczy! oto niewolnica naszego hana, która zbiegła z jego pałacu przed rokiem!

Uderzenie piorunu u mych nóg nietyle by mnie przeraziło, ile te słowa; nie wiedząc sama, co czynię, upadłam do nóg dowódcy.

— Panie, jeżeli posiadasz choć cokolwiek uczucia, zlituj się nad nieszczęśliwą matką i niemowlęciem! Ach, nie oddawaj nas w ręce hana, wolimy służyć tobie całe życie razem, lecz nie rozdzielaj nas, będziemy znosić najsmutniejszy los bez najmniejszego szemrania.

Ale te słowa, wypowiedziane z największą rozpaczą, bynajmniej nie poruszyły zakamieniałego serca dzikiego żołnierza, przyzwyczajonego patrzeć na podobne sceny, bez najmniejszego współczucia. Nie rozumiał zapewne nawet słów moich, a śmiertelna bladeść na mem obliczu, głęboka rozpacz w mych oczach i obłąkane wejrzenie, przeraziły go, odstąpił w tył odemnie.

Po dwóch dniach przybyliśmy do stolicy. O moje dzieci, nie zdołam wam opisać uczucia, które mnie opanowało, gdy stanęłam przed domem hana. Już mnie miano wprowadzić na dziedziniec, gdy usłyszałam głos Władysława.

— Bądź zdrowa droga, Józefo! już pewno ostatni raz zegnamy się z sobą, zobaczymy się w lepszym życiu, bywaj zdrowa najdroższa i pamiętaj, że jesteś małżonką, matką i chrześcianką!

Na te słowa ścisnęło się serce moje, oczy zaćmiły gęste łzy, wyciągnęłam ku niemu ręce i, nie będąc w stanie wymówić słowa, padłam bez czucia na ziemię, a moi ciemiężcy zawlekli mnie przed hana.

Moje córki, okropna była chwila, w której stanęłam przed obliczem muzułmanina, ale niczem w porównaniu z tem, co potem nastąpiło; mało zastraszał mnie gniew hana, nie drżałam przed śmiercią, lecz ani mi przyszło do głowy, aby zemsta jego rozciągnęła się aż do osób, przezemnie kochanych.

— Niewdzięczna! — zawołał, odpychając mnie od siebie, kiedym upadła mu do nóg, błagając o łaskę dla męża i syna — tak to odpłacasz mi za moją łagodność? za me łaski? weźcie ją z mych oczu i wsadźcie do więzienia, niech umrze z głodu wraz ze swym kochankiem.

W ten moment ci sami ludzie, którzy niegdyś okazywali mi uszanowanie, ze wzgardą powlekli mnie do podziemnego wilgotnego lochu i tam zamknęli.

Ciemność, napełniająca więzienie, nadto groźba hana, i myśl o tak okropnej śmierci, wszystko to trwożyło moją skolataną duszę i pogrążało ją w rozpacz.

Jedną ścianę mego więzienia stanowiła żelazna kratka, często z tej strony dolatywał mych uszu bolesny, przytłumiony jęk, — ciemność nie mi widzieć nie do-

zwalala, lecz jęczenie to napelniało okropnym przestraczem.

Nazajutrz, o córko moja! samo wspomnienie tej strasznej chwili przeraża mnie i włosy jeży na głowie. Około południa usłyszałam szelest, potem liczne światła zaalały blaskiem moje więzienie i han z tłumem rzezańców i żołnierzy ukazał się mym oczom.

Teraz, spojrzawszy w stronę, gdzie krata zamykala moją celę, ujrzałam w następnej przegrodzie Władysława z kneblem w ustach i skrępowanemi rękoma — on to napelniał powietrze tym bolesnym jękiem.

— Niewdzięczna kobieto! — odezwał się mój pan — nie nazywaj mnie teraz srogim, boś sama obudziła we mnie to uczucie, samaś wywołała mój gniew i zemstę! Czyńcie swoje — dodał, obracając się do żołnierzy.

— O Juljo! o Zuzanno, głos mój niknie w mych piersiach, zastygłe to serce bić zaczyna żywiej ze zgrozy i wściekłości!... Zaledwie skończył mówić han, gdy Tatarzy porwali mego męża, wywlekli na środek więzienia, dziki han dał znak, błysnął miecz, krew bryzgnęła, a głowa mego Władysława potoczyła się ku mnie, zgrzytając zębami!.. Upadłam prawie bez czucia i nie już prawie nie widziałam, lecz słowa hana wyrwały mnie znów z tej niemocy.

— A to, twój syn,—rzekł z dzikim uśmiechem,—uściśnij teraz jego martwe ciało.

W tej chwili tygrysia wściekłość mnie opanowała, niepomna na słabość płci mojej, na kajdany, ściągające moje ręce, rzuciłam się na mordercę i memi okowami

uderzyłam tak silnie w głowę, iż padł bez czucia u mych nóg; potem gryzłam go, szarpałam paznogiemi, aż obecni żołnierze oderwali mnie od mej ofiary a hana wyniesiono bez zmysłów.

Tak silne wstrząśnienie umysłu pomieszało mój rozum, nie poznawałam nikogo, prócz mego ciemiezcy, a za każdym razem gdy się zbliżał do mnie, wpadałam w szaleństwo, rzucałam się na niego, okrywałam najokropniejszymi złorzeczeniami, pragnąc rozerwać na sztuki.

Tak upłynęło lat parę i ani starania i leki kobiet tatarskich, ani łagodność hana nie mogła wrócić mi spokojności, ani oddalić odemnie okropnej mary mego syna i męża. Cierpliwość mego pana zdawała się niewyczerpaną a miłość, wzrastając z mym oporem, była mi nieznosniejszą, niż śmierć sama.

Nareszcie natura, dawszy mi poznać, że zostałam matką, rozjaśniła nieco powikłane me wyobrażenia, aby powiększyć ogrom mych cierpień. O drogie dzieci, cóżem uczuła, kiedy pierwszy raz, upadłszy na kolana przed krzyżem Zbawiciela, który potajemnie zawsze nosiłam na piersiach, poruczyłam opiece Boga mego Adila! Smutne było moje życie, jeszcze smutniejsza ukazywała mi się przyszłość; lecz, trzymając syna w mych objęciach, zapomniałam o wszystkim com przecierpiałam.

Długom opierała się dręczącemu mnie smutkowi, naostatek otrzymał nademną zwycięstwo i wolnym krokiem popychał mnie ku mogile.

Wkrótce znikły moje wdzięki, skóra pożółkła i pomarszczyła się, czarny heban włosów zaczął siwieć, a han

odepchnął mnie od siebie, jak dziecko odrzuca zniszczone cacko!

Przez jakiś rodzaj zemsty, starałam się wpoić w serce mego syna, nienawiść przeciw jego ojcu i usiłowania moje nie pozostały bez skutku; Adil, mając lat cztery, już nienawidził hana jak wroga, ile razy ten chciał go wziąć na kolana, chłopiec krzychał, wydierał się, a nawet pluł na twarz ojca, a han, niepojmując przyczyny, gryzł się tajemnie i często z rozkoszą widziałam łzy w jego oczach.

Teraz już nie dbano o mnie, już mnie nie pilnowano, wolno mi było wychodzić wszędzie, a często po miesiącu nie wspomniał o swej kochanej niegdyś Elmazie, lecz mało o to dbałam.

Jednego dnia umyśliłam z mym synem opuścić Krym, aby choć przed śmiercią ujrzeć ojczyznę — zamiar ten z łatwością przywiodłam do skutku. Lecz powróciłam do mego rodzinnego kraju dlatego tylko, aby jeszcze od własnych ziomków zostać wzgardzoną, wyśmianą i odepchniętą.

Wuj mój zagarnął mój majątek i trzymał go bez przeszkód, lecz za powrotem moim powinien był go zwrócić. Zapobiegając przeto temu, udał, że mnie nie poznaje, i wyparł się swej synowicy, która kosztem własnego szczęścia wyswobodziła go z niewoli.

Z zażaleniem udałam się do króla Zygmunta III. Żądano dowodów mej tożsamości, świadków — podałam ludzi, których uwolniłam z niewoli tatarów, a między innymi młodego szlachcica Grzegorza Żabickiego, który był z naszego domu zabrany przez bisurmanów i razem

z mym mężem wracał do kraju, gdyśmy zostali w chacie pustelnika. Ale mój wuj przekupił świadków, ci oświadczyli, że jestem oszustką, że Józefa była młodą i piękną, że sześć lat nie mogło na mnie wywrzeć takiego wpływu i zrzadzić takiej zmiany.

Tak wzgardzona i wyszydzona przez rodaków i krewnych, długo tułałam się po kraju z mym synem, wszędzie odepchnięta, niepoznana i wyparta, opuściłam nareszcie ojczyznę, udając się w stepy Budziackie, gdzie przyłączyłam się do gromady koczujących tatarów.

Tam przyjęta do grona kobiet, stepowych mieszkańców, nauczyłam się sztuki leczenia ziołami, zgłębiwszy ich tajemnice, które wy nazywacie gusłami; a ile razy dzikie tłumy tych niszczycieli biegły na moją ojczyznę, niosąc mordy i spustoszenie, dążyłam wraz z niemi nieść ulgę cierpiącym rodakom, opatrywałam rany na pobojuwiskach, z narażeniem życia niosłam wsparcie tym, którzy mnie wypędzili z pośród siebie.

W czasie ostatniej wojny, gdy dążyła z ratunkiem na plac bitwy, Polacy zabrali mi syna, jako jeńca, błagałam o jego wolność, tłumaczyłam, że on nie jest tатarem, nie chciano mnie słuchać, odepchnięto, przekłęto, wydarto ostatnią pociechę mego życia, bo mój Adil umarł na żółtą gorączkę wśród niewolników.

Teraz zemsta napełniła to opróżnione serce! nim umrę, muszę jej dopełnić, bo krew mego syna woła o nią do nieba.

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz po owej bezsennej nocy, w czasie której dziewice słuchały opowiadania starej tułaczki, Julja, przebudziwszy się, uczuła jakieś znużenie i słabość, zapewne skutkiem długiego czuwania. Trwoga i niepełność o losie ojca, przytem milczenie i nieobecność brata, napełniały lękliwe serce dziewczicy okropnem przeczuciem, powiększając jej cierpienia.

-- Wszak wie Kazimierz — myślała — że zostałam sama jedna w zamku, bez obrońcy i opiekuna, że straszna klątwa, że nazwisko zdrajcy, ciężące nad naszym ojcem, może ośmielić niespokojną szlachtę do napadu i splądrowania naszego mieszkania, a właśnie teraz, gdy wybuchłe zaburzenia na Zaporozu potwierdzają niejako podejrzenia i potwarz, rzucaną na niego, czynią położenie moje jeszcze niebezpieczniejszem! Cóż więc zatrzymuje tego dobrego brata od przybycia do zamku? dom zostaje bez pana, majątek bez zarządcy, ja sama nie wiem, co czynić?.. Czy niebezpieczeństwo ojca i ratunek jego wstrzymuje Kazimierza daleko od domu, a położenie jego jest tak okropne, że brat nie śmie mnie nawet przerażać?.. Ale, o Boże, wszak wcześniej czy później zawsze o tem usłyszę! znośniejszą jest najsmutniejsza pewność, niż tortury oczekiwania i domysłów! O, on rozumie, że jak inne kobiety, umrę z płaczu i rozpaczę na smutną wieść!.. już serce moje zdrętwiało, lzy wyschły — nie pierwsze to nieszczęście!..

Tak dumając, młoda starościanka kończyła swój ranny ubiór, potem przystąpiła do okna, uchyliwszy za-

słony, spojrzała na obszerną równinę leżącą u stóp zamku. Wszędzie też sama zieloność, tenże sam śpiew ptaków, toż piękne lazurowe niebo, pomyślała dziewczica, jednak westchnęła i lekki rumieniec oblał jejlica.

Julja zasłoniła twarz rączkami i ciężki jęk wyrwał się z jej łona. W tem położeniu zostawała czas długi, nieruchoma, spokojna, jak posąg marmurowy.

— O Boże! — zawołała nareszcie — wybacz mi, matko moja, módl się za biedną nieszczęśliwą córkę! — i lzy posączyły się po jej białych paluszkach.

Dziewica upadła na kolana, trzymając wciąż ukryte oblicze w obu dłoniach, i szeptała:

— Ojciec mój w niebezpieczeństwie, a jam spokojna, ja o *nim* marzyć mogę, zamiast do nieba, za nim myśli moje i dusza wybiegają!.. O nie, już nie będę o nim myśleć, będę się cały dzień modliła, a Bóg oddali obraz jego odemnie!.. Ojciec Wszechmocny, spraw, abym zapomniała o nim... tak on zapewne także zapomniał o mnie, on może w Warszawie bawi się wśród wesołego grona pięknych dam, które ubiegają się o jego wejrzenie, bo on tak piękny, tak ujmujący, jego głos tak słodki, aż drży serce na ten miły dźwięk!..

O gdybym miała skrzydła, gdybym stać się mogła niewidzialną, uleciałabym do niego, do tej świetnej wesołej Warszawy, zawszebym zostawała przy nim, wśród jego zabaw, zatrudnień, modłów i spoczynku, czuwałabym nad jego snem, klęcząc u łoża, wcisnęłabym się do jego głowy, w jego mózg, choć we śnie myślałby o mnie, a przebudziwszy się, przypominałby sobie marzenie; wtedy pilnie badałabym wyraz jego

twarży, może radość ujrzałabym na tem pięknem mi-
łem obliczu, może łzę w oku, może choć jedno we-
stchnienie, poświęcone memu wspomnieniu, bo on jest
tak czuły, dobry... Ale dziś, gdy w stolicy jest tak
wiele pięknych, cudnych kobiet, gdy wszystkie dobija-
ją się o jego serce, maż on pamiętać o mnie, ani pię-
knej, ani tak rozumnej, ani miłej jak tamte!..

O nie zapomnę nigdy tego dnia, gdy na zamku
królewskim w Warszawie wystawialiśmy tragedję o Ja-
dwidze, kiedym wyszła z nim, prowadząc się za ręce,
jak wszyscy szeptali, jak piękny, jak ładny, wszystkie
oczy zwrócone były na nas, a gdy on mówił, zdawało
się, że widzowie zmienili się w zimne posągi, nikt nie
śmiał nawet oddechem uczynić szelestu, przeszkodzić je-
mu... Ach, na ten głos pełen boleści i smutku, zale-
dwie serce moje nie pękło z żalu, łzy mimowolnie ci-
snęły się do oczu, zapomniałam, że to udanie, gdy gło-
sem umierającym rzekł: „Zdradziłaś twą przysięgę“,
o małym nie umarła ze smutku!

Lecz on mnie kocha zawsze, bo przyrzekł mi mi-
łość, a on kłamać nie może, jego słowa są słowami
nieba!.. Juljo, powiedział, żegnając się w Warszawie,
nie odbieraj mi twej miłości, bo ona droższą mi jest nad
wszystko, miejmy nadzieję, najdroższą, wkrótce miną dnie
próby, cierpienia nasze będą wynagrodzone.

I czegoż mam się smucić? — zawołała dziewczica pod-
nosząc głowę, — jego słowa są tak zapewniające, że wąt-
pić o nich byłoby grzechem, miną dnie próby, cier-
pienia nasze zostaną wynagrodzone!

Wtem z drugiej komnaty, gdzie spoczywała Zuzanna, doleciał lekki szelest, potem ciężki jęk, Julja pobiegła tam. Młoda dziewczyna, leżąc na wznak, miała obie ręce złożone na białym swem łonie, na ustach ułatywał błogi swobodny uśmiech dziecięcia, uśmiech Cherubina upojonego rozkoszą widoku Stwórcy.

— Kazimierzu! — mówiła przerywanym głosem — Kazimierzu, o jakżem cię długo czekała...

Julja rozrzewniona schyliła się nad posłaniem przyjaciółki i lekki pocałunek złożyła na jej dziewiczym czole.

Zuzanna rozwarła oczy.

— To ty, moja siostró... rozumiałam...

— Że mój brat — dopełniła Julja — coś ci się śniło?

Dziewica zapłonila się.

— Ty, siostró, o to gniewać się na mnie nie będziesz.

— Ja, moja droga? o co?

— Bo widzisz, zdawało mi się, że widziałam Kazimierza w oknie wieży zamkowej; ja byłam w ogrodzie, ujrwszy go, zaczęłam biec ku niemu, wtem wieża wstrząsnęła się w posadzie, mury pękając, rozsypały się, na ten widok krzyknęłam przerażona, lecz brat twój bez uszkodzenia stanął obok mnie.

— Marzenie...

— Tak, ale takam była niem szczęśliwa, iż gdym roztwarzała oczy i poznała, że to był sen, gniewałam się na ciebie, żeś mnie przebudziła.

— Przepraszam cię, droga Zuzanno, nie wiedziałam...

— Ty jesteś smutna?

— Ach, nieszczęśliwy ojciec!

— Wszak Marta zapewniła nas, że nie złego nie stanie się twemu ojcu, że ona odkryje podstępny.

— Dziecko jesteś, cóż zdoła jedna słaba kobieta, żebraczka, przeciw potędze tajnych nieprzyjaciół.

— Biedna moja siostró, tyś nieszczęśliwsza niż ja... nie mam nawet o kogo się lękać, nie mam ojca!.. Julio, pozwól mi kochać twojego!..

Starościanka z rozrzwienieniem przycisnęła do łona młodą przyjaciółkę.

Tak upływały dni dwom młodym dziewicom, wśród wspólnego smutku, tęsknoty i oczekiwania.

Nazajutrz, około południa, gdy obiedwie siedziały u okna, pogrążone w myślach, tętent jakiś na dziedzińcu przerwał ich dumania... obie drgnęły razem, spojrzały na siebie, potem uchwyciły się za ręce.

— Czy słyszałaś, Juljo! — zawołała Zuzanna z dziecinną naiwnością — to nasz brat, to Kazimierz, biegnijmy na dziedziniec.

— Mylisz się zapewne, Zuzanno — odrzekła Julja powściągając swą radość.

— O nie, patrz, jak mi serce bije... przeczuwam...

Julja wzięła rękę towarzyszki i przyłożyła do swego łona.

— Ach, tak samo jak moje, tak zupełnie — mówiła dziewica — to niepodobna abyśmy się myliły.

— Niepodobna — powtórzyła starościanka.

— Więc biegnijmy!

— Nie można, to nie przyzwolicie, bo jeżeli to *on*.

— Jakto jeżeli *on*, jeżeli brat twój przyjeżdża po długiej nieobecności, to nieprzyzwolicie jest go witać? cóż to za zwyczaje barbarzyńskie.

— A jeżeli to jest kto inny?

Wtem drzwi się otworzyły i na progu ukazał się Kazimierz z Jędrzejem.

Zuzanna otworzyła usta, lecz spostrzegłszy obcego mężczyznę, zarumieniona, została nieruchomą na swoim miejscu, Julia postąpiła kilka kroków naprzeciw przybyłym. Kazimierz ujął jej obie dłonie, uścisnął, na czoło złożył braterski pocałunek, potem odwrócił się do swego towarzysza i rzekł:

— Siostro, oto jest pan Jędrzej Koniecpolski hetmanicz, nasz protektor i przyjaciel.

Na te słowa Julia zadrżała, spojrzała na Jędrzeja, na jego obliczu widać było tylko radość... osłupiała. Jędrzej, kochanek jej serca, jest syn dumnego hetmana pierwszego dygnitarza w kraju. Zmieszana nieumiała wyrzec słowa. Młodzieniec zapewne pojmując przyczynę jej pomieszania, pragnął wywieść ją z tego przykrego położenia.

— Już miałem szczęście znać twą siostrę przyjacielu, wszak pół roku spędziłem w tym zamku.

— Jakto, kiedy? — zapytał Kazimierz.

— Wszak byłem przez ojca wysłany przeciw zbójcom.

— Doprawdy nie wiedziałem o tem.

— Tak jest, znałam pana hetmanicza, nie wiedząc jednak o jego godności — odezwała się Julia — racz pan przeto przyjąć przeproszenie...

— Juljo! co mówisz? — zawołał młodzieniec z boleścią.

— Pan ukrywałeś przed nami swoje nazwisko, Jędrzeju, to jest niegodnie.

— O wybac mi pani, nie jestem winien takie było polecenie mego ojca.

— Bądź łaskawsza, siostro, Jędrzej wybawił naszego ojca, godzien przebaczenia za taką drobnostkę.

— Nasz ojciec wybawiony! o dzięki ci, panie, ja mogę cierpieć całe życie... wybaczam ci — rzekła smutnie, a spostrzegłszy Zuzannę, dodała: — Bracie mój, oto moja przyjaciółka, znasz ją już zapewne.

Kazimierz, od wejścia będąc zajęty siostrą i Jędrzejem, nie spostrzegł na boku stojącej dziewczyny, teraz, spojrzawszy w tę stronę z zadziwieniem ujrzał tę, którą już miał za straconą.

— Zuzanna! — zawołał, wyciągając ku niej rękę.

Dziewica nie śmiała uczynić najmniejszego poruszenia. Kazimierz ujął z zapalem jej rękę, przycisnął do ust, potem do piersi...

— Ach, siostro droga, powiedz, jakim sposobem Zuzanna znajduje się tutaj, co za zdarzenie sprowadziło ją do naszego domu?

— Troskliwość o ciebie — odrzekła Julia.

— Jakto? tłumacz się jaśniej?

— Opiekun jej należy do liczby zawistnych sprymierzenców, działających tajemnie przeciw naszemu ojcu.

Zuzanna przypadkiem usłyszała twoje nazwisko i że nasi nieprzyjaciele szykują sidła dla Śladkowskiego, którego mają pozbawić życia; postanowiła ostrzedz cię o tem i dlatego opuściła dom opiekuna.

— O drogi nasz opiekuńczy anioł! — zawołał z uniesieniem młodzieniec.

I znów całował drobne jej dłonie, a łono dziewicy drgało z radości i rozkoszy. Zbytek szczęścia odejmował jej rozum, byłaby rzuciła się w objęcia kochanka, gdyby obecność obcego mężczyzny i wrodzona wstydlivość nie wstrzymywały jej od tego.

Po przejściu pierwszych uniesień radości, Julja wprowadziła przybyłych do dalszych komnat. Na rozkaz pani, przysposobione było śniadanie, w czasie którego rozmowa szła żywa, Kazimierz był zupełnie szczęśliwy, Zuzanna była jakby odblaskiem jego szczęścia, a każdy wyraz twarzy młodzieńca odbijał się natychmiast na obliczu dziewicy. Lecz wesołość Julji była wymuszoną, często dziewczica wpadała w zamyślenie, uśmiech jej był zimny i bolesny, wejrzenie nieśmiałe.

Jędrzej został przerażony tym stanem starościanki, wzrok młodzieńca nie schodził z niej od czasu przybycia, co było przyczyną jego roztargnienia. Po wstaniu od stołu, obie dziewczice opuściły salę gościnną. Julja pobiegła do swej komnaty i zalała się łzami.

— O mój Boże, jakżem ja nieszczęśliwa! — zawołała, padając na krzesło. — O gdzie moje marzenia, moje złote nadzieje, moje szczęście... On jest synem tego dumnego hetmana, on moim być nie może!

W tej chwili weszła Zuzanna i, spostrzegłszy łzy przyjaciółki, zapytała o ich przyczynę:

— O, moja droga siostró, ty płaczesz, wszak wszystko, czegoś sobie życzyła, spełniło się, ojciec jest niewinny z zarzutu, brat przyjechał...

— O Zuzanno, jestem bardzo nieszczęśliwą!

— Cóż ci się stało? ach powiedz mi, może zdołam ci pomóc, bo nie wiesz, jaką przykrość sprawiają mi łzy twoje.

— Nie, moja przyjaciółko, to nie w twojej mocy, cierpienie moje jest nieskończone.

— O Boże! przestraszasz mnie, Juljo! dziś zrana zdawałaś się spokojniejszą. Powiedz mi, kto jest ten młody mężczyzna? On musi ciebie kochać?

— Tak ci się zdaje, Zuzanno? — zawołała dziewczyna. — Ach powiedz, z czego to poznałaś.

— Bo dziś przy stole twój smutek tak go niepokoił, takie współczucie i żal widać było na jego twarzy. Tyś na niego nie zwróciła nawet uwagi, a on na nie nie dawał baczenia prócz ciebie, wiesz, że gniewałam się na ciebie, za taki upór, on ci coś złego wyrządzić musiał?

— O tak, Zuzanno!.. uratował mi ojca.

Wtem mowa starościanki przerwana została, drzwi się otworzyły i wszedł Jędrzej.

— Juljo! — zawołał — o przebac mi, przebac, twój gniew mnie zabija, o powróć mi twoją przyjaźń lub wyjaśnij powody niełaski, ja ci się usprawiedliwię, bo jestem bez winy.

— Panie Jędrzeju, pan się zbyt uniżasz, prosząc o przyjaźń córkę ubogiego szlachcica, pan, syn pierwszego magnata w Rzeczypospolitej. Obdarzałam przyjaźnią równego sobie człowieka, Jędrzeja, naczelnika oddziału pancernych, lecz pomiędzy Jędrzejem Koniecpolskim a mną przyjaźń istnieć nie może.

— O mój Boże, ciebież to ja słyszę? Juljo, twojeż to słowa, gdzie miłość, która mi upiększała moją przyszłość, gdzie moje nadzieje? Ach, czyżem winien, że się urodziłem Koniecpolskim?.. o jakżeś niesprawiedliwa!

— Jędrzeju, cóż twój ojciec powie na tę miłość, gdy się o niej dowie? — rzekła Julja, dotknięta wyrzutem młodzieńca.

— Już wie!

— I cóż! — zawołała dziewczyna.

— Czyż ojciec który mnie kocha nad wszystko, mógłby odmówić szczęściu memu?

— Lecz, Jędrzeju, jakim okiem świat będzie patrzył na ten związek? czy zniosłbyś, gdyby żonę twoją przyjmowano z dumą, spojrzeniami upokarzającymi, gdyby szeptano, iż przez chciwość wdarła się w sferę, wyższą nad siebie, iż jak intrygantka opanowała umysł młodzieńca, nie z przywiązania, lecz dla widoków korzyści.

— Na Boga, Juljo, kto ciebie natchnął podobnemi myślami? — zawołał młodzieniec. — Ja ciebie nie pojmuję, ty niegdyś tak cicha, łagodna... Co to znaczy, ty mnie już nie kochasz, dlatego szukasz powodów do zerwania tego węzła, którym sam Stwórca nas

połączył! O Juljo, powróć mi twoje przywiązanie, jam ci zaufał, oddaliłem się... kilka miesięcy rozłączenia i już po mojem szczęściu... Juljo, tyś mnie zdradziła!

Starościanka drgnęła całym ciałem na te wyrazy, chciała odpowiedzieć na zarzut młodzieńca, lecz boleść zawarła jej usta, okropna walka kobiecej dumy i miłości, toczyła się w jej duszy, łono wzniosło się mocno, pulsy uderzały silnie, w oczach wstrzymywane łzy wzdęły powieki, serce pękało z boleści, lecz duma mówiła: miłość twoja poniży cię, on sam może pomyśleć, że ambicya, nie przywiązanie, kierowała tobą.

— Juljo, ty milczysz, więc domysły moje mają być prawdziwe? O Boże! komuż można wierzyć!

— Jędrzeju!.. nie potępiaj mnie! kocham cię równie jak dawniej, lecz dawniej, nie wiedząc kto jesteś, nie ukrywałam mego uczucia, a dziś...

— Dziś jestem dla ciebie tym samym Jędrzejem co dawniej, o najdroższa, co ci natchnęło te zgubne myśli?

— Stolica i jej towarzystwa, tam przez te kilka tygodni pobytu poznałam lepiej świat, niż tu przez całe życie; w mej przytomności sztydzo z młodej dziewicy, potępiano ją za to, że była ubogą, że, pozyskawszy miłość zamożniejszego nad siebie, oddała mu rękę; wrażenie to było pierwsze, jakiegom doznała w towarzystwach stolicy, lecz zostanie na zawsze w moim umyśle.

— O przez Boga, wyruguj je z twej duszy, ono jest fałszywe, cnoty wszędzie są cenione wyżej nad bogactwa, o powróć mi twoją miłość, nie lekceważ tego uczucia, bo utrata jego mnie zmysłów pozbawi! Nie,

ty mnie już musisz nie kochać, bo miłość nie zwraca uwagi na takie czeze przyzwoitości, o ja ciebie już nie poznaje.

— Jędrzeju, nie posądzaj mnie, to rozpacz z utraty ciebie natchnęła mi te myśli; o jakżebym pragnęła, abyś był tak ubogim, za jakimgom cię miała, wtedy nie obawialibyśmy się przeciwności, sądów ani opinii!

— Wierz mi, najdroższa, że wielu zazdrościć mi będzie twej miłości, bo odgłos twych cnót doszedł aż do stolicy, nieprzyjaciele nawet ojca twego korzystać z niego pragnęli, oskarżając starostę, że pragnął przez ciebie przywiązać do siebie lud kozacki i nakłonić go potem do powstania.

— O tak, pragnęli wmówić w nich, że przysługę uczynią memu ojcu, gdy okrzykną go swym wodzem; już za trzy dni miał wybuchnąć rokosz.

— Co mówisz? za trzy dni, gdzie?

— Ach mój Boże, ty o tem nie wiesz. Ach ratuj go, Jędrzeju! jam rozumiała, że władze wiedzą o wszystkim, że niebezpieczeństwo minęło! za trzy dni podburzeni kozacy mają obwołać go wodzem!

— Kto ci o tem mówił? to może jest fałszem?

— O nie, to jest szczerą prawdą! Ach ratuj mego ojca, zmiłuj się, Jędrzeju, biegnij donieść hetmanowi!

— Bądź spokojna, Juljo, trzy dni... jeszcze wiele zrobić można. Gdzież się zbierają kozacy?

— Nie wiem, lecz co chcesz czynić? gdyby cię ujęli, jużby było po tobie, nienawiść ich dla twego ojca jest okropną, pośpiesz lepiej do waszego obozu.

— Za trzy dni wojsko nie zdoła nadejść w te strony.

— Lecz może już uwiadomione... bo przed dwoma dniami stara kobieta, lekarka obozowa, poświęcona mi, poszła donieść o tem hetmanowi.

— Więc bądź spokojną, droga Juljo, jeszcze uprzedzimy nieszczęście! Do widzenia, za kilka dni znów się ujrzymy, bądź dobrej myśli!

I wybiegł śpiesznie z komnaty, a Julja długo łowiła słuchem odgłos jego kroków, aż utonął w oddaleniu. Potem upadła na kolana i zaczęła się modlić gorąco.

Serce człowieka w ogólności jest niezbadane, lecz serce kobiety — to przepaść nigdy niezgłębiona.

*

*

*

Zuzanna tymczasem wyszedłszy z komnaty przyjaciółki spotkała Kazimierza. O jak różna, jak słodka, jak czuła była ich rozmowa, nie było tam ani zarzutów, ani tłumaczeń, nie upatrywano przeszkód, nie spoglądano w przyszłość, Zuzanna nigdy nie myślała o niej, cała zajęta teraźniejszością, żyła miłością i dla miłości, której nie widziała celu, kochała, bo to było potrzebą jej życia, bo bez tej miłości, bez wzajemności, nie mogłaby istnieć. Zobaczywszy Kazimierza, całą duszą utonęła w uroku, w tej niepojętej rozkoszy, wynikającej z miłości bez granic, z miłości szczęśliwej i wzajemnej. Będąc przy kochanku, słysząc jego gorące wyznania, czyż potrzebowała troszczyć się o co więcej, Gdyby jej powiedziano: za kilka chwil umrzesz, ona i wtedy

nie troszczyłaby się, że te chwil kilka upłyną szybko, że to szczęście się skończy, kiedy obecnie jest szczęśliwą. Miłość taka to nie kobieca; kobieta, skoro tylko wkładać się zaczyna to słodkie uczucie do jej łona, zaraz zimno, łokciem rozwagi mierzy je, jego cel, jego skutki. Kobieta nie kocha bez celu, bez zamiaru uwieńczenia tej miłości, choć jej uczucie nie będzie tak porywające, ale obiecujące, przyzwoite...

Tak świat wykształcił kobietę.

Zuzanna też nie była kobietą, jak Julja, była dzieckiem natury.

Ta ślepa, nieograniczona namiętność owładnęła i Kazimierza, młodzieniec czuł się nią porwany, jak płynącym silnym prądem, lecz nie bronił się... ta czarowna miłość ukazywała mu co chwila nowe powaby, rozkosze czyste, nieznane światu, niepojęte dla ogółu. Kochał szalenie, zapamiętał, lecz czuł się szczęśliwym; bo miłość ta nie przynosiła owych towarzyskich, salonowych słodyczy, zazdrości piekielnej, dręczącego niepokoju, znudzenia, to wygnane ze świata ukształconego uczucie, mimo swej wrzącej namiętności, zostawia nas w słodkim spokoju, bo nie dając nam czasu do myślenia, uwalnia od udręczeń.

Oboje już od godziny siedzieli na ławce pod wielkim drzewem, trzymając wzajemnie swe dłonie, z oczami, zwróconymi na siebie, a jeszcze ani słowa nie wyrzekło jedno do drugiego, choć ich serca były przepełnione, choć przez życie całe nie wypowiedzieliby sobie wszystkiego. Milczały usta, ale ich dusze się rozumiały.

— Zuzanno — rzekł nareszcie Kazimierz — o jak-
żem ja szczęśliwy, jak słodkie te chwile przy tobie,
takbym wiecznie chciał obok ciebie przesiedzieć.

— I cóż nam przeszkadza? ojciec twój już unie-
winniony, jesteś więc wolnym... wiecznie!.. będziemy z so-
bą wiecznie!.. o ileż to szczęścia... ale po co o tem
myśleć, dziś jesteśmy z sobą, jutro także, więc jutro
powiemy, znów jutro i tak zawsze!.. O szczęście nasze
bez końca, bo i po śmierci będziemy z sobą.

— O tak, najdroższa, zawsze!..

— O jakiś ty piękny, Kazimierzu, gdy mówisz
do mnie, gdy wymawiasz najdroższa... o, ja ci nie
umiem powiedzieć, co się w mem sercu wtedy dzieje,
o powtórz mi jeszcze, powtórz, że mnie kochasz!

— Kocham, kocham, Zuzanno, kocham nad wszy-
stko, ciebie jedyną, ciebie samą!

Wtem Jędrzej wszedł do ogrodu i przywołał bra-
ta Julji.

Młodzieniec wstał z ławki i postąpił kilka kroków
ku przyjacielowi, mówili parę chwil, Kazimierz stanął
jak martwy, Jędrzej wybiegł z ogrodu.

Zuzanna, przerażona stanem kochanka, przystąpiła
do niego.

— Co to znaczy, Kazimierzu, takiś błąd?

— Ojciec mój w niebezpieczeństwie!

— Znów?

— Zuzanno, muszę odjeżdżać, lecz dusza moja mi-
mo największej nawet odległości zawsze zostanie przy
tobie.

I przycisnął drżącą dziewicę do swego łona, namiętny pocałunek złożył na jej ustach i zniknął.

Dziewica z jękiem upadła na ławkę.

ROZDZIAŁ V.

Gdy się to działo w zamku starosty, w podziemiu tymczasem Grzegorza następne zaszły wypadki.

Nazajutrz po dniu, w którym Zuzanna ze zbójcą wróciła z karczmy Judki. Tomasz udał się do komnaty Grzegorza.

— No cóż, jakież wieści? — zapytał bandyta przybyłego.

— Stosując się do twego rozkazu, wodzu — odrzekł Tomasz — byłem wczoraj w Towianie na gospodzie Ormianina, nasz podróżny jeszcze nie przejeżdżał, zapewne stoi w Oczakowie, bo wracał z Turcyi morzem.

— Cóż znaczy to opóźnienie jego? Białobrzeski oddawna go oczekuje w swoim zamku.

— Tak jest, nawet jeden z jego sług przybył do Stajków, uprzedzając przyjazd pana, i mówi, że starosta Rubieszowski, Jan Żółkiewski, znużony trudami podróży, mając i tak osłabione zdrowie długą niewolą, zachorował na gorączkę i leży w Oczakowie.

— Więc byłeś i w zamku? — zapytał bandyta.

— Byłem, wodzu, wzięwszy z sobą Zuzannę zatrzymałem się w Stajkach prosząc o gościnność dla córki swojej, która mi w drodze zachorowała. Aniela ka-

sztelanka Białobrzeska zaczęła ją pielegnować i pieścić, podziwiając jej urodę. Z początku bałem się, aby dziewczyna nas nie wydała, ale trudy konnej jazdy tak ją mocno znużyły, że wkrótce usnęła, wtedy udałem się do czeladnej komnaty i zacząłem badać służących. Marcin, szeregowiec pana Żółkiewskiego, który, rozstawszy się z nim w Oczakowie, przybył do Stajków, opowiadał, że pan jego przez czas niewoli zmienił się do niepoznania, że posiwiął, okulał na jedną nogę i zestarzał się bardzo.

— Tem lepiej, tem lepiej dla nas! — przerwał Grzegorz — prędzej nam uwierzą i wezmą mnie za Jana Żółkowskiego! A niema nikogo więcej w zamku, ktoby znał starostę?

— Nikogo, prócz Marcina, inni widzieli go przed dziesięciu laty.

— Więc pojedziesz do Stajków, możesz udać, że wracasz do domu z jakiego jarmarku, będziesz częstował ludzi Białobrzeskiego, dziękował za ratunek, dany córce, i nieznacznie wsypiesz proszek do kieliszka Marcinowego, potem wymkniesz się z zamku. Idź i śpiesz się z wykonaniem tego.

— Jeszcze jedno słowo, wodzu.

— Cóż takiego?

— Możni jacyś panowie żądają naszej pomocy, przyrzekając hojną nagrodę.

— Cóż to, my jesteśmy najemni zbójcy! — zawołał, marszcząc brwi, Grzegorz — przyobiecują zapewne kilkanaście dukatów, za zabicie którego z senatorów, który im zawadza? Nikezemni, boją się sami podnieść

broni, aby się nie splamić krwią brata, a nie obawiają się nasłać najemnego zbójcę!

— Więc mam im odmówić?

— Któż ci panowie?

— Nie znam ich, działają za pośrednictwem Judki, który mówi, że także ich nie widział.

— I kogóż to pragną, abyśmy im uprzątnęli?

— Mylisz się, wodzu, oni żądają naszej pomocy w otwartej wojnie.

— Jakto? nie rozumiem cię? przeciw komu? — zapytał bandyta z coraz większym zajęciem.

— Przeciw wojsku, które otacza Kudak.

— Co mówisz?

— Prawdę, mamy Śladkowskiego obwołać naczelnikiem.

— Jakto? kiedy on jest już uwięziony — zapytał bandyta.

— Tak, ale niewinność jego została wykrytą i wkrótce może zostanie uwolniony, oskarżyciele mogą okryć się wstydem.

— Cóż to za piekielna kabała!

— Aby uniknąć takiego rezultatu, potrzeba potępić Śladkowskiego, przeciwnicy więc jego korzystają ze sposobności.

— Odlóż na później, Tomaszu, polowanie na Marcina. Żółkiewski zapewne nieprędko nadjedzie, zajmijmy się tą wyprawą to ważniejsza sprawa. Możesz odejść, każ przyjść do mnie Zuzannie — rzekł Grzegorz, nieco zamyśliwszy się.

Tomasz wyszedł, lecz w kilka chwil wbiegł napowrót zmieszany i blady.

— Wodzu, dziewczyna gdzieś znikła dzisiejszej nocy, wszędzie ją szukałem, przepadła, nikt jej nie widział od rana.

— Co to znaczy? — zawołał bandyta, marszcząc brwi — kto trzymał straż przy wejściu?

— Mańkut.

— I cóż mówi?

— Przysięga na swoją głowę, że nikt nie wychodził.

Grzegorz zamyslił się ponuro.

— Jesteś gawronem, stary! — zawołał nareszcie z gniewem — wczoraj w zamku musieli wybadać dziewczynę i namówili ją do ucieczki, pociąg ją opuszczał, czemu nie zostawałeś ciągle przy niej! Ta przekłeta córka kasztelana swoją słodką mową i pochlebstwy zawróciła jej głowę, o te kobiety! to szatany pod anielską postacią!.. Ona nas zdradzi, wyda schronienie... może jeszcze słyszała u żyda waszą rozmowę?

— Nie, wodzu, rozmawialiśmy w komorze.

— I cóż z tego, kobiety ucho usłyszysz, jak trawa rośnie. Biegnij za nią ku Stajkom, pytaj po drodze i przytrzymaj, bo jeżeli nas zdradzi, powieszę cię! żywcem upiekę, stary głupcze! rozumiesz, biegnij!

Tomasz, kląc na piekło i niebo, wypadł z komnaty Grzegorza, porwał rumaka, wyprowadził go z podziemia i pobiegł z całych sił ku zamkowi Białobrzskiego.

Minął dzień jeden i drugi, Tomasz nie powracał, bandyta wściekał się ze złości, wysyłał szpiegów dla dowiedzenia się o skutku pogoni, lecz wszystko na próżno. Trzeciego dopiero dnia przybył Tomasz, prowadząc z sobą ukraińskiego chłopca.

— Gdzie Zuzanna? — zapytał Grzegorz.

— W Misurynie, wodzu — odrzekł zbójca — nie wiem, co się stało tej dziewczynie, jakiś bies ją opętał, stara jakaś kobieta, jakaś czarownica, jak mówią chłopci, znalazła ją na drodze, bez zmysłów i przywoławszy tego draba, poleciła mu, aby ją odwiózł do Misuryna, ale po co, tego trudno dociec, pomimo różnych domysłów i wywiadywania. We śnie u tego chłopca miała wymawiać nazwisko Śladkowskiego, po przyjeździe do zmysłów prosiła na wszystko, a nawet oddała swoje suknie, aby ją zaprowadzić lub zawieźć do Misuryna.

— Ona musiała wysłuchać waszą rozmowę u żyda, bo z kądżeby wiedziała nazwisko starosty! Gapy, mówiliście zapewne o jego śmierci, lub nieszczęściach, kobiety są zawsze zapalone w swej litości, zapewne pobiegła ostrzedz go! Waszą nieostrożnością zepsuliście wszystko, zniszczyliście sposobność pozyskania tak łatwym sposobem obrońnego zamku, celu jedynej dążności mych starań!.. Dlaczego żeś nie poszedł do Misuryna i nie zabrał jej ztamtąd?

— Byłem, wodzu, lecz zabrać jej nie zdołałem, córka starosty wzięła ją pod swoją opiekę i nie chciała jej wydać, byłaby swym sługusom rozkazała mnie wypędzić z zamku, gdybym się był dłużej opierał.

— Niedoleżny! — zawołał gniewnie Grzegorz — czy chcesz, aby ta dziewczyna sprowadziła żołnierzy hetmana w nasze legowisko, aby nas wydała.

— Wodzu, od ciebie nauczyłem się gardzić niebezpieczeństwami!

Grzegorz z zadowoleniem spojrzał na zbójcę, potem rzekł łagodniej:

— Jednak nie można zostawiać tej dziewczyny w tak niebezpiecznem miejscu, prędzej, czy później, zwierzy się swej przyjaciółce i mimowoli nas zdradzi, potrzeba jakimkolwiek sposobem wydrzeć ją ztamtąd. Tomaszu, śpiesz jeszcze raz do Misuryna, mamy kilka dni czasu, czuwać gdzie w bliskości, w ogrodzie, na drodze, może gdzie wyjdzie Zuzanna, wtedy porwij ją i śpiesz do domu; w ostatnim razie staraj się choć zapewnić jej milczenie, masz nóż, pistolet, użyj go, lecz pamiętaj, że tylko w ostateczności.

Wyszedł zbójca.

Grzegorz, pogrążony w myślach, spuścił głowę i utonął w zadumie. Powietrze podziemia zdawało mu się zbyt duszne i ciężkie, wyszedł przeto między ruiny, w duszy jego ozwała się jakaś dziwna czczość, jakaś tęsknota.

— Ta, którą kochałem jak własne dziecko, zdradziła mnie, oto taka dusza kobiety! — rzekł do siebie — każda, której zaufałem, odpłaciła się czarną zdradą, niewdzięcznością! Kobieta przywiodła mnie do upadku, kobieta odda pod miecz kata...

— Amen! — odezwał się obcy głos.

Grzegorz zadrżał na to słowo i nie śmiał podnieść oczu.

— Ciesz się, Grzegorzu, ciesz! zabiłeś swą córkę!

Bandyta zerwał się i uchwycił za miecz, przed nim stała wysoka postać Marty, na jej obliczu nie widać było najmniejszego wzruszenia, oczy z obojętnością zwrócone były na zbójcę, ręce założone na piersiach, usta tylko były nieco ściśnięte

— Przekłeta babo, pocoś tu przyszła, czego chcesz? — zawołał Grzegorz.

— Pamiętasz moją przepowiednię w Multanach?

— Niestety, lub śmierć!.. — wyrzekł machinalnie bandyta.

— Ach, widzę, że masz dobrą pamięć, Zuzanna twoja córka nie żyje.

— Kłamiesz, ja nie miałem córki!

— Pamiętasz panią Śladkowską? wszak była piękną kobietą

— I cóż?

— Była szczęśliwą, szanowaną, kochaną przez męża, a ty, jak posłaniec piekła, zniszczyłeś to wszystko, wydarłeś jej honor, miłość Śladkowskiego i pokój duszy! wiesz teraz, Zuzanna jest...

— Córką Zofji Śladkowskiej.

— Twojej kochanki.

— Kłamiesz! ona zginęła wraz z matką w czasie napadu Tatarów.

— Nie, nie zginęła, bo wśród tych tłumów bisurmanów byłam ja, uniosłam dziecko, wykarmiłam je, a później, gdyś mi wydarł syna, podrzuciłam je tobie,

bom się spodziewała przez nią zemsty. Patrz, oto portret jej matki, który miała na szyi, gdy ją uniosła z płomieni.

— Zofia, biedna kobieta!.. Czarownico! więc to twoje dzieło! — zawołał Grzegorz z wściekłością, wznośząc do góry miecz, aby ugodzić Martę — teraz i brat twój szatan nie wydrze cię z rąk moich!

Marta spokojnie odśloniła swą suchą pierś i rzekła:

— Ugodź, rycerzu, to godne dzieło zbójcy żony i dziecka!

— Dzieciobójca! — zawołał okropnym głosem Grzegorz i wypadła broń z bezwładnej jego prawicy, potem zakrył oczy obiema rękami. — Zuzanna, biedna, nie szczęśliwa, niewinna Zuzanna, zginęła!.. ale może jeszcze zdążę ją ocalić, może jeszcze żyje — pomyślał i pobiegł po konia.

Marta jeszcze stała w tejże samej postawie, tylko na jej obliczu widać było piekielny uśmiech, dziką radość. Grzegorz odwrócił oczy, odepchnął babę, pobiegł do stajni, dosiadł rumaka i pognął sam jeden, bezbronny, ku zamkowi Śladkowskiego.

* * *

Zuzanna zaś po odjeździe Kazimierza uczuła, iż znikło całe jej szczęście, jakiś nieprzewyciężony smutek, żal, tajemna trwoga, jakby okropne przeczucie rozrywały jej serce, każde miejsce, każdy przedmiot powiększał jej smutek, przywołując na pamięć niedawną obecność tego, za którym tęskniła, za którym wyrывało się serce, którym jedynie żyła...

Kilka chwil szczęścia, o jakim nie miała wyobrażenia nawet, młoda, w całej swej prostocie dziewica, kilka dni obecności Kazimierza rozpłomieniło tę namiętą, świeżą, czystą duszę Zuzanny. Całą jej istotę owładnęło dziwne namiętne uczucie, któremu nie umiała dać nazwy, które ją dręczyło po rozstaniu się z Kazimierzem, a które świat nazywa tem sprofanowaniem imieniem miłości.

Biedna Zuzanna, przez wrodzony instynkt, rozumiała, że ciągły ruch i zajęcie uwolni ją od prześladowającej tęsknoty, wyręczała Julję w jej domowych zatrudnieniach, biegła z jednej komnaty do drugiej, lecz na próżno; mimowoli obraz Kazimierza przedstawiał się wszędzie i zawsze jej wyobraźni, jego miły głos dźwięczał w jej słuchu, a pamięć jak na przekór przywodziła słodkie wyrazy kochanka.

Znużona ciągłą walką, wycieńczona pracą, przed wieczorem wyszła de ogrodu i bezwładnie upadła na ławkę pod wielkiem drzewem, gdzie wczoraj siedziała z Kazimierzem, a błędny jej umysł pogonił za minionemi rozkoszami rajskich chwil w towarzystwie brata Julii. Tu, wczoraj młodzieniec żegnając się, rzekł jej: „Kochana Zuzanno, muszę cię opuścić, lecz dusza moja mimo największej nawet odległości zawsze zostanie przy tobie, bo kocham cię, ciebie jedyną!”

I przycisnął drżącą dziewczę do swego łona i namiętny pocałunek złożył na jej ustach. To wspomnienie niebiańskiej rozkoszy wzburzyło wszystką krew w żyłach dziewczęcy, w zachwyceniu przycisnęła obie dłonie do bijącego łona, zdawało się jej, że czuje upajające gorąco piersi kochanka.

Wtem ostry, przykry jakiś głos zbudził ją. Dziewica drgnęła całym ciałem i spojrzała przed siebie.

— O Boże! Tomasz!

— Nie bój się, Zuzanno, pójdz do domu, pójdz! — rzekł zbójca i uchwycił jej drżącą rękę.

— Tomasz, mój drogi, zostaw mnie tutaj! — błagała Zuzanna — zostanę przy Julji, u was tak smutno, ponuro...

— Pójdz i u nas teraz jest weselej. Grzegorz dla ciebie kazał sprowadzić młode dziewice, piękne jak Julja.

— Ale nie tak dobre i nie tak piękne, nie tak podobne do *niego*, w głosie, w twarzy!.. nie, nie pójdę, zostanę u Julji, ona jest jego siostrą, zostanę przy niej!..

— Co ty bajesz, Zuzanno, czyja siostra? pójdz, Grzegorz tak kazał, a wiesz, że on nie lubi oporu.

— Puść mnie, bo będę wołała na Julję! Tomasz, puść mnie!

Zbójca ujął wpół kibić dziewczyny i pociągnął ku wałowi ogrodu. Zuzanna ze zrećznością, którą rozpacz jeszcze podwyższała, wywineła się z objęć zbójcy. Tomasz uchwycił ją powtórnie, dziewczica wydała przeraźliwy krzyk; zbójca chciał zatknąć jej usta dłonią, lecz dziewczyna z nadzwyczajną siłą, mając wolne obie ręce, oddarła od ust ten knebel i krzyknęła powtórnie.

Tomasz, przywiedziony do wściekłości takim oporem szesnastoletniego dziecka, sięgnął po nóż, lecz ten

w czasie szamotania się wypadł mu z za pasa, uchwycił przeto pistolet i przyłożył go do piersi dziewczycy.

— Milcz, bo strzelę.

Ale groźba ta nie poskutkowała, zbójca odwiódł kurek, lecz, przypomniawszy sobie, że huk może spowodować ludzi, obrócił pistolet i, ujawszy za lufę, z całej siły, jaką mu wściekłość nadawała, uderzył po dwakroć w czoło nieszczęśliwej ofiary, aż mózg zbryzgał ręce mordercy.

— Masz, chciałaś tego! — rzekł, rzucając ją na ziemię i ocierając suknie ze krwi.

Zuzanna wydała długi bolesny jęk i imię kochanka skonało na jej ustach.

Tomasz wybiegł z ogrodu.

Tymczasem Grzegorz pędził z całej siły. Kurz i pot okryły jeźdźca i rumaka, gaje, równiny i chaty wieśniacze przesuwały się tylko w szybkim pędzie przed oczami bandyty, a on pędził, nieważając na niebezpieczeństwa, na jakie się sam jeden naraża, na drogę, którą przejeżdża, na przedmioty, które go otaczają, bo niebezpieczeństwa lękać się nie umiał.

Droga ta była najdogodniejsza, która najprędzej doprowadziła do celu, na okolice nie zwracając uwagi, bo jego umysł i wszystkie władze duszy zajęte były jednym przedmiotem który go wyłącznie zajmował, a tym był zamek Misuryn i Zuzanna.

Nareszcie przybył do kresu swej drogi, spogląda wokoło — pusto, cicho, nikogo nie widać, wokoło mury i wyniosłe baszty, śpieszy od strony ogrodu, on nie obwarowany murem, na wale znać świeże ślady

stóp ludzkich. Grzegorz zadrżał, ujrzawszy je, to zapewne trop Tomasza... Wechodzi do ogrodu, nikogo nie spostrzega, nie wiedząc, co czyni, biegnie ku zamkowi, wtem na drodze pod wielkiam drzewem spostrzega ciało Zuzanny, śpieszy ku niej... twarz dziewczyny okropnie zeszpecona i zboczona krwią. Dziki jęk wydobył się z jego piersi, upadł na kolana, wziął rękę córki, była zimna i zeszywniała, w mimowolnym holdzie położył ją do ust.

— Aniele, córko droga, daruj ojcu twemu, on nie winien twej śmierci!

I łza potoczyła się po jego obliczu, jakaś nadprzyrodzona siła zatrzymała go przy trupie, nie mógł odejść, bo żał przykuł go do miejsca.

Tymczasem z okien zamkowych spostrzeżono jakiegoś obcego człowieka, starościanka wysłała ludzi, aby zobaczyli, kto to jest i jakim sposobem dostał się do ogrodu.

Słudzy przyszli aż na miejsce, gdzie klęczał bandyta obok ciała Zuzanny, a on ich nie spostrzegł.

— Zbójca! — zawołał jeden — patrzcie, zabił tę pannienkę!

— Zbójca! — powtórzyli inni, a na ten głos Grzegorz podniósł głowę.

— Czego chcecie, to jest moja córka, precz stąd! — rzekł groźnie spoglądając wokoło siebie.

— Właśnie my pytamy ciebie, czego chcesz tutaj? za co zabiłeś tę dziewczynę! — rzekł jeden z żołnierzy zamkowych.

— Przyszedłem ocalić moje dzieckō, ale już za-
późno! — mówił Grzegorz z obłąkaniem.

— To jest ogród starosty, po coś tu wszedł, mor-
derco! otoczcie go!

— Nikomu nie zdaje sprawy z moich czynności...
jestem Biały Grzegorz! precz z drogi! — zawołał,
a wszyscy się rozstąpili, on poszedł ku wałowi, gdzie
zostawił konia.

— Trzymajcie go, on jest bez broni, trzymaj-
cie! — wołał żołnierz starosty, lecz nikt nie ruszył się
z miejsca, wszyscy spoglądali tylko po sobie.

Grzegorz tymczasem wsiadł na konia i pognął ga-
loпом, a wtedy dopiero odezwało się kilkanaście wy-
strzałów.

ROZDZIAŁ VI.

Tymczasem Marta, po opuszczeniu zwalisk Balakla-
ju, udała się do hetmana wielkiego, Stanisława Koniec-
polskiego, który przybył na Ukrainę zaraz po pierw-
szej wieści o rozpędzeniu robotników przy twierdzy
Kudak. Noc była, gdy stara lekarka stanęła pod mu-
rami świeżo wzniesionej fortecy, a wiele musiała prze-
zwyciężyć trudności, wiele tłumaczeń, nim przybyła
do kresu swej podróży. Liczne straże porozstawiane
były wokoło, nadto co godzina patrole przebiegały
okolice, aby nikt podejrzany zbliżyć się nie mógł do
twierdzy, ażeby postępy w jej budowaniu powtórnie
przez zuchwałych przerwanemi nie zostały.

— Kto idzie? — zawołał żołnierz, trzymający pierwszą placówkę, skoro spostrzegł Martę.

— Swój — odrzekła stara — idę do twierdzy, chcę się widzieć z wielkim hetmanem.

— Co, z hetmanem? — zapytał żołnierz z zadziwieniem i ironją — a to po co, moja piękna, hetman nie przyjmuje podobnych odwiedzin, patrzcie ją?.. gdyby jeszcze jaka młoda dziewczyna, ale taka czarownica chce się widzieć z hetmanem, może idziesz na skargę, że który z naszych wojaków zbałamucił ci córkę, he?

— Co wam w to wchodzić — odrzekła stara — pragnę być dopuszczoną do hetmana, chcę z nim mówić w jego własnym interesie.

— Oszalałaś, babo, cóż to, wielki hetman jest tobie równy, aby rozmawiał z byle włóczęgą, co tuła się po drogach?

— Nie troszczcie się o to, czy zechce ze mną mówić lub nie, przepuście mnie tylko, a zobaczycie, że sam hetman podziękuje wam za to. Rzecz ta jest nie-malej wagi i tyczy dobra ogólnego, ściągnięcie na siebie wielką odpowiedzialność, jeżeli hetman nie dowie się odemnie tajemnicy, która wiele krwi kosztować może.

— Ha, Pan Bóg was tam wie czarownice, co wy możecie — odrzekł żołnierz — już to szczerą prawdę mówią, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle.

Wtem nadszedł patrol konny, z kilkunastu towarzyszy złożony, i żołnierz, opowiedziawszy, czego chce Marta, oddał ją dowódcy rontu. Biedna kobieta musiała obejść przeszło pół mili drogi obok koni, nim

wrócono do twierdzy. Wtedy naczelnik patrolu oddał ją znów oficerowi służbowemu.

Ten, zmierzwszy ją okiem, zapytał, jak się nazywa.

— Marta — odrzekła stara.

— Marta? — powtórzył oficer — cóż to za nazwisko?

— To imię, panie rotmistrzu — odrzekła.

— A nazwisko?

— Nie mam żadnego — wymówiła smutnie stara kobieta.

— Jako być może, tylko Marta się nazywasz.

— Nic więcej, Marta.

— Jakże się nazywał twój ojciec?

Stara podniosła głowę do góry z dumą, lecz nagle zasępiło się jej oblicze i odpowiedziała:

— Ja nie ^{nie}znałam ojca, panie rotmistrzu.

— Czem się zajmujesz, z czego żyjesz?

— Leczę biednych ludzi i żyję z ich łaski, panie.

— Więc jakież możesz mieć interes do wielkiego hetmana, przecież on nie jest chory, nie potrzebuje twoich leków, może myślisz prosić go o jałmużnę.

— Wybacz, panie rotmistrzu, jemu samemu pragnę powierzyć tajemnicę wielkiej bardzo wagi.

— Możesz przedemną powiedzieć to samo, to wszystko jedno.

— Wierzę, to może być jedno, jednak pragnę mówić sama z wielkim hetmanem.

— No, kiedyś tak uparta, więc zatrzymaj się w tej komnacie, uprzedzę hetmana, może cię przyjmie.

I wyszedł rotmistrz, a po chwili drzwi się otwarły i przybył paż, kosztownie ubrany, wzywając Martę do hetmana.

Stara udała się za paziem i, przeszedłszy kilka komnat, ujrzała Koniecpolskiego, siedzącego przy wielkiem biurze, zarzuconem papierami i planami; na jej przybycie wielki hetman podniósł głowę i, spostrzegłszy przybyłą i jej ubogą odzież, zapytał:

— Kto jesteś, moja kobieto?

— Wybacz, j. w. panie, wiadomość, którą wam mam objawić, nie nie zyska, ani straci na tem przez czyje usta przechodzić będzie.

Hetman raz jeszcze spojrzał na mówiącą i zapytał:

— Nazywasz się Marta?

— Tak jest, j. w. panie.

— O czymże chciałaś mi donieść?

— J. w. hetmanie, za trzy dni wybuchnie powstanie w Borowicy.

— Kobieto! — zawołał, wstając z krzesła, Koniecpolski — zkąd posiadasz tę wiadomość?.. kłamiesz.

— Za pewność jej ręczę życiem—odrzekła Marta.

— Więc zostaniesz w twierdzy przez te trzy dni — rzekł hetman — będziesz miała wszelkie wygody, zresztą po przekonaniu się o rzeczywistości twego doniesienia, zostaniesz wolną.

— Najchętniej, j. w. panie, lecz to, coś słyszał, jest jeszcze nie wszystko: Tajni nieprzyjaciele pana Śladkowskiego, korzystając z przywiązania, jakie posiadał u swych włościan, nakłonili ich, aby w czasie zaburzenia obwołali go swym naczelnikiem.

— O zgrozo! — zawołał hetman — co za nikczemny i chytry podstęp, pragną udowodnić czynem winę starosty, ależ on jeszcze w więzieniu.

— Potrafiono i temu zapobiedz. Ciż utajeni podżegacze najeli Białego Grzegorza z jego zbójcami, aby w dzień wybuchnięcia buntu odbili Śladkowskiego z więzienia.

— Nędznicy! — zawołał hetman, potem wsparł głowę na rękę — lecz zkąd wiesz to wszystko, kobieto?

— Jako lekarka, j. w. panie, tułam się pomiędzy ludźmi, wszędzie mnie przyjmują, bo potrzebują mej pomocy. Nigdzie się nie strzegą w mowie, bo nie pamiętają, abym kogo zdradziła — lecz przysięgam zemstę zabójcy mego syna i dopełnić jej muszę.

— Dziękuję ci, dobra kobieto, za te wiadomości — rzekł hetman — weź to tymczasem, jako nagrodę twych trudów — dodał, podając jej worek pieniędzy.

— Schowajcie, j. w. hetmanie złoto dla tych, co go potrzebują i pragną, mnie, żebraczce, na cóżby się przydało? wyżywienie mam za pomoc, którą niosę bliżnim, spoczynek znajdę wszędzie, gdzie mieszkają ludzie, a gdzie żyją, to chorują i umierają, zatem potrzebują mej pomocy.

— Więc jakże mam cię wynagrodzić, Marto? — zapytał Koniecpolski, patrząc z zadziwieniem na starą lekarke.

— Śpieszcie uprzedzić nieszczęście i uwolnić pana Śladkowskiego z więzów, a gdy strapiona córka odzyska ojca, jej radością ja będę aż nadto wynagrodzona.

— Więc znasz Julję Śladkowską? — rzekł hetman — musisz ją bardzo kochać, gdy dla jej szczęścia podejmujesz tyle trudów?

— O któżby nie kochał tego anioła! zapytajcie całą Ukrainę, zapytajcie cierpiących starców, nieszczęśliwe matki, włościan, a oni wam odpowiedzą, kto jest Julja i czy podobna znać ją i nie kochać.

— Więc i on poznał ją także, aby kochał — rzekł jakby do siebie Koniecpolski.

Potem uderzył w dłonie i polecił wchodzącemu paziowi, aby odprowadził Martę do marszałka i oświadczył mu, że ta pozostanie w twierdzy przez kilka dni, aby dał jej osobną komnatę i potrzebne wygody, zarazem kazał zawołać pisarza.

Marta wyszła z paziem, a w parę chwil przybył pisarz.

— Weź waszeć papier, pióro i pisz, co podyktuję.

Pisarz przyszykował potrzebne przedmioty. Koniecpolski dyktował,

„Do hetmana polnego Mikołaja Potockiego
wojewody bractawskiego.

„Za otrzymaniem niniejszego, weźmiecie waszeć kilkanaście tysięcy wojska koronnego i pospieszycie pod Borowice, gdzie mają zbierać się powstańcy, proszę baczyć na to, że pośpiech wiele znaczy, bo za trzy dni mają powstać, potrzeba ich uprzedzić. Resztę polecam waszemu męstwu i rozsądkowi.

„W Kudaku, Anno Domini 1637.

„*Wielki hetman koronny.*“

Po ukończeniu pisma Koniecpolski podpisał, rozkazał pisarzowi zapieczętować i odesłać przez umyślnego posłańca do obozu, o kilka mil stojącego.

ROZDZIAŁ VII.

Kazimierz, wyrwawszy się z objęć Zuzanny, dosiadł swego wierzchowca i pośpieszył za przyjacielem. Długo biegli obadwa galopem, niemówiąc do siebie ani słowa, może ta szybka jazda przeszkadzała rozmowie, może też oba tak mocno byli zajęci celem swej podróży, że nie mogli oderwać myśli od głównego przedmiotu. Nareszcie przybyli do miejsca, gdzie droga rozdzielała się w dwie przeciwne strony, jedna szła ku zachodniej przez step i prowadziła do obozu wojska koronnego pod naczelnictwem Mikołaja Potockiego, druga ku północy w kierunku biegu Dniepru wiodła do obozu powstańców.

— Jędrzeju, dokąd jedziesz? — zapytał nagle jakby przebudzając się ze snu swych myśli Kazimierz — racz mi powiedzieć, co zamierzasz czynić?

— Spuść się na mnie, mój przyjacielu — odrzekł łagodnie hetmanic — zdążajmy do Syczy, tam się dowiemy, gdzie się zbierają powstańcy.

— Do Syczy. Jędrzeju, tambyś znalazł nieochybną śmierć, ty sobie nie wyobrażasz, jaką nienawiścią oddychają Zaporozcy przeciw twemu ojcu!

— Nędznicy... cóż on złego im wyrządził?

— Słyszeli że hetman podał pierwszą myśl wystawienia twierdzy przy Kaduku, która ich wstrzymuje od ulubionych napadów na Turcję i Krym, że ściga ze srogością zabójców Morjona, nareszcie że jest wodzem wojska, które ich przejmuje trwogą.

— Jakimże sposobem usunąć niebezpieczeństwo zagrażające waszemu ojcu? nim zdążymy przybyć do obozu wojsk naszych, upłyną te trzy dni i nie zdołamy uprzedzić nieszczęścia, przybywszy zaś do Siczy, będziemy mieli dosyć czasu odwieść powstających od mieszanina waszego ojca do tej sprawy.

— Ach, mój przyjacielu, zastanów się, co przedsięwzięsz! — zawołał Kazimierz, chwytając za cugle konia towarzysza — nie, nie dozwolę, abyś, niosąc nam pomoc, miał narażać własne życie!

— Kazimierzu, jesteś zbyt przewidującym, w byle bagateli widzisz niebezpieczeństwo. Wszak nikt na Zaporożu nie zna mego nazwiska, czemże narażam moje życie? Ty, jako syn starosty Międzyrzeckiego, możesz wywrzeć wielki wpływ na umysły tych synów stepu, oni kochają twego ojca, będziemy ich prosili, aby nie narażali na szwank jego honoru, aby nie pogorszali jego sprawy wmieszaniem do swych zaburzeń.

Tak rozmawiając, dwaj przyjaciele postępowali zwolna obok siebie; słońce już zaszło, zmrok zwolna opadał na ziemię. Droga, którą dążyli, z prawej strony oddzieloną była kamienistymi wzgórzami od Dniepru, który, tocząc swe wody, napełniał powietrze głuchym szmerem, z lewej zaś rozciągał się niezmierny step, po-

kryty wybujała trawą. Gdzie niegdzie nade drogą wznosił się pokrzywiony karłowaty pień jałowcu.

Tymczasem dwaj podróżni zbliżyli się do miejsca, gdzie rzeczka Buczułek wpada do Dniepru, rozległa przestrzeń pomiędzy jej korytem a Dnieprem była oszańcowana wokoło, wzmocniona bateriami i palisadą. Wewnątrz tej warowni były pobudowane małe chatki z chrustu i oblepione gliną. Do dziesięciu takich domków, ustawionych wokoło, stanowiło oddzielną komendę słobodnego atamana. Takich oddziałów było ze trzydzieści. W środku był wielki plac, na którym wznosił się dom atamana kozowego.

Twierdza była Siczą kozacką niedaleko Borowicy.

Tu zgromadzili się wszyscy do noszenia broni zdolni. Plac około atamańskiego budynku zastawiony był mnóstwem wozów i koni, wszystko było w ruchu, ze wszystkich stron słychać szcęk oręża.

Wewnątrz wielkiej izby, na rogózkowej macie, siedziało kilku mężczyzn. Siwowłósy starzec, lecz z groźną czerstwą twarzą zajmował pierwsze miejsce, ubrany był w granatową kurtkę z grubego sukna, w czerwone, szerokie, z tureckiej materii rajtuzy; szyję miał obnażoną i podgoloną czuprynę. Był to Pawluk. Obok niego siedział inny, daleko młodszy w starszannym ubiorze, z uśmiechającym się obliczem. Nazywał się Huńką.

Z drugiej strony Pawluka zajmował miejsce niski, barczysty mężczyzna w czerwonej aksamitnej czapce, kontuszu papuzim, z bogatą karabelą u boku i parą srebrnym nabijanych pistoletów. Ubiór ten był zgodny

z jego charakterem, bo Tumileńko był krzykacz, zawadyjak, rębacz, suszy-kufel, lecz w bitwie groźny zapastnik.

Dalej siedziało jeszcze kilku podobnie ubranych, a wszystko sama starszyczna, zebrana dla wyboru wodza.

— Jakkolwiekbaż — odezwał się jeden z koła z rudą brodą i wąsami — starosta Międzyrzecki został pokrzywdzony za swoją dobroć, jaką dla nas okazywał, powinniśmy mu wywdzięczyc się za jego łaski, powinniśmy pokazać, że czujemy je i pamiętamy i odbić Śladkowskiego z Kudaku.

— Nie, dzieci! — zawołał Pawluk — taką wdzięcznością dowiedlibyśmy tylko prawdy domysłów i prze-konalibyśmy, że jest winien.

— Wybaczcie, że się sprzeciwie waszemu zdaniu — zarzucił rudy. — Nikezemny, kto opuści brata w biedzie!

— On nas tak kochał!..

— On nam tyle dobrego wyświadczył!

— Jego córka była naszym aniołem opiekuńczym!

— Wyswobodzimy Śladkowskiego! — zawołało kilka głosów.

A rudy, widząc zamieszanie, zawołał:

— Tak, wyswobodzimy go, obwołamy naszym wodzem, bo on nas prosi o to, domaga się tego, jako dowodu wdzięczności, patrzcie, bracia, oto jego pismo.

Wyjął z zanadru papier i podał go Pawlukowi.

— Działki, co znaczą te hałas?

— Wybaczcie, chcemy słyszeć list.

— Szymonie — rzekł starzec — przeczytaj to pismo i przekonaj się, czy to ręka starosty.

Szymon powstał z swego miejsca i odebrał z rąk starca papier.

Rudy mówił do niego pocichu:

— Szymonie, na Boga, nie przecz mi, dostaniesz sto dukatów. Pamiętaj o sobie, to jest skarb, a nie gub mnie!

Czytający spojrział na rudego szyderczo, potem podniósł papier i zaczął czytać:

„Dzieci moje!

„Niech Bóg szczęści waszym zamiarom, w pomyślności nie zapominajcie o tym, który was kochał, a za to przywiązanie dziś cierpieć musi. Nie wymawiam wam łask swoich, ale je przypominam.“

— Niema podpisu — rzekł, skończywszy czytać — ale poznaję, że to jest ręka pana Śladkowskiego.

Rudy otarł pot z czoła.

— Ha, kiedy sam starosta tego wymaga, to niech się dzieje wola Boska!

— Urra, Śladkowski! — zawołał rudy, a kilkanaście głosów porwanych tym wykrzyknikiem mimowoli powtórzyło go.

W tej chwili nasi dwaj młodzieńcy weszli do komnaty, obecni zwrócili na nich swe wejrzenia, wszystkie czoła się zmarszczyły, na wszystkich obliczach wiadać było niechęć.

— Czego chcecie — zapytał Huńko, gdy dwaj przyjaciele oddali pokłon zgromadzeniu. — Co was sprowadziło, aż w pośród nas, a najprzód kto jesteście?

— Oto jest syn starosty Międzyrzeckiego, a ja jego przyjaciel — odrzekł Jędrzej.

— Starosta pragnie zapewnić sobie naszą pomoc? — przerwał Pawluk — może być spokojnym, my, dzicy synowie stepu, lepiej pamiętamy o wyrządzonej nam łasce i obowiązku wdzięczności, aniżeli uczeni wychowańcy koleгии Jezuickich.

— Szlachetni ludzie, mylicie się, oszukano was! Starosta nie pragnie waszej pomocy, bo ona raczej szkodzić, niż ratować go może — zawołał Jędrzej — a nawet jeżeli chcecie mu dowieść swej wdzięczności, rozejdźcie się do domów.

— Młodziku, zastanów się co mówisz, — zawołał starzec — rozejść się do domów, któreśmy własną ręką popalili, schować do pochwy krwi pragnące oręża....

Wtém głos starca przytłumiony został okropnym zgiełkiem i wrzaskiem, powstałym zewnątrz domu.

Obecni porwali się z miejsc swoich, na dworze dały się słyszeć wystrzały, tętent koni, aż ziemia zadrżała na około.

— Do broni, bracia! — zawołał Pawluk i, wydobywszy pałasz, wybiegł na dziedziniec.

Trudno wyobrazić sobie większe zamieszania, nieporządek i chaos, jaki panował w tej chwili wewnątrz fortyfikacyi.

Wtem nagle głos trąby wojennej odezwał się od strony zachodniej, głuchy tętent wstrząsnął ziemię, jętkło powietrze w odgłosie licznych wystrzałów, oblężeni zaczęli pierzchać, wał okrył się szeregami husarzy, na

czele śmiałego młodzieńca, który, przełamawszy szyki nieprzyjaciół, ściga pierzchających we własnym obozie *). Pawluk ze swymi cofa się ku Borowicy, a ciemność nocy zasłania jego odwrót. Reszta rozproszona ze Skidanem uciekła do Czechrynia.

Polacy zabrali cały obóz, rysztyunki wojenne, zapasy żywności i mnóstwo jeńca. Potocki, powierzwszy zdobyty obóz pułkownikowi Łaszczowi, sam udał się za Pawlukiem.

ROZDZIAŁ VIII.

Jeszcze szary zmrok otaczał ziemię, gdy Mikołaj Potocki, hetman polny, dopełniwszy polecenia wielkiego hetmana, wchodził z jeńcami i zdobyczą w bramy miasta Moszny.

Drzwi domów były pozamykane, ulice puste, gdzie nigdzie tylko ukazywała się głowa w oknie, zbudzona tętentem przybywających wojowników.

Na placu, przed ratuszem, zbiegło się kilka mieszczek, ściągniętych ciekawością.

— Patrzenie, patrzenie, kumo, — zawołała jedna — jacy piękni ci dwaj młodzi brańcy, ten wyższy to jeszcze dzieciak.

— Ale jak na żołnierza to zanadto delikatny — dodała druga.

*) Był to Stefan Czarniecki w stopniu rotmistrza husarskiego.

— Ten drugi, co ma rękę z nim związaną jaki blady i smutny, a także mało starszy od towarzysza.

— Jezus, Marya! a toć to jest syn starosty Międzyrzyckiego — zawołała pierwsza.

Młodzieniec usłyszawszy te wyrazy, zadrżał całym ciałem i zwrócił błagalne spojrzenie na mieszczkę.

— O, niedarmo ludzie źle o nim mówili, ta jego dobroć, ta łagodność, to wszystko było wyrachowane.

— Uwięzili ojca, więc syn chciał go zastąpić.

— Ach, patrzcie, na tego żyda, jak on śmiesznie wygląda, jak się skrzywił... Ale cóż jego znów połączyło z powstańcami.

— Wiecie, zdaje mi się, że to jest karczmarz z Tomakówki.

— Ach, doprawdy, to Judka, ale jak on się zmienił.

— Ze strachu — mówiły, śmiejąc się, kobiety.

— Jędrzeju, słyszałeś rozmowę tych mieszczek? — odezwał się zeicha Kazimierz do przyjaciela — poznano mnie!.. O nieszczęśliwy, mój ojczel! czy uwierzą teraz, że jestem niewinny!

— Przyjacielu, Bóg jest naszym obrońcą! połączmy w. nim nadzieję... Ach to nowe nieszczęście tak silnie mną wstrząsnęło... nie mogę zebrać myśli... nie mogę dać ci żadnej rady. O, nieszczęśliwa Julja, któż ją teraz wesprze!.. Ale słuchaj, Kazimierzu, może nas nie poznają... zatajmy nasze nazwiska, Potocki ma zupełną władzę... wszystko przypadnie z naszym życiem.

— Co mówisz, Jędrzeju!.. ty tak młody, umrzeć?.. i za co, dla kogo?

— O mój bracie, mój Kazimierzu, mamże memu staremu ojcu na schyłku jego życia zadać tak okropny, tak bolesny cios, któż mi uwierzy, pozory są przeciwko mnie.... Sam ojciec nawet możeby mnie potępił... Ujęto mnie w obozie powstańców z tobą, synem oskarżonego o związki z nimi, z tobą, o którym wiedzą, że łączy mnie przyjaźń, powiedzą, że dla twojej siostry, poświęciłem uczucie honoru.... Umrzycjmy więc nieznani, ocaliwszy od zmayı nasze imiona, ocaliwszy twego ojca!.. Przyjacielu, bądź mężnym.... daj mi rękę!

— Biedna, nieszczęśliwa moja Zuzanno! — wymówił Kazimierz, podając rękę przyjacielowi.

Młodzieńcy ścisnęli w milczeniu prawice i jechali dalej.

Przed ratuszem zatrzymał się cały poczet. Wyszedł wielki burgrabia miasta i, oddawszy ukłon hetmanowi, zapytał o rozkazy.

— Wyznaczysz waszeć kwatery dla nas i oficerów, oraz więzienia dla jeńców, dopóki sąd wojenny nie rozstrzygnie ich losu. Sale obradne zajmimy na posiedzenia sądowe.

Nazajutrz w wielkiej sali ratusza zebrali się wódcowie wojska koronnego pod naczelnictwem polnego hetmana!

Wśród mnóstwa jeńców dwaj młodzieńcy najpierw zwrócili na siebie uwagę Potockiego.

— Kto jesteście? — zapytał hetman.

— Jesteśmy dwaj bracia — odrzekł Koniecpolski — Jędrzej i Jan.

— Jak się nazywacie?

— Wymieniłem imiona, nazwiska nie mamy, wstępując do wojska zaporozskiego, porzuciliśmy je.... i zapomnieli.

— Wiecie, że każdy, ujęty z bronią w rękę, wydobytą przeciw prawej władzy, śmiercią karany będzie.

— Nie lękamy się śmierci.... jeżeli taki nasz wyrok, czekamy go....

Hetman zamyślił się, potem, naradziwszy się z innymi sędziami, podpisał wyrok.

Wtem, w sali ustępowej powstał zgielk, drzwi się otworzyły i wbiegła Marta w ubiorze w nieładzie, okryta kurzem, a potoczywszy wzrokiem dokoła, ujrzała Jędrzeja z Kazimierzem.

— Boże, wy tutaj! — zawołała — tegom się spodziewała, szlachetni młodzieńcy!

— Co to znaczy? — rzekł hetman — cóż to za czarownica, kto ją tu wpuścił, pachołcy, wyprowadźcie ją!..

— Nie, j. w. hetmanie! nie wyprowadzą mnie, otwórzcie oczy, fałsz i zdrada i tu się wcisnęły, jesteście oszukani! Najprzód przeczytajcie to.

I rzuciła na stół papier z pieczęcią wielkiego hetmana.

Potocki wziął do rąk pismo i czytał w głos:

„Wojewodzicu, mości hetmanie polny!

„Kobieta, która wam oddała ten papier, zasługuje na wiarę, zaufanie i względy, jeżeli was wzywać będzie, dodajcie jej pomocy, nieście wsparcie, jesteśmy bowiem

otoczeni siecią podstępą, którą ona tylko rozwikłać potrafi.“

— Co to znaczy? — pytali obecni — kto jesteś?

— Widzicie, jestem tułaczką, żebraczką, lekarką, co się wam podoba! Lecz wiecie kto są ci młodzieńcy, co ich tu sprowadziło?

— Mów więc! — zawołał hetman.

— Oto Jędrzej Koniecpolski hetmanicz, a to Kazimierz Śladkowski staroście!

— Jezus, Marya — zawołał Potocki — synowie takich ojców...

— Wstrzymajcie się, hetmanie — zawołała stara — odrzućcie nawet cień podejrzenia, oni są niewinni, dzięki i hołdy składajcie ich cnotom i poświęceniu dla ogólnego dobra. Oni, narażając życie, udali się do obozu nieprzyjaciół, aby odwieść ich od rozlewu krwi, któż z was uczyniłby coś podobnego?

— To niepodobna! czemuż nie odkryli swych nazwisk?

— Czybyście im uwierzyli, zwłaszcza usłyszawszy nazwisko Śladkowskiego, oskarżonego o związki z powstańcami.

— Szczególne, niepojęte wypadki.

— Bo jeszcze nie wszystko wiecie, sędziowie. Tajni nieprzyjaciele pana Śladkowskiego, słysząc, że ich potwarz nie zdołała mu szkodzić, że prawda odkryta została, że starosta uniewinnił się, namawiają powstańców do odbicia Śladkowskiego i obwołania go swym wodzem. Gdy dowiedziałam się o tem, pobiegłam do wielkiego hetmana, odkryłam mu wszystko, pan Jędrzej

Konieczpolski tymczasem dla odwrócenia nieszczęścia, grożącego ojcu przyjacielu, udał się z nim do obozu powstańców dla wstrzymania ich od wybuchu.

— Ach, rozumiem wszystko! — zawołał Potocki — wybaczenie mi, szlachetni młodzieńcy.

— Zapomnijmy o minioném, hetmanie!

— Tak, teraz nie pora wymawiania uraz, oto trafia się sposobność wyzwolenia okolicy od prawdziwej plagi, okropnego zbrojcy, ten żyd jest ich pośrednikiem, badajcie go — rzekła Marta, wskazując Judkę.

Żyd, drżąc, spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

— Dobrze, dobrze! — zawołał Potocki — jutro zajmujemy się tą sprawą. Wsadzić go do warownego więzienia, on zaprowadzi nas do schronienia rabusiów.

Żyd upadł na kolana błagając o łaskę, ale pachołcy powlekli go ku drzwiom.

Kiedy wychodzili wodzowie z sali obradnej, Marta przystąpiła do Kazimierza i rzekła z cicha:

— Starościcu, śpiesz do domu na Boga, bo w czasie twej nieobecności zabili twą młodszą siostrę.

— Boże!.. co mówisz? kto? za co? — zawołał przerażony młodzieniec — coś powiedziała? moja siostra, Julja!..

— Nie Julja, lecz młodszą siostrę, Zuzanna.

— Czarownico! co Zuzanna, siostra?

— Tak, starościcu, nie rozpaczaj, ale pomścij jej śmierć.

— I któż to jej zabójcą? mów, mów!..

— Biały Grzegorz!.. jej ojciec.

— Co to znaczy, co mówisz, Zuzanna siostrą, Biały Grzegorz jej ojciec....

— Tak, Grzegorz, dawny rotmistrz Żabicki...

— O nie kończ!.. już pojmuję wszystko!.. on był kochankiem.... Ach, Marto, mów, jak mam pomścić jej śmierć!.. O, droga Zuzanno! Ach mów, gdzie się ukrywa ten szatan!

— Ten żyd wie o tem.

Młodzieniec pobiegł za Potockim, błagając o pomoc. Hetman, wzruszony rozpaczą młodzieńca, przyrzekł użyć wszelkich środków do zmuszenia Judki, aby wydał schronienie łotrów; przyrzekł silną pomoc w ich ściganiu.

ROZDZIAŁ IX.

Moszna, miasto obronne, leżało wśród stepu niedaleko wsi Borowicy i Kumejków, gdzie hetman [pólny Mikołaj Potocki przed kilku dniami poraził powstańców... Ze wszystkich stron opasywały go mocne mury, tworząc ośmiokąt, na wszystkich rogach wyniosłe baszty strzegły przystępu do warowni. Zewnątrz głęboka fosa utrudniała przystęp pod mury.

U spodu baszt, prawie na dwie fosy, znajdowały się małe okratowane okienka. Otwory te były oknami więzień, w których obecnie siedzieli wojenni jeńcy—kozacy.

Na schyłku nocy, po owym dniu, w którym Marta wyświeciła niewinność dwóch młodzieńców, w którym zwiastowała Kazimierzowi o śmierci Zuzanny i o-

skarżyła żyda o współnictwo z jej mordercami — drogą, wśród wysokiej trawy, przez stepy idącą, postępowało kilkunastu ludzi, z ubrania, to jest jego bogactwa, nieporządku i zaniedbania, podobnych do zamożniejszych kozaków, lecz mowa ich była polska, przeplatana wyrazami tatarskimi i ruskimi. Uzbrojeni byli w linki, topory i pałasze. Jeden z nich barczysty, wysoki, z siwą jak śnieg brodą, postępował naprzód, a jego towarzysze okazywali mu jakieś uszanowanie, drugi niski i krępy w niebieskiej kurtce, przepasanej czerwonym pasem, prowadzi cały orszak w porządku, choć nie w szyku bojowym.

Skoro oddział ten zbliżył się na wystrzał janczarki ku murom miasta, siwobrody człowiek zatrzymał towarzyszy, w kilku wyrazach wydał rozkazy, które jak czarodziejskie zaklęcia wywierały wpływ na jego ludzi, cała gromada rozdzieliła się na kilka części, które rozbiegły się wokoło murów warowni; potem znikły w ciemności. Kilka chwil nie było słychać, księżyc znikł za czarnymi chmurami, czasami tylko lekkie szczyknięcie broni przyniósł wiatr ze stepu, niekiedy rozległo się przeciągłe wołanie żołnierza, czuwającego na murach miasta.

Wtem nad brzegiem rowu mignęła czarna postać, cichy przytłumiony słychać było brzęk i migotanie iskier jak z pod krzesiwa, potem i to ucichło, postać owa przyklekła na kolano, naciągnęła łuk i w powietrzu nad miastem mignęła ognista pręga, jak od przelotu racy.

To zapewne jakiś sygnał.

Niedługo zaświeciła druga — a w fosie dał się słyszeć szelest, nareszcie trzecia — na murach odezwał się nagły szczepek broni, potem jęk, lecz to tak nagle, tak szybko się stało i ucichło, że podobniejsze było do przelotu myśli, lub marzenia, jak rzeczywistości.

Wtedy owa szara postać, rzucająca ogniste strzały, wbiegła w fosę i uderzyła trzykroć w dłonie. Na ten odgłos zstąpiło z murów po drabinkach kilkunastu ludzi i otoczyli widmo.

— No jakże, chłopcy?

— Straż na murach wymordowana, całe miasto śpi, nie domyśla się niebezpieczeństwa.

— Dobrze, bracia, teraz rozbiegnijcie się wokoło murów i poszukajcie, gdzie siedzi nasz ptaszek, trzeba go wypuścić z klatki.

Po tym głosie łatwo poznamy Białego Grzegorza.

W parę minut przybiegł jeden z bandy, donosząc, że znalazł więzienie Judki; zbójcy udali się w tę stronę. Tomasz założył żelazny drąg pomiędzy kraty w okienku, kilku towarzyszy podważyło i żelazne pręty wyleciały.

— Judko, wyłaż, śpiesz się, tchórzul! — zawołał przytłumionym głosem Grzegorz.

Wewnątrz dał się słyszeć brzęk ciężkich kajdan, lecz w oknie nikt się nie ukazał.

— Cóż to, stary lisie, czyś umarł ze strachu, czemu się nie odzywasz? oj, tortury nie bardzo smakują, biedak, obiecali go niemi uraczyć; o, byłbyś wyśpiewał wszystko i wydał nasze skarby i schronienie.

— Jaśnie wielmożny panie Grzegorzu — odrzekł żyd, stękając — nie mogę się ruszyć, przykuli mnie do ściany! panie, królu, ratuj!

— Biedak, złapali go jak lisa w żelaza. Tomaszu i ty, Mańkucie, włączcie odbić go, tylko śpieszcie się chłopcy — rzekł Grzegorz.

Dwóch zbójców wsunęło się do lochu żyda.

Wkrótce dał się słyszeć ciężki huk topora, a potem zabrzękły kajdany, padając na ziemię. Lecz nagle skrzyły rygle u drzwi więzienia i na progu stanął dozorca z latarnią.

— Ognia! — zawołał Grzegorz.

Zagrzmiały wystrzały, dozorca upadł na kolano, potem podniósł się i, wspierając się o ścianę, wyszedł na korytarz, wołając na całe gardło:

— Pomocy! zdrada! zdrada!

Natychmiast w całym podziemiu wszczął się zgiełk, wrzawa, szczęk broni i dały się słyszeć bieganina.

Zbójcy szybko zamknęli drzwi, żyd wyslizgnął się otworem w fosę, za nim dwaj jego wyswobodziciele, potem cały oddział wybiegł z rowu i puścił się w step, a z murów miasta kilkaset wystrzałów wstrząsnęło powietrze i kule świsnęły po nad głowami zbiegów

W kilka chwil, stęp płomieni palącej się Moszny wznosił swe czoło aż pod obłoki, a biały Grzegorz, spoczywając w stepie, śmiał się śmiechem szatana, chwalał zreczność swych towarzyszy.

Pożar zbudził całe miasto, żołnierze, porywając broń, wybiegli na plac do obrony, rozumiejąc, że nowo zebrani kozacy w nocy weszli do miasta, mieszczenie.

jedni z przestachu, inni z ciekawości, inni nareszcie w nadziei korzystania z ogólnej trwogi i zamieszania, wybiegali. Ulice napełniły się tłumami, powietrze wrzawą i krzykiem, który dzwony bijące na gwałt jeszcze okropniejszym czyniły.

Nareszcie na ganek ratusza wyszedł Mikołaj Potocki i odezwał się do ludu, aby się uciszył, bo niebezpieczeństwo już minęło, że przyczyną pożaru byli zbójcy, którzy przybyli odbić swego towarzysza, lecz już uciekli w step, że przy wspólnym ratunku pożar wkrótce zostanie ugaszony.

Lud się uspokoił, a z miasta wyszło kilka oddziałów wojska dla ścigania Białego Grzegorza. Jednym z nich przewodniczył Kazimierz Śladkowski rozpaczający, że mu wymknęła się nawet sposobność pomszczenia śmierci Zuzanny, a domyślając się, że zbiegli udali się ku ruinom Balaklaju, w tamtą przeto biegł stronę i rozstawił gęste czaty w stepie między Dniestrem i Bobem.

Nazajutrz około południa Mańkut, wysłany przodem przez Grzegorza, wrócił zdyszany donosząc wodzowi, że spotkał placówkę żołnierzy królewskich, a chcąc jej uniknąć, udał się w prawo, lecz w odległości kilkuset kroków ujrzał drugą i przekonał się, że taki łańcuch czat stoi przez cały step aż do Czapczaklaju.

— Dobrze, chłopcy, dobrze, będziemy mieli małą zabawkę, trzeba się odświeżyć w boju, bo już oddawna próżnujemy! — zawołał zbójca — a ty żydzie, co zamysłasz, udasz się z nami?

— Panie Grzegorzu, opiekunie mój! cóż ja mam czynić, ja biedny żyd, nie umiem jąć się broni, mnie

pierwsza kula nie minie! zlituj się nademną, panie, dobroczyńco mój, królu!.. — błagał Judka, upadłszy do nóg zbójcy.

— Głupi, stary tchórze, jakże ja się zlituję nad tobą, chyba każę cię powiesić, aby cię nie złapano i abyś nas nie wydał.

— O nie, nie! j. w. panie, ja pójdę z wami, ale będę stał we środku, żebym nie widział jak będą do nas strzelać żołnierze, bo....

— Ośle! — krzyknął zbójca — znów się dostaniesz w ich ręce, a jak ci przycisną ogona, to jak kot wszystko wybeczysz, zaprowadzisz ich do naszego legowiska, może podzielisz się naszymi skarbami!

— O wielki wodzu! zmiłuj się nad biednym pocziwym żydem, wymyśl jaki sposób, chciej, a ocalisz mnie!

— Nie mam innego sposobu, musisz zostać tu w stepie, my się przerzniemy.

— To mnie uchwycą, zaprowadzą do więzienia, będą męczyć torturą. O ulituj się!

— Czekaj, stary, położysz się w trawie, niedługo zmroczeje, my uderzymy na placówkę, wtedy sąsiednie czaty zbiegną się na pomoc towarzyszom, ty tymczasem przesuniesz się w trawie, jak waż.... rozumiesz mnie?

— Dobrze, dobrze, panie, rozumiem — zawołał Judka, uradowany myślą, że uniknie kul pancernych, że ocali swoje zbiory, swoje złoto, które zbierał przez lat tyle, dla którego narażał się na tysiączne niebezpieczeństwa i pociał nieraz krwawym potem.

Skoro słońce zaszło, Grzegorz uderzył na nieprzyjaciół, bitwa trwała chwil kilka, zimna krew zbójcy przejęła trwogą rycerzy polskich, bandyta, nucąc, nacierał na przeciwników, nic się nie mogło oprzeć jego dzikiemu męstwu, nadto zbójcy przemagali liczbą.

Żyd, przesunawszy się szczęśliwie przez łańcuch czat, biegł noc całą ku domowi, aby uprzedzić przybycie żołnierzy i ocalić swoje skarby. Skoro rozwidniało, Judka ukrył się w trawie, czolgając się jak węgorz po rosie, znużony, okryty potem, co chwila musiał odpoczywać w tak uciążliwej podróży, niekiedy korzystając ze sposobności, gdy nikogo wokoło dojrzeć nie mógł, biegł z całych sił, dopóki zmordowany i wycieńczony nie upadł.

Nareszcie zbliżyła się pożądana, chłodna noc, żyd, dobywszy ostatnich sił, zdążył ku domowi, nad ranem stanął pod strzechą swej karczmy.

— Matko, synu, zginęliśmy! — zawołał, padając na podłogę — uciekajcie, żołnierze mnie gonią, albo umrzemy wszyscy!

— Judko, Bóg z tobą, co ty mówisz, za co mamy umrzeć? — zapytała przerażona stara żydówka.

— Pracowałem na życie, jak mogłem, naszym panom nie podobał się mój sposób zarobkowania, chcą mnie zabić. Matko, uciekaj, synu, podnieś mnie, zaprowadź do mojej komory.

Żydzia, płacząc, pomógł wstać ojcu, wsparł go i obaj weszli do kryjówki Judki.

Karczmarz otworzył skrzynię, syn jego krzyknął, ujrawszy takie mnóstwo złota.

— O wielki Mojżesz! to sam Salomon nie posiadał takich skarbów! ojciec, my jesteśmy bogaci; bogatsi, niż wszyscy panowie Ukrainy, czego mamy się obawiać?

— Głupiś, dzieciaku, cicho. spróbuj czy obadwa nie uniesiemy drągiem tej skrzyni. Wytoczmy ją w las i tam zakopiemy. Weź dwanaście sztuk tego złota dla siebie i dla babki na drogę, bo musicie uciekać do Rosyi.

Żydziak dopełnił woli ojca. Potem wytoczyli skrzynię w las i zakopali pod wielkim dębem. Judka rozkazał przysiąc synowi, że nie odkopie tego skarbu, chyba po jego śmierci, płakał gorzkiemi łzami, grzebiąc swoje zbiory, swoją duszę, potem wrócił do matki, pobłogosławił syna, wyprowadził ich w las, polecił mu czuwać nad babką i pożegnał.

Wtem na drodze dał się słyszeć tętent koni, potem wzniósł się tuman kurzu, nareszcie przed karczmą, stanął oddział pancernych pod naczelnictwem Kazimierza. Żołnierze wbiegli do karczmy — niema nikogo, do alkowy — i tam pusto, wybili drzwi do komory, obszukali wszystkie kąty, nie znaleźli żyda, ale porąbali stoły, ławy, beczki, potłukli kufle, okna, aby na cokolwiek wyrzucić swą zemstę.

— Bracia! — rzekł Śladkowski — żyd zapewne ukrywa się w tym lesie, lub w ruinach Balaklaju, między zbójcami, bierzmy tam, może da Pan Bóg złowić tego łotra!

— Do Balaklaju, do Balaklaju! — zawołali wszyscy, i cały oddział ruszył w las.

— Towarzysze, raczcie mnie posłuchać — odezwał się znów młodzieniec — jeżeli razem całym oddziałem

udamy się do zwalisk, lotr nam umknie, usłyszawszy zdaleka tętent naszych koni i ukryje się w innej stro-
nie, w zaroślach; ale zdaje mi się, żebyśmy zrobili
obławę. Ty, panie chorąży, jako naczelnik oddziału,
rozstaw ludzi, niech posiadają z koni i zostawia je
przy głównym oddziale, który wielką drogą będzie po-
stępował ku środkowi, do pomocy zwołamy chłopów
z okolicy, za godzinę będzie wszystko gotowe.

— Dobrze, panie bracie staroście! — zawołał cho-
rąży — masz rację, tym sposobem nasz zwierz nam nie
ujdzie, może wytropimy zbójców, a chwała Bogu ma-
my do 200 koni, ani nam się oprą!

Kazimierz pobiegł całym pędem konia do przyle-
głej wioski po chłopów do pomocy, chorąży rozstawił
pancernych i wkrótce zaczęła się naganka.

Judka, rozstawszy się z synem i matką zaczął biedz
w las, spłoszony przybyciem żołnierzy, lecz wkrótce
uczul, że siły go opuszczają i w piersiach dech się za-
trzymuje, ciało oblał zimny śmiertelny pot, nogi zaczę-
ły mu się płatać i upadł bezwładny na ziemię.

Na chwilę opuściła go przytomność, okropny cię-
żar przygniótł mózg; wrząca, zburzona krew uderzyła
do głowy i rzuciła się ustami i nosem, lecz dobroczyn-
ny chłód ziemi, czyste powietrze lasu, nadto blisko
godzinny spoczynek, przywróciły mu zmysły. Nieszczę-
śliwy zbieg otworzył oczy, spojrzał wkoło siebie, cała
okropność jego położenia przyszła mu na pamięć, roz-
pacz dodała sił — porwał się i zaczął biedz w głąb
lasu.

Niedługo, zdaje mu się, że słyszy jakieś groźne krzyki, jakieś wołania. Wiatr był z lasu. Judka zatrzymał się, słucha... zadrżał, te krzyki zdają się wychodzić z miejsca niezbyt odległego, od strony zwalisk! Odwrócił się przeto i zaczął biedz na prawo. Nie długo słyszy znów te same wołania, staje, głosy zdają się odzywać tak blisko, że nieprzyjaciele jego za kilka chwil mogą go uchwycić. Zdrętwiał ze strachu, znów odwrócił się w przeciwną stronę i biegł ku ruinom, rozumiejąc, że zdoła wpierw od prześladowców tam przybyć i schronić się do podziemia Grzegorza. Biegnie przeto przez największy gąszcz dla skrócenia drogi, gałęzie szarpia mu odzienie, kaleczą ciało, on, na nic nie zwracając uwagi, dobywa ostatnich sił, aby jak najspieszniej przybyć do jedynego schronienia, lecz czuje ostatnie wysilenie, już, tchu mu brakuje — pada.

Wtem nagle głosy nieprzyjaciół odzywają się ze wszech stron, tak silnie, tak blisko, aż włosy stanęły na głowie biednemu zbiegowi. Chce się porwać, biedz, lecz nie ma siły. Okropna opanowała go rozpacz — wołania słyszać coraz bliżej.

Judka z wściekłości szarpie na sobie odzienie, gryzie ręce.... już można rozróżnić trzask gałęzi i kroki zbliżających się prześladowców. Używa ostatniego sposobu, wspiera się na rękach i jak zwierz czołga się ku zwaliskom, a wspomnienie okropnej śmierci podsyca wątłe jego siły.

Nieprzyjaciele tuż za nim postępują. Żyd wlecze się, czepiając niekiedy gałęzi, biegnie chwilę i znów pada na ręce.

Nareszcie ukazują się opiekuńcze zwaliska, nadzieja odżyła w sercu zbiega. Wchodzi między ruiny, lecz poznaje, że ukryty wchód znajduje się zupełnie z innej strony i aby tam przejść, potrzeba dosyć długiego czasu, bo wyniosły mur oddziela dziedziniec, z którego jest wejście do podziemia, a tu każda chwila zbyt droga.

Żyd wlecze się przeto między zwaliska, szukając jakiego otworu w murze, wtem spostrzega, że w jednym miejscu zwalona baszta utworzyła wyniosłą kupę gruzów, po której może się dostać na wierzch muru, a potem, mając przy sobie kilkanaście łokci linki, zdoła, uczepiwszy ją u blanki, spuścić się na drugą stronę.

Śpieszy przeto jak najprędzej wykonać ten pomysł. Wdrapawszy się blisko na szczyt zwalonej baszty, spojrzął wokoło i z przerażeniem spostrzegł o kilkaset kroków zbliżający się łańcuch pancernych. Żołnierze ujrzeni go także, bo wydali okrzyk radosny i kilkadziesiąt wystrzałów rozległo się w powietrzu.

Judka, drżąc, wstępuje na mur, na drugiej jego stronie przepaść kilka-sążniowa... miesza mu się w głowie, lecz kule nieprzyjaciół wracają mu pamięć, dostaje z zanadru linkę przywiązuje jeden koniec do blanki a na drugim zrobiwszy pętlę, kładzie przez głowę, chcąc się wpół przewiązać i spuścić na ziemię.

— Bracia, żywcem go weźcie, nie strzelać! — zawołał Kazimierz — biegnijcie na drugą stronę muru, on tam się spuści, śpieszcie, kto go złapie, dostanie wszystkie jego skarby z wykopanej skrzyni!

Żyd, usłyszawszy, że jego skarby zostały wykopane, zadrżał, w głowie mu się zakręciło! chwije się i spada z muru, a pętla ściąga się na jego szyi, linka nie wystarczyła do ziemi i Judka zawisł w powietrzu.

— Biegnijcie, spuścił się na tamtą stronę — odezwały się głosy.

Kilkunastu pancernych przebiegło na drugą stronę muru, za nimi udał się Kazimierz.

— A cóż? — zapytał młodzieniec — macie go?

— Mamy, mamy! o kto ma wisieć nie utonie! patrz, starościcu, sam biedak wymierzył sobie sprawiedliwość, powiesił się.

ROZDZIAŁ X.

Wkrótce po wypadkach dopiero opisanych w poprzedzających rozdziałach, odbył się sejm w Warszawie, pod łaską Opalińskiego, wojewodzica Poznańskiego, na którym stany chcąc wrazić postrach w powstańców, czterech ich naczelników na śmierć skazały.

Skoro uchwała ta doszła do wiadomości Zaporozców, rozpacz ogarnęła ich umysły. Znów hetmani odebrali rozkaz pośpieszenia dla ich ukarania.

Tylko co przedtem Kazimierz Ślaskowski, wymógłszy na Potockim udzielenie mu znacznych posiłków, otoczył ruiny Balaklaju i postanowił głodem zmusić zbójców do wydania swego herszta.

Już trzy tygodnie trzymano w oblężeniu zwałiska, a jeszcze lotry nie uczynili najmniejszego kroku do

ugody, po kilka razy splądrowano wszystkie kąty ruin, nie znalazłszy najmniejszego śladu pobytu w nich ludzi. Trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie nadzwyczajne wypadki inaczej przekonywały.

Już kilka razy zdarzyło się, że placówka, stojąca najbliżej zwałisk od strony rzeki, gdzie było gęste zarosłe trzeiny, znikła w czasie nocy, bez najmniejszego szelestu, tylko na ziemi pozostały małe ślady krwi, trawa była podeptana i zgnieciona. Kazimierz podwoił w tem miejscu wartę — nieco dalej podobne zaszło zdarzenie, młodzieniec cały brzeg obsadził silnemi czaty.

Wtedy nareszcie coraz częściej zaczęły ukazywać się w nocej porze postacie, usiłujące przedrzeć się przez łańcuch oblegających, co wzbudziło nadzieje w sercu Kazimierza, że przecie zbliża się skutek jego usiłowań, że zbójcom musi już brakować żywności.

* * *

Złote słońce, powstawszy, ożywiło obumarłą na czas jakiś naturę, pożółkła zieloność jesieni jakby znów przybrała barwę młodości, nawet milczące w tej porze ptaki, zaczęły odzywać się swym radosnym śpiewem. Promienie tego życiodawczego żywiołu przeciśnęły się nawet do podziemia zbójców i otworem w sklepieniu korytarza oświecały nieco mieszkanki obłączonych.

Grzegorz spoczywał niedbale na dywanie, mając głowę, wspartą na skórzanej poduszce, na jego twarzy igrał ironiczny uśmiech, uśmiech pogardy, który wypogodził zmarszczone brwi zbójcy.

W tej chwili wszedł Tomasz.

— No cóż, przyjocielu, połów obfity? — zapytał bandyta.

— Zaledwie zdołaliśmy wyciągnąć więcierz z wody tak wiele ryb mieścić w sobie, lecz tej nocy więcej nas nieco kosztowała trudów nasza wyprawa, musieliśmy aż trzech pancernych zgładzić, aby dostać się do brzegów.

— Cóż to? pancerni domyślają się, z kąd bierzemy żywność, że obsadzili rzekę? — zapytał Grzegorz z niejaką żywością i zmarszczeniem brwi.

— Nie wiem, wodzu, ale zapewne zniknięcie płacówki rodzi w nich podejrzenie, dziś kiedy Ryży podsunął się na brzuchu do czatującego i ugodził go żelazem w piersi, umierający wydał słaby jęk, o parę kroków stojący drugi szyldwach poruszył się, Rudy zabił i tego, a kiedyśmy ciała mieli wrzucić do wody, znów ujrzelśmy trzeciego, skradającego się o kilka kroków, lecz nim zdołał wystrzelić, już upadł z nożem w piersiach.

— Dobrze, chłopcy, dobrze! Połów na długo wystarczy?

— Dla pięćdziesięciu dwóch osób może wystarczyć na dwa dni.

— A oblegający nie myślą nas opuścić, nie znudziła im się ta blokada?

— Zdaje się, że nie, jeszcze ich nie opuściła nadzieja zamorzenia nas głodem.

— Niedołężni! — rzekł bandyta z dziwnym uśmiechem pogardy — jeszcze dotąd żaden mnie nie zdołał pokonać, a zawsze ufni w swoją potęgę rzucają się

jak wróble na lep! i czemuż jest ich liczba, przeciw mej sile rozumu? jednostką przeciw tysiącom.

Nazajutrz po tej rozmowie znów przyszedł Tomasz do komnaty wodza i z przerażeniem oznajmił mu, że brzegi rzeki obstawione są tak silną strażą, iż niepodobna dostać się do wody dla wydobycia węgierza.

Grzegorz zgrzytnął okropnie zębami.

— Ha, trzeba zabić jednego z naszych koni, mamy trzech to wystarczy na dni kilka.

Minał tydzień, ten nowy zapas żywności wyczerpał się zupełnie, już zostało tylko pół konia, nazajutrz wzięto ówierć, na następny dzień pozostał ostatek.

Zbójcy już zaczęli upadać na umysłach.

Tego wieczoru Grzegorz ukazał się pośród nich i przemówił słowami pociechy:

— Towarzysze, nie traćcie odwagi! wyczerpaliśmy nasze zapasy żywności, lecz nie zapasy dowcipu, zapewniam was, że nie umrzemy z głodu! Dzisiejszej nocy wyjdzie kilku z was i obszuka wszystkie gniazda w zwaliskach, wybierze pisklęta sów i innych ptaków, to nam wystarczy choć na jeden dzień, później uderzymy na najbliższą placówkę i zabierzemy trupa, będziemy się karmili ich własnem ciałem!..

— Vivat Grzegorz! — zawołali zbójcy, ożywieni nową nadzieją — vivat, nasz wódz!

Nazajutrz uczyniono, jak rozkazał bandyta, lecz nie tak łatwo było porwać żołnierza wśród tak gęstego łańcucha czat. Nareszcie po wielu trudach, zbójcy pokazali swego, lecz żołnierze ścigali ich prawie do samego wejścia, szczęściem ciemna noc dopomagała ich uciecz-

ce, lotry znikli z oczu z wielkiem zdziwieniem pancernych.

Grzegorz rozumiał, że po tym wypadku oblegający będą szturmowali ich schronienie, rozkazał przeto zbójcom przyszykować się do boju, lecz po chwili namysłu własną ręką wyniósł beczkę prochu, postawił ją przy samem wejściu, odbił jedno dno, naszykował zapalony lont, aby w razie wejścia do podziemia nieprzyjaciół, gruzami swego schronienia przywalić zwycięzców.

Nad wieczorem wbiegł Tomasz do komnaty Grzegorza, oznajmiając, że pancerni odstąpili od zamku i opuścili okolice.

Bo tegoż dnia przybył posłaniec od hetmana z poleceniem, aby jak najśpieszniej oddział, zajęty obleganiem Balaklaju, zebrał się i śpieszył ku miasteczku Lubni za Dniepr, gdzie zbierali się powstańcy.

Zasmucony tą wiadomością młodzieniec, uledz musiał konieczności, lecz nie wyrzekł się nadziei pomśzczenia śmierci drogiej Zuzanny. Postanowił objechać całą Ukrainę, zebrać pomoc u panów polskich, ogłosić krucyatę przeciw tym nowym barbarzyńcom, a zebrawszy kilkuset ludzi, na nowo opasać ruiny.

Dzień miał się ku schyłkowi, ukośne promienie czerwonego słońca, wkradając się przez podłużne okno, oświecały małą ponurą komnatę w zamku Stajkach. W jednym jej rogu wisiał obraz Boga-Rodzicy otoczony bogatemi firankami, przed nim gorzało dwie malowane, jarzące gromnice, w srebrnych świecznikach a naprzeciw stał dębowy klęcznik, na którym schylo-

na z pokorą postać niewiasty zanosila gorące modły do niebios. Minęła godzina, kobieta ta nie uczyniła najmniejszego poruszenia, z jej ust tylko niekiedy wychodziły przerywane, ciche, żebrzącym głosem wymawiane wyrazy:

— O Boże, któryś za nieprzyjaciół naszych modlić się rozkazał, któryś bliźnich jak siebie kochać polecił, przyjm moje błaganie, zlituj się nad nieszczęśliwym, nad niewinnie cierpiącym, wyswobódź go z więzów, wszak on przez miłość dla brata zgotował je sobie, on go bardziej pokochał jak swoje życie i wolność, bo, narażając je, niósł im pomoc, a teraz ci, którym czynił dobrze, zapomnieli o nim!...

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna wysoki, bladej, z pochmurzonym obliczem, w czarnym kontuszu i srebrnym pasie; zmarszczone czoło jego zasępilo się jeszcze więcej, gdy ujrzał bladą twarz modlącej się.

— Aniello, miejże wzgląd na twoje zdrowie, znów te ponure rozmyślania, o córko droga, nie zasmucaj ostatnich dni twego ojca!

Na te wyrazy Aniela powstała, odwróciła się do kasztelana, chciała się uśmiechnąć, aby rozjaśnić oblicze ojca, lecz usta jej tylko skrzywiły się dziwnie, a w oku zabłysła łza mimowolna.

— Aniello, codzień jesteś bledszą, mizerniejszą i smutniejszą!.. o ja nieszczęśliwy!..

— Nie, ojczu, to tylko twoje uprzedzenie, jestem zupełnie zdrową, szczęśliwą, spokojną, zdrową tak jak

ty, szczęśliwą, jak on, a spokojną jak sumienie niewdzięcznika!

Białobrzeski zmarszczył brwi, spojrział ponuro w oblicze córki, potem spuścił wzrok ku ziemi i rzekł:

— Anielo, co znaczą te gorzkie wyrazy, te ponure myśli?

— O nie, ojcze, myśli moje są tak jasne, tak czyste, jak przedmiot, który je zajmuje, jak *jego* dusza. Ojcze, jam błagała Boga o Stanisława, on pewno nie żyje, błagałam Go, aby i mnie pozwolił jak najprędzej otrząsnąć się z tej ziemskiej szaty i z nim połączyć.

— Ach, zawsze jedno! mówię ci, że Stanisław jeszcze będzie wolnym, powróci do nas.

— Powróci, ojcze, powróci! — zawołała z nadzwyczajną żywością Aniela — ale próżna nadzieja — dodała po chwili wpatrywania się w oblicze ojca — już pół roku upływa, jak powtarzasz mi to samo.

Wtem wszedł służący kasztelana i oznajmił, że jakiś obcy człowiek przyjechał do zamku i pragnie z nim mówić.

— Któż to być może? — rzekł, zamyślając się, Białobrzeski — jak sądzisz z jego powierzchowności?

— Zdaje się, że szlachcic, bo w zbroi i przy pałaszu, zresztą jeszcze młody i nie może być dygnitarzem.

— Czy ze służbą?

— Z jednym hajdukiem.

— Poproś go do tej komnaty.

Za chwilę drzwi się otworzyły i wszedł Kazimierz Śladkowski.

— Z kim mam przyjemność mówić? — zapytał Białobrzeski na ukłon młodzieńca.

— Jestem Kazimierz Śladkowski.

— Ach, staroście Międzyrzecki — dodał kasztelan z dziwnym przyciskiem — cóż go sprowadza w moje progi?

— Kasztelanie, słyszałeś zapewne, jak okropne nieszczęście dotknęło nasz dom...

Białobrzeski z zadziwieniem spojrzał na młodzieńca, rozumiejąc, że mówi o uwięzieniu ojca.

Kazimierz mówił dalej:

— Zbójca z Balaklaju zabił moją młodszą siostrę.

— Boże, co mówisz, Julja? którą błogosławi cała Ukraina.

— Nie, kasztelanie, młodszą, Zuzannę.

— Nieszczęśliwa! — odezwała się ze współczuciem Aniela i z zajęciem utopiła wzrok w obliczu młodzieńca.

— Słyszałem, że tenże sam łotr więzi w swych lochach i waszego...

— Przyjaciela naszego — przerwał, uprzedzając młodzieńca, kasztelan.

— Pana Stanisława, zatem z większą śmiałością, jako wspólnie pokrzywdzony, przyszedłem błagać was o pomoc przeciw temu nikczemnemu zbójcy, obszedłem pół Ukrainy, zebrałem 150 ludzi, przyczyni-że się i ty panie, do powiększenia mych sił.

— Z największą chęcią, szlachetny młodzieńcze, oddaję pod twoje rozkazy całą załogę zamku. Siedmudziesięciu ludzi wysłę dla wzmocnienia twego hufcu.

Aniela podniosła do ust rękę ojca.

— Dzięki ci, panie, dzięki — rzekła słabym głosem.

W tej chwili powtórnie wszedł służący z oznajmieniem, że jakaś stara kobieta przybyła do zamku i pragnie jak najspieszniej widzieć się z panem starościcem.

— Cóż to za kobieta?

— Ach prawda, kazała powiedzieć, że nazywa się Marta.

— Niech wejdzie! niech wejdzie! — zawołał młodzieniec; potem dodał do kasztelana — jest-to stara lekarka, tułaczka, lecz przywiązana do naszej rodziny; już jej wiele winni jesteśmy, zapewne i teraz przynosi jaką ważną wiadomość, tyczącą się mojej wyprawy.

— Ach, panie starościcu! — zawołała Marta — już pół dnia gonię za wami — wybaczcie, kasztelanie, że aż w waszym domu ścigam pana Kazimierza, lecz wiadomość, którą mu mam udzielić, i was nieco dotyczy.

— Cóż takiego, mów, słuchamy cię.

— Zbójcy już wiedzą o waszem przygotowaniu do napadu na Balaklaj, i możecie mi wierzyć, iż wyprawa ta, teraz zostanie bez skutku, ale za trzy dni ma być jarmark w Białocerkwi, tam będzie Grzegorz z całą swą bandą, przebraną pod różnemi postaciami, otoczą więc miasto a możecie ich ująć wszystkich!

— Po czemże poznamy zbójców wśród tego tłumu?

— Grzegorza samego ja wam wskażę, a gdy się rzucicie na niego, w jednej chwili znajdzie się cała banda, lecz potrzeba działać przezornie, a nadewszystko

nikomu nie objawiać tego zamiaru, aby się zbójcy o nim nie dowiedzieli.

— O, Bogu niech będą dzięki, może Stanisław zostanie wybawionym!

— Bądź tego pewną, kasztelanko — odrzekła Marta — jeżeli tylko wyprawa ta dochowa się w tajemnicy przez trzy dni.

— Zkąd posiadasz te wiadomości, Marto? — zapytał Kazimierz.

— Wiecie, Starościcu, że my lekarze, uzdrawiając ciało, musimy czasem leczyć słabość duszy. Wczoraj wezwaną zostałam do jednej kobiety, żony zamożnego karczmarza, którą mieli za opętaną. Zaraz po kilku chwilach rozmowy, poznałam, że cierpienia wewnętrzne są przyczyną jej choroby, rozpaczy i niespokojnych snów. Z łatwością pozyskałam jej zaufanie i słaba zwierzyła mi się, że kocha białego Grzegorza, że ten często bywał w jej karczmie, zapewne na zwiady i dla zbierania nowin. Łotr, pieniędzmi chcąc zjednać sobie jej przychyłność, zyskał miłość; teraz od miesiąca nie był w jej domu, nieszczęśliwa ze smutku i tęsknoty wpadła w szal obłąkania.

Biedna kobieta prosiła mnie, aby choć czarami skłonić Grzegorza do wzajemności, przyrzekłam jej to, oświadczyłam, że, nie widząc osoby, nie mogę tego dokonać. Karczmarka wyznała, że jeden z bandy, będąc u niej przed paru dniami, kupował chłopskie odzienie, i mówił, że cała banda wybiera się na jarmark do Białocerkwi, gdzie moja chora przyrzekła udać się ze mną, aby mi pokazać zbójcę.

— Biedna kobieta! cóż się z nią stanie, gdy się dowie o ujęciu jej kochanka — odezwała się smutnie Aniela.

— Jakiś czas popłacze, a później zapomni — odrzekła Marta — o, czas jest najpotężniejszym lekarzem na wszelkie cierpienia.

Aniela gorzko się uśmiechnęła i wzruszyła głową.

ROZDZIAŁ XI.

Z odległych stron Ukrainy ciągnęła szlachta, mieszczanie i gromady wieśniaków na jarmark do Białocerkwi. Drogi wypełnione były wozami, stadami rosłego ukraińskiego bydła i koni. Wozy i kolasy, pełne wystrojonych mieszczek i szlachcianek, ciągnęły jedna za drugą; mężczyźni przy pałaszach u boku i sztucerach na ramionach, konno towarzyszyli żonom i rodzinie.

Na rynku kupcy z Kijowa i Kamieńca Podolskiego porozkładali swe kramy — targ się jeszcze nie rozpoczął, bo właśnie odbywało się nabożeństwo w kościele Panny Maryi. Wszystkie gospody przepełnione były przybyłymi na jarmark, bo wojna jakby dla dogodzenia handlowi przeniosła się za Dniepr i zostawiła swobodną okolicę.

Około godziny dziesiątej dały się słyszeć wystrzały z moździerzy i głosy dzwonów; potem uroczysty, poważny, religijny śpiew oddalony; odgłos jego rósł zwolna

i nieznacznie, śpiew stawał się coraz wyraźniejszym, nareszcie na murze, otaczającym miasto, ukazały się chorągwie, obrazy i światła, towarzyszące procesyi.

Kondukt zbliżał się coraz więcej do głównej gospody, gdzie zajmowali mieszkania znakomitsi panowie z okolicy. Przy bramie stał mężczyzna w ciemnym kontuszu i czerwonym żupanie, baczny okiem przyglądając się przechodzącym z procesyą, niekiedy szeptał coś do swego hajduka, jakby wydawał mu rozkazy, czasem wskazywał niektórych, mianowicie bogatszych panów, a służący słuchał wszystkiego z uwagą.

Wtem, wśród tłumu przechodzących ukazała się jakaś żebraczka, miała twarz zasłoniętą, a gdy ujrzała nieznanego obserwatora, odwróciła się i udała w przeciwną stronę, lecz szlachcie w ciemnym kontuszu spostrzegł ją także i zmarszczył brwi, potem wskazał słudze, który pobiegł za nią, ale żebraczka znikła w tłumie.

W miarę zbliżania się konduktu, lud zdejmował czapki z uszanowaniem, schylając głowy przed świętymi obrazami. Szlachta z gołemi pałaszami towarzyszyła baldachimowi, spoglądając na tłumy ludu, zgromadzone wokoło; za księżmi postępowali znakomitsi panowie; nieznajomy, ujrzawszy ich, tak licznie zebranych, rozjaśnił czoło i z radością zatarł ręce.

Tymczasem orszak przeszedł; jarmark się rozpoczął; miasto ożyło w tysięcznych odgłosach i niezwykłym ruchu.

Zegar na ratuszu uderzył dwunastą godzinę.

Wtem nagle ziemia zatętniała pod kopytami kilkuset jeźdźców, poczet zbrojny wbiegł do miasta, na czele Kazimierza, zamknięto wszystkie bramy i odezwał się odgłos:

— Biały Grzegorz, Biały Grzegorz jest pośród nas, trzymajcie go!..

Na to wołanie, na to groźne imię, ogarnął przestrach całe miasto. Grzegorz! Grzegorz! powtarzano ze wsząd, a każdy chronił się, gdzie mógł. Uderzono na gwałt w dzwony, a ich jęk przejmował jeszcze większym przestraszaniem trwożliwe tłumy i rodził coraz większe zamieszanie.

Kupcy poopuszczali swe kramy, mieszczenie wozy, rozbiegając się z krzykiem. Wtedy kilkunastu ludzi w różnych ubiorach, chłopskich, mieszczańskich, żebrackich, nawet szlacheckich, zaczęło obiegać kramy i oczyszczać szuflady, zabierając co tylko kosztowniejszego popadło im pod ręce, inni obcinali konie od powozów i ładowali na nie zdobycz, a inni jeszcze udawszy się ku najbliższej bramie miasta, zaczęli toporami ją wyrąbywać, a wszyscy powtarzali:

— Ratujcie! Biały Grzegorz jest między nami!

Wśród powszechnego zamieszania i trwogi, nikt nie zwracał na nich uwagi, bo każdy myślał o sobie, każdy ratował swoją własność, rozumiano przeto, że i oni podobnie także czynią.

Wtem na środku rynku orszak zbrojny otoczył owego mężczyznę w ciemnym kontuszu i czerwonym żupanie, gdy wydawał swoim ludziom rozkazy. Nieznajomy dobył dwóch pistoletów i wystrzelił do najbliżej

nacierających, którzy natychmiast spadli z koni, potem wydał przewlekłe, silne świnięcie.

Nagle odezwały się wołania:

— To Biały Grzegorz! trzymajcie go!...

W jednej chwili zagrzmiało kilkadziesiąt z różnych stron wystrzałów, za każdym niemal wozem, za każdym kramem, ukrywał się zbójca.

Bitwa trwała chwil kilka, kule i cięcia pałaszy zdawały się nie jąć bandyty, bo pod kontuszem gruby stalowy pancerz zasłaniał go od ciosów nieprzyjaciół.

W parę minut wybuchło kilka pożarów w różnych stronach i walczący niemal zostali otoczeni ogniem. Jakby nadomiar zamieszania wybiegło z bocznej ulicy kilkanaście dzikich, stepowych koni, przywiązanych do wozów, napełnionych palącym się sianem. Rumaki żołnierzy Kazimierza Ślaskowskiego przełęcznione, zaczęły się rzucać, gdy pomiędzy nie wpadło kilkunastu braci, roznoszących płomienie. Tymczasem atakowany, korzystając ze sposobności, z nadzwyczajną zręcznością wskoczył na jeden podobny ognisty wóz, wściekle bieguny wyniosły go z pomiędzy nieprzyjaciół, wtedy wystrzałem z pistoletu powalił je na ziemię, dosiadł podanego sobie konia i w jednej chwili, na czele bandy wybiegł wyrabaną bramą, pozostawiając nacierających i miasto w płomieniach.

Około godziny pierwszej znów wszystkie drogi około Białocerkwi zapełnione były powracającymi, albo raczej uciekającymi z jarmarku. Szlachta, mieszczanie i chłopstwo biegło razem, w jednej gromadzie, piechotą, gościńcem, zapełnionym kurzem — wszystkie niemal

konie i powozy zostały w mieście lub zabrał je Biały Grzegorz.

Trwoga, pośpiech i skwar słoneczny, przytem okropny kurz, wycieńczyły nadzwyczaj siły powracających a droga ogołocona była z drzew i cieniu.

O kilka mil od Białocerkwi, na małej drożynie wśród stepu, widzieć można było młodą dziewczę i podszłego wieku mężczyznę w czarnym kontuszu, upadających pod brzemieniem znużenia, blade oblicze dziewczęcy przybrało kolor sinawy, oczy się przymknęły i głowa zwisała na ramieniu towarzysza.

— Nie, ojcze, już iść nie zdołam, siły mnie zupełnie opuściły! — rzekła dziewczica słabym głosem i bezwładnie zgięła kolana.

— O, drogie dziecko — wymówił starzec, składając ją zwolna na ziemi — czy mocno cierpisz, co ci dolega?

— Nic, ojcze, nic, jestem tylko znużona, zdaje mi się, że zasypiam, w piersiach mnie piecze... — i po tych słowach nieszczęśliwa zamknęła oczy i upadła zemdlna.

Starzec jęknął boleśnie i zaczął cucić córkę.

— Anielo, dziecko moje, przyjdź do siebie, otwórz oczy i spojrzysz choć raz jeszcze na twego ojca! — wołał starzec z rozpaczą — o ja nieszczęśliwy, przewidywałem smutny ten wypadek, nie chciałem jej brać z sobą!

Wtem dziewczica ciężko odedtchnęła. Białobrzęski podwoił starań, zdjął z siebie kontusz i zasłonił córkę od słońca, zaczął rwać rękami zielska i okładać liśćmi jej gorejące czoło.

Wśród drogi ukazał się tuman kurzu i wkrótce nadjechała bogata karoca.

— Stój! — zawołał na woźnicę miły, niewieści głosik — patrz, ojcie, jacyś nieszczęśliwi, ustali od skwaru, ratujmy ich!..

Powóz się zatrzymał i szybko wyskoczyła ujmująca Julja Śladkowska, potem z wolna wysiadł za nią starosta.

— Panie, daruj nam śmiałość — przemówiła bojaźliwie dziewczica do Białobrzeskiego.

— Ach, to pani!... pan Bóg zsyła anioła opiekuńczego Ukrainy na pocieszenie strapionego ojca, o ratuj, ratuj moją córkę!..

— Zapewne ze znużenia omdlała? — zapytała Julja Śladkowska.

— Tak jest — odrzekł Białobrzeski — parogodzinna, piesza podróż, przytem przełęknięcie i skwar słoneczny, wyczerpały jej słabe siły, utraciła zmysły wśród stepu!

Starosta rozkazał swemu słudze biedz jak najśpieszniej do bliskiej wioski po wodę.

— Ach, jakąż ona blada — przemówiła Julja, przyklękawszy, aby unieść głowę omdlełą.

Aniela rozwarła nieco ciężkie powieki i lekko się uśmiechnęła, ujrawszy oblicze starościanki z takim współczuciem ku niej zwrócone.

— Panie, przenieśmy ją do naszego powozu, tam jej będzie wygodniej.

— Tak, ale wy pani! — rzekł Białobrzeski.

— O, ja jestem silną, mogę iść piechotą, wszak będziemy jechali zwolna... a nawet może się i wszyscy pomieścimy!

— Lecz w tych piaskach konie z nami nie ruszą.

— Mniejsza o nas, wasza córka jest słabą, o nią tylko powinniśmy się troszczyć.

Tymczasem przybiegł służący z wodą.

Aniela, skosztowawszy tego ożywiającego napoju, odzyskała nieco sił i przy pomocy ojca i Julji wsiadła do powozu.

— A pani? — rzekł kasztelan, widząc że Julja ze starostą zamierzają iść piechotą.

— O, ja czuję dosyć sił, będę szła kawałek, a gdy się zmęcę, to zajmę wasze miejsce obok Anieli.

— O, pani jesteś prawdziwym aniołem! — przemówił z zapałem Białobrzeski — razem ze wszystkimi, którym wróciłaś życie, będziemy błagali Boga o pomysłność Julji.

— Jakto, pan mnie znasz?

— Raz tylko miałem szczęście widzieć cię, lecz tysiąc słyszałem pochwał i błogosławieństw, do których teraz i moje dołączę.

— O panie, nie zasłużyłam na nie — odrzekła dziewczica zarumieniona.

— Dokąd mamy jechać? — zapytał woźnica.

— Dokąd-że pan życzysz sobie być odwiedzionym? — rzekł Śladkowski do Białobrzeskigo.

— Do Stajków, wszak po drodze?

— Aah, więc mówimy z kasztelanem Białobrzeskim! — zawołała Julja.

— Tak, pani, który od dziś zostaje jednym z najzapaleńszych wielbicieli twych cnót! — wymówił z uniesieniem kasztelan i pocałował jej rękę z zapalem młodeńca.

Julja z zadziwieniem spojrzała na starca.

Powóz ruszył zwolna, tymczasem starzy ojcowie zaczęli mówić o niepomysłnej wyprawie przeciw zbójcom, o szalonej śmiałości Grzegorza, a słońce opuściło się ku zachodowi i powietrze stało się czyste i chłodniejsze.

Aniela coraz więcej przychodziła do siebie, nad wieczorem podróżni stanęli w dosyć porządnej gospodzie w Międzyrzeczu, gdzie na starostę czekały konie do przeprzagu. Śladkowski, pożegnawszy się z kasztelanem, zostawił je Białobrzeskiemu a dawnymi zwolna pojechał ku domowi.

ROZDZIAŁ XII.

Cnoty Julji stały się głośne na całej Ukrainie, a ich echo sprowadzało do Misuryna wielu konkurentów o rękę panny Śladkowskiej. Każdy mile i przyjaźnie przyjmowany był w zamku starosty, lecz żaden niepotrafił wzbudzić w niej tej skłonności, tego czystego uczucia, które bez widoków korzyści prowadzi dwie dusze na wspólną drogę trosk lub pomyślności, uczucia, które tylko Jędrzej pozyskał.

Śladkowski, szlachcic nawykły od młodu do życia surowego, żołnierskiego, ale dobry i czuły ojciec,

tyle kochał, uwielbiał córkę, iż nie tylko wybór małżonka, ale nawet całe postępowanie do woli jej pozostawił.

Widząc w Julji tyle rozsądku, dobroci i mocy nad sobą, czyż nie mógł jej zaufać?

Wkrótce po wypadkach, których byliśmy świadkami w Białocerkwi i na jej gościńcach, na zamek misuryński zajechał kasztelan ze Stajków pan Białobrzesci. Odwiedziny jego lubo niby tylko w przejeździe miały coś ważnego na celu, bo dosyć było spojrzeć na ten przepych niezwykajny, okazałość dworu, liczną służbę i staranny ubiór pana Stajków, aby ten domysł potwierdzić. Wreszcie kasztelan gościnnie przyjęty przez Śladkowskiego, pozostał w zamku i nie pojechał już dalej.

— O jakże się cieszę, łaskawy kasztelanie, iż nie zapominałeś o sąsiadach z Misuryna! — rzekł ze szczerością Śladkowski — serca nasze, dręczone tak długo od zawistnego losu, mile teraz przyjmują uczucia przyjazne.

— O, mości starosto! gdyby nie wdzięczność, która mi nakazuje złożyć wam podziękowanie, to odgłos cnót waszej córki sprowadziłby mnie do tego zamku, aby wspólnie z innymi złożyć hołd opiekunce Zaporóża!

— Zbyt łaskawem okiem widzicie moje małe przysługi, jakie zdarza mi się czynić nieszczęśliwym — odrzekła Julja — czyż i wy nie podalibyście kawałka chleba umierającemu z głodu, tego kawałka, który bezużytecznie wala się u waszych nóg?

O, już same te wyrazy dostatecznie malują piękną waszą duszę, pani, bo skromność czyż nie jest najświetniejszą ozdobą kobiety!

— Jakże się ma wasza córka, kasztelanie? — zapytał Śladkowski, chcąc przeciąć utrudzającą rozmowę dla córki.

— Zdrowsza, łaskawy sąsiedzie, lecz jeszcze nie zdołała opuścić domu, aby złożyć podziękowanie za waszą pomoc — odrzekł śpiesznie Białobrzeski, jakby nie kontent z tego zapytania — a syn wasz?

— Po niepomysłnej wyprawie do Białocerkwi, udał się do obozu hetmana Potockiego pod Lubnią. Rozpacz odjęła mu rozum, mimo prośb i nalegań moich, opuścił dom rodzica zapewne, aby szukać śmierci w bitwie z kozakami!.. O, lękam się bardzo o niego.

Na takiej rozmowie upłynął dzień, a kasztelan po gościnnem przyjęciu, wesół i z pięknymi nadziejami w duszy, powrócił do domu. Lecz niedługo znów widziano wytworny ekwipaż pana Białobrzeskiego na drodze do Misuryna; starosta ujrzał go z radością, bo serce jego łatwo otwierało się dla przyjaźni, jego córka z niejakią trwogą, bo przewidywała zamiary kasztelana, lecz pan Stajków znowu doznał tak ze strony ojca jak córki, serdecznego przyjęcia w zamku, a okoliczność ta zawróciła głowę biednemu staruszkowi, rodząc w nim dobre o sobie rozumienie.

Białobrzeski nie był samolubem, ani zarozumiałym, lubo żądza dostojęństw czas niejaki zajmowała wyłącz- nie jego duszę; obecnie zaś jakieś słodsze uczucie owładnęło nią mimowoli, i to uczucie, którego po raz pierwszy doznawał, powstawszy w sercu pięćdziesięcioletniem,

wyrugowało zeń wszelkie namiętności. Dziwny to zapewne fenomen, lecz często widywany.

Łagodność, dobroć i przyjęcie Julji, dodały otuchy sercu kasztelana, rodząc w niem miłe nadzieje. Dla tego Białobrzeski, po paru jeszcze odwiedzinach, wzięwszy starostę na bok i pogłodziwszy posiwiałej nieco czupryny, przemówił:

— Miły panie bracie i przyjacielu, córka wasza swemi cnotami i dobrocią zniewoliła sobie serce waszego sługi; czuję, że bez niej żyć by mi było przykro; jeżeli przeto nie macie nic przeciw temu, uczynicie mnie najszcześniejszym, oddając mi jej rękę!

Śladkowski nieco z zadziwieniem przyjął to przemówienie, nie dlatego, aby Białobrzeski miał być za starym w jego oczach do związku małżeńskiego, ale, że człowiek ten, będąc od dawna wdowcem, nigdy nie okazał najmniejszej ochoty zmienienia stanu, gdy obecnie, tak niespodzianie, uczynił wybór, niezgadzący się wcale z jego sposobem widzenia rzeczy.

Julja nie posiadała ani wielkiego majątku, ani jej ród nie odznaczał się starożytnością i dostojenstwem. A kasztelan wielce cenił dawność swego genealogicznego drzewa.

Jakkolwiek-bądź wiadomość ta uradowała starego ojca, ścisnął serdecznie przyjaciela, popłakali się starszankowie i zrobili ugodę o los Julji.

Białobrzeski rósł z radości, w głowie mu się kręciło z takiego wesela i szczęścia. Inny miałby to sobie za nic, możeby z dumą brząknął workiem, lub błysnął ojcu purpurą kasztelańską i starodawną tarczą her-

bową, a pannie, pokręcając wąsą, powtórzył: „Tak chce wasz rodzic! i basta!.. ze mną będziesz szczęśliwą, bo zostaniesz kasztelanową.“ O, i to już zanadto uniżenia, jak na możnego kasztelana, ale nasz Białobrzescki był istotnie zakochanym, wielbił Julję, ceniąc jej cnoty razem z powierzchowną pięknoscią ciała, powtarzając często:

— Starościanka oceniła mnie, jak ja ją, wie, że z człowiekiem podobnym mnie, pewniejsza spokojność w domu i szczęśliwsze pożycie, aniżeli z lada młokosem, który mi ani w rozumie, ani w majątku nie wyrówna. Tak myślały niewiasty za naszych ojców, ale Bóg świadkiem, że młódź dzisiejsza już nie taka jak dawniej. Świat się psuje i drobniej! — o, dobrze, że dziś żyjemy!

Biedny staruszek, to zwykła piosenka jemu podobnych, wybaczymy im.

Julja z okropną boleścią przyjęła wiadomość o oświadczeniu się kasztelana i przyrzeczeniu ojca; lecz już wyrok zapadł, został ogłoszony, apelować od niego nie chciała, gotowa była spełnić ofiarę nakazaną jej przez ojca a potwierdzoną przez jej dobroć, nie śmiała pytać łez swoich i tłumiała tajemnie głosy, odzywające się z jej duszy. Postanowiła zapomnieć błogich marzeń minionych lat, uciec z drogi, posianej najpiękniejszymi kwiatami, aby wypocząć pod cieniem sędziwego cyprysu. Miał to być spoczynek Tantala.

— Do Jędrzeja należeć nie mogę, nie powinnam o nim myśleć nawet, bo jego połączenie się ze mną byłoby początkiem wielu dla niego strat i późniejszych

cierpień. On sam może po niewczasie żałowałby, że poświęcił tyle pięknych nadziei dla miłości! dla niego świat cały otwarty, najpiękniejsze kobiety z radością wyciągają doń ramiona?.. a ja mam mu wydrzeć tyle szczęścia?.. On o mnie zapomni, gdy się dowie, że już nie jestem wolną, może z inną będzie szczęśliwy... a ja?..

Zamilkła, poczem jakby pragnąc oddalić od siebie złowieszcze obrazy, zawołała:

— Lecz czegoż mam się lękać o moje szczęście! będę czuwała nad Białobrzeskim, będę go szanowała, kochała go, jak zasłużył przez swoją dobroć i przywiązanie do mnie, osłodzę mu resztę życia, nagrodzę znoje i trudy, poniesione dla dobra kraju... I czegoż mogę się lękać przy nim? będę szczęśliwą, bo będę żyła więcej niż dla siebie — dla naszych włościń, dla sług, dla tylu nieszczęśliwych...

Tak wmawiała w siebie przyszłą pomyślność Julja, ale mimo jej woli, wnet odezwał się do niej inny głos, głos jej duszy, przemawiający wyrazami bez dźwięku, ale nadzwyczaj wymownie. Bo dziewica mimo mocy swej duszy, mimo oporu, została pociągniętą silną jego władzą.

Precz, precz odemnie, ułudny obrazie! już mi nie wolno patrzeć na ciebie, już nawet memi myślami rozrządzać nie mogę... Jędrzeju, żegnaj na wieki! żegnajcie piękne marzenia, czarowne chwile, przepędzone obok niego! O, bodajbym nigdy była się nie dowiedziała o jego imieniu, znaczeniu i godności, nie pragnęłabym większego! szczęścia nad to, jakie-

gom doznawała. Zrana, z nim na przechadzce... o jak słodko płyną chwile na jego rozmowie, jak upajające jego towarzystwo, jak czarowny głos jego mowy!.. W południe, z nim przy stole, znów jego wzrok, z wyrazem najwyższego zajęcia zwrócony na mnie w milczeniu, wieczorem, przy mistycznym blasku księżyca, znów obok niego w ogrodzie, znów podobne rozmowy, miłe, słodkie, zniewalające... O Boże, wszak się to wszystko już skończyło, znikło bez powrotu!.. O jak okropne życie bez nadziei. Dziś zimne, bez uniesień, bez ułudy, bez goryczy ale i najmniejszej radości i wzruszenia, jutro także same, spokojne, bez odmiany, z tą pewnością, że i pojutrze będzie podobne: o nie, to nie życie ludzkie, to byt istoty bezrozumnej lub rośliny, o, to nie do zniesienia!.. Boże, zabierz mnie z tej ziemi, gdzie mam żyć bez celu!

Nie, ja bluźnię! — zawołała po małym przestanku! — Pan Najwyższy nie utworzył najmniejszego proszku, któremu by nie dał przeznaczenia i nie wskazał drogi, którą użytecznie dla ogółu przebiegać będzie, a ja sama miałabym zostać bezużyteczną? Czyż opieka nad nieszczęśliwymi, czyż wspieranie ukrytej cnoty, nie może stać się celem życia? czyż powrócenia bliźniemu zdrowia, nadziei a niekiedy życia, nie zrodzi w mem sercu radości? Czyż radość widzenia tylu szczęśliwych za sprawą mej woli i usilności, nie zrodzi wzruszenia i nie zapełni czczości w mej duszy! O, Stwórco, wybac mi moje bluźnierstwo, narzekanie, i wesprzyj moje słabe siły!

[ROZDZIAŁ XIII.

W kilka dni po jarmarku w Białocerkwi podziemie bandy Białego Grzegorza brzmiało szczególną radością i weselem, wielka sklepiona komnata zastawiona była stołami pełnymi flasz, kielichów, kufli i innych różnego rodzaju naczyń. Na twarzy wszystkich biesiadników błyszczała radość i wyuzdana rozpusta, oblicze nawet samego wodza ożywione było jakimś szczególnym wyrazem tryumfu i zadowolenia; oczy jego jaśniały ogniem młodości, lica były zarumienione od trunku, żywe poruszenia zdradzały zbytek uczuć, napęniający jego duszę.

Głośnie śmiechy, żarty i przechwałki rozlegały się pod sklepieniem, puhary brzęczały, pieniący miód i gorzałka lały się strumieniami, słowem, bawiono się bez przymusu i po swojemu.

— O bodajto takie jarmarki — zawołał jeden ze zbójców — zdaje mi się, że ze wszystkich spekulantów, będących w Białocerkwi, my najwięcej zarobiliśmy.

— Zapewne i najwięcej nakupili za naszą brzęczącą monetę — odrzekł drugi, uderzając się po paszku.

— Ale bylić-by nam zdali piękną resztę, gdyby nie nasz wódz i Tomasz. Ktoby się był zdobył na podobny pomysł, te konie z zapalonem sianem były wyborne.

— Wiecie wy, bracia? — odezwał się ponury zbójca, znizywszy nieco głos, który zdawał się nie dzielić powszechnej radości — że nas ktoś musiał zdradzić

i wyraźnie dostrzegłem, że w Białocerkwi uczyniono na nas zasadzkę. Zkądby wiedziano, że Grzegorz ze swymi znajduje się na jarmarku?

— Czy uwierzycie, powiadał mi Tomasz, iż jakaś żebraczka, czarownica, poprzysięgła zgubę naszego wodza, a ile razy mu się ukaże, zawsze go dotknie jakieś nieszczęście. Otóż ta sama kobieta miała znajdować się na jarmarku i śledzić naszego wodza.

— Dziwna rzecz — rzekli wszyscy, przejęci jakimś złowróżbnym przest్రachem.

— Cóż ona ma do niego?

— Niewiadomo, to tylko pewna, że nasz nieustraszony wódz obawia się jej, jej jednej może tylko na ziemi.

— Spokojność! — zawołał w tej chwili Biały Grzegorz — uciszcie się, chłopcy!

Wszyscy zwrócili swe wejrzenia na bandytę, przed którym stał świeżo przybyły jeden z jego towarzyszy, cały okryty kurzem i potem, zdając wodzowi sprawę z jakiegoś poruczenia.

— Tomasz, prędko powróci? — odezwał się Grzegorz.

— Niezawodnie dziś wieczorem, lub najpóźniej w nocy — odrzekł zbójca — czeka tylko, aby się przekonać, którą drogę obierze Jan Żółkiewski, starosta rubieszowski, po wyjechaniu z Tawjanu, tymczasem mnie polecił, abym jaknajśpieszniej wracał do was, wodzu i oznajmił, by banda była w gotowości do wyruszenia, gdyż jutro przed wieczorem wypada ująć naszego podróznego.

— Czy liczny ma z sobą orszak starosta?

— Nie wiem, bom niebył w gospodzie gdzie stanął Żółkiewski, lecz, z rozkazu Tomasza, zatrzymałem się we wsi, jako przejeżdżający kramarz, rozprzedając towary zabrane w Białocerkwi, gdy on sam udał się do karczmy na zwiady i zapewne zebrał wszelkie potrzebne wiadomości, jednak sędzę, że starosta, wracający z niewoli, nie wiedzie z sobą mnogiego poczetu.

— I ja tak sędzę, Mańkucie, dlatego dwudziestu ludzi zapewne nam wystarczy. A nie mówił ci także Tomasz, czy Białobrzeski został uwiadomiony o przybyciu Żółkiewskiego? — zapytał znów bandyta.

— Wiem tylko, że przed miesiącem przyjechał do Stajków służący Żółkiewskiego, który wysłany był przez pana do Żółkwi z doniesieniem, że Jan Żółkiewski, starosta rubieszowski, powracając z niewoli tureckiej, zachorował na żółtą gorączkę i leży w Ocza-kowie.

— Wiem o tem od Tomasza i zdaje mi się, że i dziś Białobrzeski jest uwiadomiony o zbliżaniu się starosty i zapewne wyjedzie na spotkanie tak pożądanego gościa, może i narzeczoną Żółkiewskiego, panna Teresa Białobrzeska zechce przyjąć oblubieńca; nie słyszałeś co o niej?

— Zupełnie nie, mówią, że na pierwszą wiadomość o nieszczęśliwej klęsce pod Cecorą Stanisława Żółkiewskiego i wzięciu do niewoli jego syna Jana, a jej narzeczonego, Teresa weszła do klasztoru i tam zostaje do tego czasu, ale jednak nie przyjęła żadnego święcenia.

— Żal jej było widać wyrzec się kochanka, żywiła się nadzieją, która ją zawiedzie — rzekł Grzegorz z uśmiechem. — No spocznij, Mańkucie, posil się, bo skoro tylko Tomasz przybędzie, wyruszymy.

Potem odwracając się do biesiadujących towarzyszy, przemówił głośno:

— Chłopczy, słuchajcie mnie! znów błysnęła nam nadzieja pozyskania obronnego zamku, pozyskania dóstatków i ogromnych bogactw, za kilka dni będziemy panami Stajków!

— Vivat nasz wódz, vivat Biały Grzegorz! — zawołali zbójcy.

— Dziś po zachodzie słońca wyruszymy do Tajwanu, tam ma odpoczywać Jan Żółkiewski, powracający po kilkoletniej niewoli do ojczystego majątku. Te długie cierpienia i trudy w więzach oraz kilkonastoletni przeciąg czasu zmieniły jego oblicze do niepoznania. Starosta przed swoją niewolą miał żenić się z siostrą kasztelana Białobrzeskiego i dziś, wracając do ojczyzny, listownie oznajmił mu, że zawsze trwa w swoim postanowieniu. Okoliczność ta stała się dla nas bardzo korzystną, postanowiłem zastąpić miejsce Jana Żółkiewskiego. I cóż o tem mówicie?

— Wodzu, to zbyt śmiałe przedsięwzięcie, Teresa Białobrzaska zapewne pozna was.

— Nie lękam się o to, cała rzecz polega na ujęciu starosty z całym jego orszakiem, zresztą spuście się na mnie. Skoro z wami wjadę w mury zamkowe, Stajki już moje... Damy łaskawy chleb kasztelanowi, zamknąwszy go wraz z córką, aby nie poszedł żalić się

do króla i nie sprowadził na nas wojsk jego, sami będziemy używali spokojnie owoców naszej pracy!

— Vivat Grzegorz! — powtórzyli znów zbójcy.

— Teraz, chłopcy, już dosyć hulanki, szykujecie się do wyprawy.

Zbójcy powstali z miejsc swoich, rozbiegli się po komnatach dla opatrzenia broni. Przed zmierzchem przybył Tomasz.

— No, cóż mi przynosisz, Tomaszu, gdzieś zostawił starostę.

— Dziś po południu opuścił karczmę w Tawjanie, dałem mu Ryżego za przewodnika. W nocy stanie zapewne w Kremińczuku.... Lecz, wodzu, zachodzi mała przeszkoda w naszych przedsięwzięciach. Żółkiewski zawiadomił matkę i Białobrzeskiego o swoim przybyciu. List, pisany do Żółkwi, przejąłem, lecz kasztelan swój odebrał. W tem tu, pisze starosta rubieszowski o swych cierpieniach w niewoli, donosi, że okulał, że cały orszak jego składa się tylko ze trzech ludzi wiernych sług, którzy dzielili z nim nawet niewolę...

— O, do stu szatanów! to nie będziemy mogli wprowadzić do Stajków naszych towarzyszy! — zawołał Grzegorz — zapewne i kasztelan posiada podobne wiadomości. Trzeba grać rolę narzeczonego, nawet wziąć ślub z panną Teresą a potem niby z Żółkwi przybędzie po mnie orszak dla przeprowadzenia z pompą mej żony do rodzinnego domu, ten hufiec wy składać będziecie, i skoro dostaniecie się do Stajków, już nasz zamek.

— Wybornie, wodzu! widzę, że dla was niema przeszkód.

— To, coś uważał za przeszkodę, uczyni mi jeszcze przysługę, zostanę mężem młodej żony. Widziałeś Teresę, czy ładna? zapewne już zbyt dojrzała?

— Nie widziałem, wodzu, jeszcze, zapewne nie wróciła z klasztoru pp. Benedyktynek, ale jak słyszałem, gdy opuściła dom brata, miała zaledwie lat piętnaście, zatem dziś ma około trzydziestu.

— Tem lepiej, tem lepiej, że nie stara! — zawołał bandyta i silnie uderzył w dłonie.

Na ten znak pięćdziesięciu jego towarzyszy stanęło w porządku na długim korytarzu, każdy uzbrojony w długi nóż lub pałasz, pistolety i rusznice. Grzegorz wybrał z pomiędzy nich piętnastu i, rozkazawszy im ubrać się w porządną odzież, na ich czele wyruszył wraz z Tomaszem w drogę. Drugą zaś połowę oddawszy pod dowództwo Mańkuta, zostawił w Balaklaju.

Już zciemniało, gdy Grzegorz ze swymi towarzyszami stanął w Krzemieńczuku. Bandyta polecił jednemu ze zbójców, wejść do karczmy, oświadczyć, że jest posłańcem Białobrzeskiego i zapytać, czy przejeżdżał już Żółkiewski.

Arendarz odrzekł, że nie widział nikogo.

Zbójcy zatem udali się naprzeciw niemu ku Tawjanie.

Wkrótce ukazało się na drodze czterech jeźdźców, pan, jak było widać po jego odzieży z wylotami i dwóch sług, na objuczonych rumakach, na czele postępował Ryży, jako przewodnik.

— To oni — zawołał Grzegorz — śpieszmy naprzeciw nim i baczność na moje rozkazy.

A uszykowawszy swój oddział, ruszył ku podróznemu.

— Mam honor mówić z wielmożnym Janem Żółkiewskim, starostą rubieszowskim? — zapytał, kłaniając się, bandyta.

— Tak jest, przyjacielu... czego żadasz? — odrzekł podróżny.

— Jestem wysłany z tym orszakiem przez pana Białobrzeskiego przeciw wam, starosto, gdyż drogi są niebezpieczne, słyszeliście zapewne o rozbojach Białego Grzegorza.

— Ach, tak, mówiono mi, lecz cóżby ten zbójca zyskał odemnie, powracającego z niewoli.

— Wasza osoba szacowniejsza nad złoto, nawet dla zbójcy.

— Jesteś dworakiem, mój przyjacielu — rzekł z uśmiechem starosta — na cóż bym się przydał temu Grzegorzowi.

— Mógłby na przykład przytrzymać was, panie starosto, odebrać papiery i udać się za Żółkiewskiego?

— Jakto, alboż mnie nie znają?

— O, kilkonastoletni przeciąg czasu może mocno zmienić oblicze i całą powierzchowność człowieka, wy sami, panie starosto, przed klęską pod Cecorą byliście dorodnym młodzianem, dziś, prawie jesteście zgrzybiatym starcem. Raczej przeto przyjąć moją opiekę i śpieszyć przed nocą ku Stajkom.

Po tych słowach bandyta dał znak, a zbójcy otoczyli Żółkiewskiego.

— Masz słuszość, mój panie... jakże cię mam nazywać, nazwisko twoje?

— Biały Grzegorz, do usług waszych, starosto!

— Co?... lecz pytam, jak się waść nazywasz?

— Rozumiem was, panie Żółkiewski, widzicie przed sobą waszego sługę, Białego Grzegorza — odrzekł bandyta z uśmiechem naigrawania.

— Zdrada! — zawołał starosta i porwał za pałasz, ale jeden ze zbójców przytrzymał mu wzniesioną prawicę.

— O, panie starosto, pocóż narażać na szwank twą szanowną osobę! — zawołał Grzegorz, odbierając mu pistolety z olstrów — po co się mamy kłócić, jako gość zawitasz do naszego schronienia, osoba wasza będzie nieetykalną, bo gościnność przedewszystkiem! Bracia, zawiążcie oczy panu staroście i jego ludziom, nasze krwawe oblicza rażą wzrok jego, a ponure ściany naszych mieszkań mogłyby go przestraszyć i być przyczyną nowej słabości.

— Nikczemny! — zawołał Żółkiewski i rzuciwszy się ze sztyletem w rękę na zbójcę, silnie ugodził go w piersi, lecz wąż ta broń prysła na stalowym pancerzu, ukrytym pod sukniemi bandyty.

— Ha, ha, ha! widzicie, panie starosto, jak bezskuteczne wasze usiłowania, nawet stal kruszy się na moich piersiach. Za to oddasz mi wszystkie papiery i dowody, dotyczące waszej osoby, tylko śpiesznie i bez oporu, bo mam pomocników.

Na te słowa Żółkiewski podniósł do ust rękę, aby zębami ściągnąć śpiesznie z palca pierścioneł, na nim

znajdujący się. Grzegorz przeniknął myśl, nim została wykonana, i przytrzymał rękę.

— Ach, to zapewne jakaś pamiątka miłosna, dobrze mieć ją przy sobie, chłopcy, pomóżcie zdjąć panu staroście ten pierścionelek, obszukajcie zarazem kieszenie.

Zlecenie to w jednej chwili zostało wykonanem.

— Wodzu, oto jest jakiś plik papierów — zawołał zbójca.

— Podaj mi go.

Grzegorz odebrał spory zwój i zaczął przeglądać.

— List od matki, od Białobrzieskiego, od hetmana i od panny Teresy, wybornie to wszystko może się przydać.

— Wodzu, jeszcze jakieś papiery!

— Dobrze.... daj je!... Ach to firman Porty, nakazujący wolny przejazd przez kraje tureckie dla Jana Żółkiewskiego — o, to jest rzecz bardzo ważna. Teraz poszukajcie w tych tłumokach, co się tam znajduje.

— Suknie paradne pana starosty — odrzekł zbójca, odpiąwszy tłumok.

— I to dobre; wjeżdżając do domu narzeczonej, wypada wystąpić przyzwoicie; podajcie mi jeden z tych kontuszów. Ach, jakby umyślnie dla mnie robiony — zawołał Grzegorz, oblokłszy na się malinowy aksamitny kontusz — teraz podajcie mi ten złoty pas, sobolową czapkę... Tomasz, daj mi swoją karabelę, wysadzaną rubinami, a ty Kosooki przyszyj mi brody i czupryny!... No, teraz dobrze, wyglądam na porządnego człowieka... Tomasz, Kosooki i Hryćka udadzą się ze

mną, a reszta odprowadzi pana starostę do naszego mieszkania, oddacie mu komnatę po Zuzannie i nie zapominaście, że macie dostojnego gościa w swym domu.. Do widzenia, panie starosto, bądź gospodarzem w mem mieszkaniu! — rzekł, kłaniając się z szatańskim uśmiechem, bandyta.

I dwa orszaki rozjechały się każdy w inną stronę.

ROZDZIAŁ XIV.

Już była późna noc, kiedy mniemany starosta rubieszowski stanął pod murami Stajków. Białobrzeski, od chwili odebrania jego pisma, codzień spodziewał się przybycia pożądanego gościa. Dziś właśnie przybyła do domu brata, Teresa, siostra kasztelana, dawna narzeczona Jana Żółkiewskiego. Mimo kilkonasto-letniego rozłączenia, nie wygasło widać przywiązanie kochanków, bo w tem piśmie starosty Teresa była głównym przedmiotem.

Żółkiewski prosił kasztelana, aby mógł widzieć jak najspieszniej jego siostrę, aby raczył ją zawiadomić o jego powrocie i nakłonić do opuszczenia swego pu-stelniczego schronienia; oświadczył, że jedynem jego życzeniem jest przywieść do skutku ułożony związek i jaknajprędzej nazywać się mężem Teresy.

Zaledwie zatętniał most zwodzony pod kopytami koni, Białobrzeski zerwał się natychmiast z postania, wysłał służącego dla dowiedzenia się, czy nie Żółkiewski przybywa, i zaczął się śpiesznie ubierać.

Sługa wrócił po chwili, oznajmiając przyjazd starosty, i kasztelan wyszedł ze służbą, niosącą zapalone pochodnie, na przybycie gościa.

Fałszywy Żółkiewski właśnie zsiadł z konia i oddawał go Tomaszowi, gdy Białobrzeski wybiegł na dziedziniec, i wyciągając ramiona, postąpił ku bandycie. Słudzy ze światłem pozostali jeszcze nieco w tyle i kasztelan nie mógł widzieć rysów twarzy Grzegorza, na której igrał uśmiech tryumfującego lucypera; rzucił się w jego objęcia.

— Witaj mi witaj, starosto, bracie mój miły!... jakże się masz? o jakżem szczęśliwy, panie Żółkiewski, iż was oglądam zdrowego! podobno chorowałeś na żółtą gorączkę?

— Radość, jakiej doznaję w tej chwili, mój najdroższy przyjacielu... każe mi zapominać o minionem!... jakże się ma wasza siostra, podobno mieszka w klasztorze? — zapytał bandyta.

— Tak jest, mieszkała dotychczas, lecz dziś znajduje się w domu, zapewne nas oczekuje, śpieszmy, starosto!

I wprowadził zbójcę do komnat zamkowych!

Na progu gościnnej sali spotkała ich Teresa.

Panna Białobrzeska, młodsza siostra kasztelana, osoba trzydziestoletnia, lecz miłej jeszcze powierzchowności, łagodnego i czułego charakteru, przed szesnastu laty narzeczona Jana Żółkiewskiego, starosty rubieszowskiego, syna Stanisława Żółkiewskiego kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, który wraz z ojcem w czasie strasznej klęski jego pod Cecorą, potykając się

z nieprzyjaciołmi, został mocno raniony i do niewoli wzięty, gdy właśnie, po powrocie z wyprawy miał zaślubić Teresę.

Kochająca dziewczica została niepokieszoną po stracie kochanka i, obrzydziwszy sobie świat, wstąpiła do klasztoru, chcąc przywdziać suknię zakonną; lecz prośby brata, nadzieja, ukazywana jej przez niego, że wkrótce ujrzy narzeczonego, wracającego z niewoli tureckiej, wstrzymała ją od tego postanowienia. Jednak młoda dziewczica, przywykwszy do klasztornej życia, polubiwszy jego spokojność i swobodę, postanowiła pozostać w nim aż do powrotu Jana.

Tymczasem Żółkiewski, dostawszy się w ręce łakomego muzułmana, który, znając urodzenie swego jeńca, zataił go w swym domu, gdy nakazaną była wymiana niewolników, aby nie stracić ogromnego wykupu, aż dopiero po śmierci jego i nowem zawarciu pokoju przez Amurata, powtórnie nakazaną była wymiana jeńców — Żółkiewski odzyskał wolność.

— Tereso! — zawołał Grzegorz, wyciągając do niej ramiona.

Białobrzaska pośpieszyła ku niemu, lecz na pół drogi wstrzymała się, utopiwszy dziwne, niedowierające wejście w obliczu mniemanego kochanka.

— Panie! — wyrzekła, wahając się — kogóż widzę przed sobą?

— Jakto, Tereso, nie poznajesz mnie? mnie, Jana, twego narzeczonego, o Boże, widać, że serce twoje zupełnie zapomniało o mnie! więc ta sroga niewola i tru-

dy zmieniły mnie tak mocno, prawda, to szesnaście lat czasu!

Teraz dopiero Białobrzeski spojrzał na oblicze swego gościa. Okropna różnica, Jan Żółkiewski był młodzianem, kiedy się rozstali, dziś widzi przed sobą starca posiwiąłego. Czy te kilkanaście lat tak okropny wywarły wpływ na niego i tak niepojętą zrządziły zmianę. Żółkiewski powinien by mieć około czterdziestu lat, a kasztelan widział przed sobą blisko sześćdziesięcioletniego starca.

— Bracie, co znaczy to milczenie, ten nieruchomy marmurowy wzrok!.. O mój Boże, oto pierwsze powitanie przyjaciół na rodzinnej ziemi, oto przyjęcie od osób, których najwięcej po Bogu kocham! Tereso, czyż ta zmieniona długiemi cierpieniami powierzchowność moja trwoży cię tak mocno? lękasz się, abym nie zapragnął, na mocy dawnego twego słowa, nazwać cię żoną!.. O, prawda! — zawołał, przystępując do zwierciadła — to zgroza bierze, spojrzawszy na moje oblicze, trudno wymagać od pięknej kobiety, aby przytuliła do łona taką poczware!... Nadto cię kocham, Tereso, abym miał wymagać tak okropnej ofiary! Wracam ci twoje słowo! weź, odbierz i tę pamiątkę, która była moim talizmanem i najdroższą pociechą w mej niedoli! — zawołał zmienionym głosem, zdjawszy z palca pierścioneł i podając go Białobrzeskiej.

— To moja! — zawołała Teresa, przyglądając się obręczce — tak, Janie, tyś jest Żółkiewskim!... o, jesteś teraz pięknym, bardzo pięknym, mój Janie!.. Wybacz, daruj memu niedowierzaniu!...

I wyciągnęła do zbójcy ręce.

Grzegorz uchwycił je z zapalem kochanka, przycisnął do ust, do serca, znowu całował, wpatrując się zachwycony w oczy Teresy.

— O najdroższa, wracasz mi życie, nadzieje i szczęście! o, nie wiecie, jak gorąco pragnąłem was ujrzeć, moi przyjaciele! jak śpieszyłem, aby przycisnąć do łona drogie mi osoby. Przybywam... i zostaję niepoznany!.. odepchnięty!.. O, nie uwierzycie, jakie okropne to oszukanie się, ten zawód; zniosłem tyle trudów i cierpień, doznałem tyle zawodu nadziei; lecz nikt mnie nie słyszał, nawet żalącego się!.. Ale dziś... tego ciosu nie przeniósł-bym zapewne! Bo zaledwie powstałem z ciężkiej choroby, śpieszę dzień i noc, aby jak najrychlej ujrzeć was, najmilsi... patrzcie, wczoraj opuściłem Oczaków.

I, wydobywszy z kieszeni papier, dodał:

— Czytaj, kasztelanie, a przekonasz się z daty.

— O, wybacz nam, starosto, zapomnij o tej przykrości, której pomimo naszej woli byliśmy sprawcami! — rzekł Białobrzeski, ściskając bandytę. — Ale zapewne jesteś znużony, cierpiący?... spocznieś? już dziś nie spodziewaliśmy się ciebie, miałeś uprzedzić nas przez Marcina... ale gdzieś on jest, nie widziałem go między twymi sługami?

Zbójca zająknął się nieco, lecz w ten moment przyszedł do siebie, i, westchnąwszy, rzekł smutnie:

— Już nie żyje, biedny, przywiązany sługa.

— Jakto?... cóż mu się stało?

— Powrócił do Uczakowa wtedy właśnie, kiedy żółta gorączka grasowała najzawzięciej, nieszczęśliwy został jej ofiarą!

— Boże, świeć nad jego duszą! — wyrzekli brat i siostra.

Tymczasem służdy przynieśli posiłki i późno dopiero w noc biesiadnicy rozeszli się do swych komnat.

Od czasu przybycia do zamku fałszywego starosty, ponure jego komnaty ożyły nowym powabem, bo kasztelan pragnął uprzyjemnić wszelkimi sposobami pobyt gościa w swym domu.

Grzegorz starał się jak najmocniej przyspieszyć tragiczne zakończenie swej roli, czyli wesele z siostrą Białobrzeską, lecz z drugiej znów strony, obawiał się zbyt nęganiami zrodzić podejrzenie w duszy narzeczonej, w której i tak widać było ciągle niedowierzanie.

Ale sam Białobrzski przyczedł w pomoc mniemanemu staroście, pragnął on jak najspieszniej Julję nazwać swą żoną. Ojciec jej nie stawiał żadnych przeszkód jego uszczęśliwieniu, córka także nie sprzeciwiała się, nie odmawiała, ani potwierdzała czynionych jej przedstawień. Nieszczęśliwa dziewczica, jak dobrowolna ofiara, z rezygnacją schylała głowę pod miecz kata.

Naznaczono dzień ślubu i ułożono, że oba wesela odbędą się w zamku starosty międzyrzeckiego, ojca Julji.

Zwolna zbliżał się ten dzień uroczysty podwójnych godów. Białobrzski i Grzegorz każdy tydzień byli-by radzi zmienić w jedną chwilę; lecz Teresa i Julja

każdą chwilę w rok przedłużyć by pragnęły. Serce siostry Białobrzeskiego objęła jakaś okropna trwoga, jakieś przykre przecucie. Lubo kochała mocno Jana, terazniejszy nic nie miał wspólnego z Janem, dawnym kochankiem jej młodości, przedmiotem jej długoletnich marzeń, prócz nazwiska.

O jak przykre, jak bolesne musi być podobne rozczarowanie. Żółkiewski był czuły, łagodny, słodki w rozmowie i obejściu, teraz zaś ponury, groźny, popędliwy i mało-mówny, często roztargniony; czasem dzień cały przeminał a Teresa nie usłyszała ani jednego wyrazu z ust narzeczonego; niekiedy przeszedł około niej, nie spojrzawszy nawet, kiedyindziej znów pół dnia znajdował się w jednej z nią komnacie i nie przemówił.

O, to okropnie dla serca czułej kobiety!

Dzień ten był równie strasznym i dla Julji Śladkowskiej; pomimo jej potężnej mocy ducha, po kilkakroć już chwiała się w swoim postanowieniu dziewica, znać, że ta ofiara przewyższała jej siły!

Ileż dzisiaj w niej różnicy; dawniej, z spokojną myślą, z błogą w duszy nadzieją spoglądała w przyszłość — dzisiaj z piersią wzniesioną, z myślami w tysiączne rozdwojonemi sprzeczności, wzdryga się, ile razy zapuści wzrokiem po za uroczysty ten dzień. Skroń jej pali, usta spiekłe gorączką, oczy nabrzmiące, a jednak ani jednej łzy nie ujrzą ludzie, bo te łzy zostałyby spostrzeżone, rozbierane na szali domysłów, te łzy martwiłyby jej drogiego ojca.

Lecz już czas bliski, wkrótce zakończą się te trojski, spokojne, ciche dni przechodzić dla niej będą pod opieką kasztelana. Ciche, jak życie kwiatka pod odłamek niedostępnej skały, która zaślania mu niebo i wzbrania przystępu podziwiającym jego piękność, wygodne, jednostajne.

Ależ ta jednostajność, to szczęście bez żadnej przerwy, czyż będzie prawdziwem szczęściem?... jakież więcej powaby osłodzą tę długą przyszłość?

O, gdyby była Julja nie znała innych rozkoszy nad to ciche i spokojne w zbladłym uśmiechu pożycie domowej spokojności; nie znała innych nadziei, nie pojmowała innych powabów, ona nie pragnęłaby więcej i życie przemiełoby jej bez wzruszenia, lecz z sercem zadowolonym. Ale teraz, gdy obok wypieszczonej postaci Jędrzeja, widziała pomarszczone oblicze Białobrzezkiego, gdy serce jej na zawsze należało do młodzieńca, rękę oddać powinna kasztelanowi, gdy dusza jej pomimo tysięcznych walk wydzierała się za Koniecpolskim, ciałem miał władać Białobrzezki.

Oto jej przyszłość — osądźcie podobne poświęcenie!

ROZDZIAŁ XV.

Tymczasem nadeszła chwila zaślubin dwóch tych nieszczęśliwych par. W wigilję dnia tego. Białobrzezki z siostrą, fałszywym starostą rubieszowskim i licznym dworem przybył do Misuryna, gdzie nazajutrz miały

zostać pobłogosławione obie pary, przez kanonika międzyrzeckiego, a po południu wraz ze wszystkimi obecnymi gośćmi, udać się na ucztę i obchód weselny do Stajków, zkąd dopiero Żółkiewski miał zabrać żonę do domu.

W miarę zbliżania się tego dnia, upadło męstwo dziewczyc, dziś nareszcie Teresa, uczuła tak okropną niepokojność, trwogę i bojaźń, iż, pobiegłszy do brata, odkryła mu swoje uczucia, prosząc o wsparcie i opiekę.

— O, bracie mój drogi! ratuj mnie, ratuj! to nie jest Żółkiewski! jakaś okropna kabała, jakaś piekielna zdrada tu być musi, to nie jest Jan!...

— Tereso, przyjdź do siebie, moja siostro! porzuć to podejrzenie... czyż nie widziałaś tyle dowodów jego tożsamości, twój pierścionek, nasze listy, papiery... zresztą, jakież-by mógł być cel tego podstępu, czyż podobna, aby taki czyn mógł ukryć się długo.

— O, mój Marcinie, twoje rozumowania nie przekonywają mnie wcale, o gdybyś wiedział, jak okropna twoga, jak straszne przeczucie rozrywa me serce, a serce kobiety nie myli się nigdy; wierz mi, bracie, tu musi być jakiś okropny, niedocieczony, szatański podstęp!... O, bracie, ocal mnie, ratuj, dopóki jeszcze nie zapóźno!

I rzuciła się na łono kasztelana, cała zalana łzami.

— Tereso, Tereso, nie uwierzysz, jaką sprawiasz mi przykrość twoją próżną bojaźnią! — odrzekł prawdziwie zakłopotany Białobrzeski — cóż mam czynić? zerwać nasze układy i twoje małżeństwo?... jakież pozór dać mogę temu postąpieniu? Czyn ten okryłby nas śmiesznością w obliczu wszystkich.

— O, bracie, ty na takie drobnostki i na czcze pozory przyzwoitości zwracasz uwagę, gdy idzie o los całego życia twej siostry — rzekła smutnie Teresa — i gdzież się udam, kiedy brat mnie opuszcza!

— Porzuć-że, moja droga, tę płonną bojaźń, nie dręcz bezpotrzebnie sama siebie, wierz mi, że to tylko przywidzenia, i proszę cię, wybij je sobie z głowy!

— O Boże, ty się mną opiekuj, kiedy mnie ludzie opuszczają! wyprowadź mnie szczęśliwie z tego niezbadanego labiryntu niepewności, oświeć mnie, jeżeli podejrzenie moje jest fałszywe, i uspokój strwożony umysł!

Julja Śladkowska znajdowała się w podobnym, albo w okropniejszym jeszcze stanie, dziś już zupełnie prawie opuściło ją męstwo, odbiegła dawna moc ducha, a myśl, że nazajutrz los jej już na zawsze zostanie rozstrzygniętym, wprawiała ją w okropną, trudną do opisanja rozpacz. Pojmowała ona położenie ojca, wiedziała, że już raz danego słowa kasztelanowi odwołać niepodobna, że cierpienia jej bolały-by go, przeto nieszczęśliwa dziewczica starała się ukryć przed oczami ludzi, nawet łzy swoje.

Wtem dano jej znać, że Marta przybyła do zamku.

— Ach, proście ją do mnie, niech śpiesznie przybywa!

Żebraczka weszła do jej komnaty.

— Marto, wesprzyj mnie, ratuj, bo jestem nieszczęśliwa nad wszelkie wyrazy!

— Ty, starościanko? która raj na ziemi znaleźć-by powinna, cóż ci jest, moje dziecię?

— Jutro mój ślub z kasztelanem!

— Biedna, nieszczęśliwa dziewczyna! — rzekła smutnie stara — a Jędrzej?

— O Marto, nie wspominaj tego imienia, ono i tak brzmi bezustannie w mem uchu, teraz mi o nim myśleć nawet nie jest wolno, on moim być nie może! on jest synem wielkiego hetmana, jego ojciec dumny arystokrata!

— Jednak kocha swego syna i pragnie jedynie jego szczęścia!

— Marto, nie uwodź mnie, nie lśnij próżną nadzieją!... i tak upadam na siłach... to zbyt ciężkie dla mnie brzemie!

— Dziecię moje, ty cierpieć nie powinnaś, cnoty twoje nawet na ziemi wynagrodzone być muszą, miej nadzieję w Bogu, on jest wielkim i kochającym ojcem. Przed chwilą moje dziecko, panna Białobrzaska, którą znam jeszcze z klasztoru pp. Benedyktynek, także wezwała mej pomocy, objawiając mi swoje podejrzenie, iż ten, który się mieni Janem Żółkiewskim, nie jest nim.

— O Boże!.. to nie może być!

— Nie wiem, moja duszo, bom nie widziała tego człowieka i nie znałam także Jana Żółkiewskiego, lecz zdaje mi się, że Teresa mylić się nie powinna, bo któż jeżeli nie serce narzeczonej najlepiej poznać powinno.

— Ach, to szkaradny podstęp, to niepodobne do uwierzenia, moja Marto, i cóż zamýślasz czynić, czas tak krótki?

— Z rozkazu Teresy mają mi wyszykować konia; odjeżdżam do pana hetmana Koniecpolskiego, on naprzód

ze swego urzędu, a powtóre jako szwagier Zółkiewskiego, rzecz tę najlepiej rozstrzygnie. Mam jeszcze dwa dni czasu, dziś w nocy przybędę do Kudaku, gdzie obecnie mieszka Koniecpolski, opowiem mu wszystko i wezwę pomocy, jutro będziemy tu oboje. Co zaś do ciebie...

— O zmiłuj się, nie czyn żadnego kroku, już wszystko przepadło, już zapóźno!... jutro mój ślub w południe! — zawołała dziewczica — bo nawet, gdyby hetman przychylił się... ale nie, to niepodobna!... takiego szczęścia nie kosztują na ziemi... tu jest miejsce oczyszczenia, tu cierpieć tylko przeznaczono ludziom... w niebie Bóg zgotował nagrodę swoim wybranym!.. Marto, spełnię tę ofiarę. Stwórca użyczy mi nieco sił do dokonania tej misyi! oddam rękę kasztelanowi, on o resztę nie pyta... Będę go szanowała, pielęgnowała, wspierała nieszczęśliwych, niosła ulgę starcom i kalekom... o, wieleż to słodczy obiecuje mi przyszłość!

— Juljo, tyś jest prawdziwym aniołem, niech Bóg wspiera twoje zamiary! — zawołała ze łzami w oczach żebraczka, przytulając do łona dziewczicę.

To współczucie starej, jej rozrzewnienie znalazło odpowiednią strunę w duszy Julii, oblicze jej zalało się łzami, które ulżyły uciśnionemu sercu.

— Dziecię moje, miej nadzieję, ty musisz być szczęśliwą za moją sprawą! — rzekła, żegnając ją Marta, a w pięć minut później już jej nie było w zamku.

Gdy się to działo w Misurynie, w domu hetmana Koniecpolskiego powtarzały się niemal podobne sceny.

Jędrzej już oddawna postanowił błagać ojca o jego przyobiecane zezwolenie zaślubienia Julii Śladkowskiej, lecz uszanowanie. wpojone od dzieciństwa, i bojaźń usłyszenia odmowy, wstrzymywały go od tego kroku. Koniecpolski zaś, jakby przenikając zamiary syna, unikał wszelkiej sposobności ośmielenia go do wynurzenia swych uczuć. Lecz smutek syna trwożył serce hetmana; Koniecpolski był z natury łagodny i dobry, ale miłość honorów i duma zamknęły jego serce dla przystępu tych niewieścich uczuć. Często z przykutym wzrokiem do oblicza syna wpatrywał się w jego wybladłą twarz, a mimowolne westchnienie wyrывało się z jego łona.

Biedny młodzieniec cierpi zapewne mocno — lecz to małżeństwo zamknie mu los na zawsze.

Nareszcie Jędrzej postanowił już raz zakończyć to okropne oczekiwanie i niepewność.

— Ojcie, już mija pół roku, jak usłyszałem od ciebie pocieszające wyrazy, któremi przyobiecaneś udzielić mi swoje zezwolenie na zaślubienie Julii Śladkowskiej, dopełniłem wszelkich warunków, przez ciebie położonych, i błagam cię teraz powrócić mi życie, bo bez Julii...

— Synu! — przerwał hetman — rozumiałem, że zaślepienie twoje było tylko chwilowe, że przecie posiadasz choć cokolwiek uczucia swej godności i rozsądku, lecz wyznaję teraz z żalem, że się omylił; Jędrzeju, przyjdź-że do rozumu, zastanów się! ty z najszlachetniejszej zrodzony krwi, syn pierworodny i dziedzic Koniecpolskich, przeznaczony w Rzeczypospolitej pierwsze piastować urzędy, dla którego niema za wysokiej partyi

w kraju, którego z chlubą przyjęły-by pierwsze domy — tak niski uczyniłeś wybór! Jędrzeju, nie na próżno krew moja krąży w twych żyłach, ty sam wyrzekniesz się tego związku, skoro go rozważysz!

— Czyż imię Julji jest splamione jaką skazą, czyż w kraju naszym każdy szlachcic nie posiada równego prawa do najwyższych urzędów i dostojęństw, i czemuż mi związek ten ma ubliżać, jeżeli nie wezmę za nią bogactw znikomych, owładnę skarbem cnót, świętniejszych niż brylanty i złoto, jej przymioty uwielbia cała Ukraina!

— Jędrzeju, ja lepiej trzymam o Julji, aniżeli ty sam, i jestem pewny, że ona wyrzecz się tego związku, skoro się dowie, że on dla ciebie mógłby być szkodliwym.

— Wyrzeknie się!? — zawołał młodzieniec z przeżenieniem — czy zdaje się wam, ojcze że gdyby ona nawet wzgardziła mną, ja bym jej się chciał wyrzec?... tu, ojcze, jest Julja! — dodał, kładąc rękę na sercu — razem z życiem chyba ją ztąd wyrugujesz!

Na te słowa, hetman odepchnął syna od siebie, zerwał się z krzesła i zaczął szybko chodzić po komnacie; w parę chwil zatrzymawszy się przed nim, przemówił:

— Widzę, że rozum twój jest zupełnie obłąkany, że byłoby szaleństwem przekonywać ciebie rozsądnymi dowodami, rozkazuję ci więc, żebyś odtąd ani myślał nawet o tem małżeństwie, abyś zapomniał o niej i przyjął narzeczoną, którą ci mój wybór przeznaczy!

Na tak srogi rozkaz, na tę groźbę, wszystka krew uderzyła do głowy młodzieńca, w oczach mu zciemniało i zabłyśły tysiące światełek, przedmioty zaczęły się wokoło kręcić i młodzieniec zakrył oblicze dłońami.

Wtem dano znać hetmanowi, że pułkownik Potocki przybył do twierdzy i pragnie z nim mówić.

Koniecpolski rozkazał się oddalić synowi i wprowadzić pułkownika.

— Cóż mi przynosicie, panie Stanisławie Potocki? — zapytał przybywającego.

— Pomyślne wiadomości, j. w. hetmanie, od wojska, kozacy już po dwa-kroć porażeni pod atamanami, Ostrazinem i Skidanem przy miasteczkach Lubni i Hołtwi, cofnęli się ku rzece Starcz *) sądzą, że już długo opierać się nie będą w stanie.

— Czy wielkie straty w naszym wojsku?

— O, zupełnie mało znaczące — odrzekł pułkownik.

— Cóż więcej słychać w tamtych stronach?

— Prawie nic ważnego, mówią, że szwagier wasz, Jan Żółkiewski, wrócił z niewoli bisurmańskiej i bawi w zamku pana Białobrzeskiego.

— Jakto?... ja nic o tem nie słyszałem; i dawno już tam się znajduje?

— Podobno od paru tygodni, a wkrótce ma odbyć się jego wesele razem z kasztelanem...

— Więc i Białobrzeski żeni się także? a to z kim, mój pułkowniku?

*) Piasecki — karta 501.

— Z panną Julją Śladkowską, o której musieliście słyszeć, hetmanie, jej cnoty i poświęcenie się dla nie-szczęśliwych głośnie są po całej Ukrainie, wszyscy ją błogosławią i wielbią, jest to dziewica młoda w lata, ale dojrzała w rozsądek i dobre czyny, jej postać jest taka piękna, jak jej dusza, nawet to małżeństwo przekonywa tem więcej, że jej sława nie jest przesadzoną.

— Jakto, nie pojmuję was, wszak Białobrziski jest już podeszły w lata?

— Tak jest, jednak Julja nie odmówiła mu swej ręki, z posłuszeństwa dla ojca i przywiązania do waszego syna.

— Więc ich związki już tak głośnie, że aż wy o tem wiecie.

— Nie, hetmanie, wiem to tylko od Kazimierza Śladkowskiego, brata Julji, który jest moim przyjacielem.

— Lecz cóż to za rodzaj poświęcenia Julji, bo was nie pojmuję?

— Śladkowska pokochała waszego syna, gdy nie wiedziała o jego godności i urodzeniu, sądziła go równym sobie; później, gdy wypadki zrzędziły, że nazwisko Jędrzeja zostało przed nią odkryte; mimo silnego przywiązania, wyrzekła się szczęścia, z boleścią w duszy odrzuciła miłość Jędrzeja i, aby nakłonić go do naśladowania siebie, do zapomnienia niestosownej miłości, aby mu odjąć nadzieję przewyciężenia przeszkód, postanowiła uczynić ofiarę z siebie i oddać rękę starcowi, którego nie kocha.

— O, godna uwielbienia istota! i jak prędko ma odbyć się to wesele?

— Podobno za trzy dni — odrzekł Potocki.

— Więc już niedługo! — wymówił hetman, pograżony w dumaniach.

Tego dnia do samego wieczora był zamyślony, niespokojny i roztargniony, w wieczór, gdy się kładł na spoczynek, powtórzył po parę razy do siebie:

— Biedna Julja! teraz wierzę w miłość Jędrzeja.

W nocy śniło mu się, że widział syna w tysiącnych postaciach, przeklinającego jego srogą nieugiętość, skarżącego się, rozpaczającego, lecz zawsze bliskiego trumny. Jędrzej wzywał ojca, aby go ratował, lecz hetman dojść do niego nie mógł, jakaś nadprzyrodzona siła wstrzymywała go na miejscu, czuł, jak serce jego gwałtownie się ścisnęło, jak gdyby wąż oplatał go swymi krągami.

Dzień nie rozproszył wcale tych mar straszliwych. Koniecpolski zawsze miał przed sobą syna bliskiego grobu. Nie mogąc dłużej znieść stanu tak okropnego, nie wiedząc, czego żąda, co czyni, pragnąc tylko zakończyć jakkolwiek swoje cierpienia, udał się do komnaty Jędrzeja.

Młodzieniec spoczywał jeszcze w śnie głębokim, lecz nadzwyczaj zmieniony i blady.

Koniecpolski zadrżał, spojrzawszy na niego. Jędrzej podobniejszy był do trupa, niż do kwitnącego młodzieńca.

— Ach, Jędrzeju, synu mój, co tobie jest? — zawołał pomimowoli.

Młodzieniec rozwarł oczy i spojrzał z zadziwieniem na ojca.

— Jędrzeju, ty cierpisz, powiedz, co ci dolega?

— Wkrótce może, ojciec drogi, zakończą się moje cierpienia, czuję to...

Słowa te przeraziły hetmana.

— Młody pustaku, nie rozpaczaj, chciałem cię tylko doświadczyć — rzekł Koniecpolski łagodnie — zezwalam na wasze małżeństwo, weź, Jędrzeju, moje błogosławieństwo i jedź, wierzę ci, Julja posiada więcej, niż znikome bogactwa tego świata, z nią będziesz szczęśliwy!

— Ojciec, zezwalasz, błogosławisz twego syna! — zawołał, zrywając się z łoża, młodzieniec — o jakże ci dziękuję za tyle szczęścia, za tyle dobroci! codziennie u nóg twoich powinienbym ci składać dzięki za tyle łaski! — I upadł do nóg hetmana.

Koniecpolski podniósł go z dobrocią, uścisnął i wyrzekł:

— Uspokój się, Jędrzeju, radość twoja czyni mnie szczęśliwym, że jestem jej sprawcą; lecz we wszystkim powinna być miara, miej staranie o twojem zdrowiu, jesteś mocno zmienionym, ale mam nadzieję, że podróż ci pomoże, jedź jak najrychlej, niech Pan Bóg strzeże twej drogi i pobłogosławi twój żywot. Zegnam cię, synu, śpiesz, ja za tobą pojadę, załatwiwszy tu ważne interesa. — I odszedł.

W godzinę Jędrzej już był na drodze do Misuryna.

ROZDZIAŁ XVI.

Marta, po opuszczeniu zamku starosty międzyrzeckiego, z największym pośpiechem dążyła ku twierdzy Kudak, aby donieść hetmanowi o przybyciu do Stajków jakiegoś samozwańca i wezwać jego opieki dla Julji i Teresy.

Słońce wzniosło się do najwyższego punktu, dopiekając nieznośnie, powietrze było parne i niebo posiane drobnymi chmurami, a żebraczka, siedząc na koniu, okryta swoim szarym tatarskim płaszczem, pędziła z całych sił rumaka wśród drogi, pełnej urwisk, kamieni i krzaków po nad brzegiem Dniepru. Cała okryta była pyłem i znojem.

Zwolna chmury zaczęły się zgęszczać coraz mocniej, słońce ukryło się za ich szarą zasłoną, powietrze stało się ciężkie i duszne, ptaki umilkły i skryły się, cała natura zdawała się usypiać pod ciężarem znużenia.

Wkrótce dał się słyszeć uroczysty oddalony grzmot, potem lunął gwałtowny, nawalny deszcz; błyskawice biczowały czarne niebo, pioruny wstrząsały ziemią, przyroda, drżąc, ugięła kolano przed potęgą Pana wszechrzeczy.

Marta tylko zimna, obojętna na wszystko, co się wokół niej działo, jak duch posłuszny wyższej woli, pędziła kamienistą drogą, zmoczona deszczem, strudzona szybką jazdą i cała obryzgana błotem od biegu konia.

Woda strumieniami lała się z jej odzienia, z jej ciała kurzyła się para, a ona pędziła, jedyny cel tylko mając przed oczyma, jedyną myśl w duszy — wybawienie dwóch dziewcz.

Nad wieczorem chmury się rozrzadziły, jaskrawe zachodzące słońce znów ukazało swoje oblicze, jakby dla pożegnania ziemi, i majestatycznie ukryło się za horyzont, zostawiając tylko czerwoną po za sobą zorzę.

Na drodze od północy ukazał się jeździec, owinięty opończą, podobnie jak Marta, cały przemoczony deszczem, zbryzgany błotem, podobnie jak ona zimny i obojętny na wszystko, co się wokoło działo. Jak dwa duchy przeznaczenia, oboje zbliżali się w pędzie ku sobie, nie widząc się zapewne, i byliby może rozbili o siebie swe ciała, gdyby nie ominęły się ich rumaki, własnej pozostawione woli.

Mijając się, mężczyzna spojrzał na kobietę i zawołał z niejaką radością:

— Marta!

— Ah, to wy, panie Jędrzeju?

Oboje wstrzymali rumaków.

— Dokąd śpieszycie? — zapytała stara.

— Do Misuryna, Marto, do Julji!

— O śpieszcie, hetmanicu, śpieszcie, bo może przybędziecie za późno.

— Co mówisz? Julja chora, grozi jej niebezpieczeństwo śmierci?

— Tak, śmierci, lecz tylko dla was umrzeć może!

— O wyłomacz się jaśniej, Marto! nie dręcz mnie, miej litość!

— Jeszcze nie wszystko stracone, młodzieńcze, wkrótce ma być wesele panny Śladkowskiej, lecz jeżeli przybędziesz przed ślubem, możesz wszystko zmienić!

— O mój Boże! i Julja mnie się wyrzekła! — zawołał z rozpaczą młodzieniec — i dla kogóż to, ach powiedz, Marto, powiedz kto jest jej narzeczonym.

— Kasztelan Białobrzęski.

— Ten pięćdziesięcioletni starzec i jego to przyniosła nademnie.

— Uczyniła to dla was samych, dla waszego dobra! bo była mniemania, że połączenie się wasze z nią mogłoby przynieść wam szkodę, przewidywała, że zezwolenie ze strony waszego ojca wiele trudów i boleści kosztować was będzie! O, wy nie jesteście w stanie, panie Jędrzeju, ocenić jej poświęcenia! ona was zawsze kocha.

— O mój Boże!.. Boże!.. i kiedyż to wesele?!

— Jutro, w samo południe — odrzekła Marta.

— Jutro! — zawołał młodzieniec okropnym głosem — a tyś mi dotąd nic o tem nie mówiła! tyle chwil straconych... Bądź zdrowa, biegnę!..

I, spiąwszy konia ostrogami, opuścił starą żebraczkę.

— Biegnij,¹ nieszczęśliwy młodzieńcze! — rzekła do siebie Marta. — O Boże, przyspiesz jego kroki, niech przybędzie na czas, wszak oboje zasługują na twe łaski, spraw niech cnoty wobec świata i występnych odbiorą nagrodę i niech zepsuci ich tryumfem zostaną upokorzeni!

A coraz szybszym krokiem znów puściła się w dalszą drogę. Do twierdzy już było niedaleko.

Młodzieniec biegł z całych sił, rumak zmęczony, pokaleczony ostrogami jeźdźca, zaledwie jeszcze mógł być posłuszny nagłacemu go panu. Coraz większa ciemność ogarniała ziemię, już zaledwie rozeznąć można było otaczające przedmioty. Chmury zasłaniały księżyc, niekiedy tylko drobna gwiazdka migła swem jasnem obliczem, nie użyczając prawie żadnego światła. Po kilku-godzinnej podróży, młodzieniec ocknął się niejako, spojrzął w około siebie badawczym wzrokiem, potem zapytał sam siebie:

— Gdzież się znajduję? jużbym dawno powinien był trafić na gościniec, prowadzący w step ku Tamakówce, zapewnem go ominął w pośpiechu i przysporzył sobie drogi.

— O Boże, Boże, prowadź mnie, wstrzymaj bieg czasu, bo może przybędę zapóźno!

I skierował bieguna na prawo i puścił się w rozległy step. Niedługo zaczerniały się rzadkie drzewa i odezwało się szczekanie psa.

— O Bogu dzięki! — przemówił młodzieniec — spotkam mieszkania ludzkie, przynajmniej dowiem się, jak daleko jeszcze jestem od Misuryna.

Wkrótce zatrzymał bieguna u najbliższej chaty i rękojeścią szabli zapukał do drzwi, niedługo odezwał się gruby głos wewnątrz i jakaś stara wieśniaczka otworzyła.

— Moja dobra kobieto, jak się nazywa ta wioska? — zapytał łagodnie.

— Upsk, panie — odrzekła wieśniaczka.

— A daleko ztąd do Misuryna?

— A, to jedziecie panie na wesele do pana starosty.

Młodzieniec westchnął boleśnie na to przypomnienie jego położenia i powtórzył zapytanie z niecierpliwością.

— Tak, na wesele, i dlatego pytam, czy daleko znajdują się od zamku?

— Na mile nie umiem wam wyrachować, panie — odrzekła — my w stepach przywykliśmy z ryku wołu lub wystrzału odległości miarkować; ale zapewne będzie jeden dzień drogi jazdy.

— Jeden dzień!.. — powtórzył młodzieniec głosem, jakby usłyszał wyrok śmierci — ach, moja dobra matko, wskaż mi najkrótszą drogę, na, masz pieniędzy, a śpiesz się, mów prędko, bo mi każda chwila jest droga!

I rzucił jej worek.

— Och, białe pieniądze!.. jeden, dwa, trzy, cztery talary — zaczęła rachować z radością wieśniaczka — o to książęce skarby. Niech was Matka Boska błogosławi!..

— Drogę, drogę wskaż mi prędej! — zawołał z najwyższą niecierpliwością Jędrzej — później policzysz pieniądze!

— Prosto, prosto, panie, przez step tą drogą, koło wsi, za dwie godziny jazdy przybędziecie do brzegów Tamakówki, potem obróćcie się z brzegiem rzeki i ujrzycie wielki dąb na równinie. W tem miejscu koryto się znacznie rozszerza, a na brzegach znać śla-

dy kopyt końskich, tam znajdziecie bród i możecie go śmiało przebyć. Znów będziecie jechać parę godzin, prosto, ku południowi drogą, wydeptaną przez step, przy ujściu Bobu urządzony jest przewóz na Dnieprze, a niedaleko, na drugiej stronie, ujrzycie Misuryn.

— Dziękuję wam, matko! dziękuję! — odrzekł młodzieniec i spiąwszy konia ostrogami, popędził galopem wskazaną mu drogą.

Stara długo patrzała za młodym podróżnym, prosząc Boga o błogosławieństwo za jego hojność.

Młodzieniec jechał całą noc, jego rumak już zaledwie stawiał znużone nogi, nadedniem stanął u brzegu Tamakówki, ujrzał wielki dąb i ślady, wydeptane przez przeprawiających się przez rzekę, bez zastanowienia się skierował konia w bród, lecz zmęczony i zgrzany rumak, uczuwszy zimną wodę, wzdrygnął się i cofnął w tył. Jędrzej uderzył go ostrogą i zmusił do wejścia w wodę. Zwierzę jakby przeczuwało swą zgubę, kilka chwil parskając, opierało się woli pana, lecz w końcu uledez musiało potędze człowieka.

Młodzieniec, przebywszy rzekę, znów puścił się całym pędem przez step, ku południowi, lecz po godzinnej podróży, uczuł, że rumak jego pomimo częstego przynaglania, coraz zwalnia biegu, że nogi pod nim drżą i często się potyka.

Zimny pot oblał ciało Jędrzeja, na okropną myśl, że może utracić bieguna, jedyną nadzieję ocalenia. Przeczucie to nie omyliło go; wkrótce biedny koń potknął się, ukląkł na przednie nogi i bezwładnie upadł na

ziemię. Jędrzej zerwał się śpiesznie, jęknął boleśnie i w rozpaczę uchwycił się za włosy.

— O Boże, ratuj mnie, ratuj Julję, wlej jeszcze na kilka godzin siły w to biedne zwierze, niech przybędę przed południem do Misuryna.

I zaczął podnosić rumaka, lecz jego usiłowania były daremne, nogi konia zdrętwiały i stały się zupełnie sztywne i bezwładne, młodzieniec z rozpaczą przekonał się o swoim nieszczęściu i aby nie tracić na próżno czasu, puścił się piechotą w dalszą podróż, mając zamiar w najbliższej wiosce pożyczyć konia do odbycia reszty swej drogi; lecz i teraz omyliły go nadzieje.

Po godzinnej pieszej podróży, ujrzał szereg rozrzuconych wieśniaczych chat, wstąpił do pierwszej, prosząc o pożyczenie konia lub odwiezienie do Misuryna.

Chłopi z zadziwieniem spojrzeli na niego, a nawet jeden przemówił:

— O mój panie, alboż ja was znam, żebym miał powierzać moje bydło.

Teraz dopiero przypomniał sobie Jędrzej, że wszystkie pieniądze oddał wieśniaczce wskazującej mu drogę — byłby mógł zapłacić za konia.

— O moi dobrzy ludzie, nie odmawiajcie mi tej przysługi, w Misurynie zapłacę wam za niego dwa razy tyle, ile was kosztuje, możecie jechać tam ze mną.

— Mój panie, czas dla nas drogi, a potem drogi niebezpieczne, zbójców pełno, kozaków jeszcze więcej, którzy zabierają wszystko, co im się pod rękę dostanie.

— O nie lękaj się, mój przyjacielu, ze mną będziesz zupełnie bezpieczny, odwieź mnie do zamku, muszę koniecznie stanąć tam przed południem, wynagrodzę ci tę przysługę; złotem cię obsypię!

— Złotem, złotem... to zwykła piosnka obiecujących; chociaż bym chciał, nie mogę wam pomódz, panie, konia posłałem z chłopakiem na pańskie, a woły pomęczone pracą pójdą bardzo wolno, piechotą będziecie śpieszniej w Misurynie.

— Daleko jeszcze do zamku?

— Na południe możecie tam stanąć, idąc śpiesznie.

— O dzięki Bogu! — zawołał młodzieniec i z nową nadzieją w sercu puścił się w dalszą drogę.

Za kilka godzin gdy już słońce znacznie wzniosło się nad horyzont, Jędrzej znów zapytał wieśniaka, pracującego nade drogą: jak daleko znajduje się od Misuryna.

— Nad wieczorem możecie tam stanąć — była odpowiedź.

Młodzieniec zadrzał na tę wiadomość; lecz pomyślał, że może chłop myli się, w kilka chwil spotkał drugiego, lecz i ten odrzekł tak samo.

Znów usiłował nająć konia, ale nikt nie chciał mu ufać, jakieś niedowierzanie, a raczej niechęć przeciw szlachcie rozprzestrzenioną była pomiędzy ludem, zamieszkującym te strony.

Ta długa i uciążliwa piesza podróż wyczerpała siły Jędrzeja, osłabione już poprzednią słabością, tylko

mocna wola i rozpacz utrzymywały go na nogach, było to ostatnie wysilenie.

Kilka godzin biegł jeszcze nieszczęśliwy, zbliżało się południe, słońce stanęło na najwyższym punkcie swej wysokości, gdy oczom młodzieńca w milowem oddaleniu ukazały się wierzchołki baszt i murów Misury-na, serce wędrowca silnie uderzyło na ten upragniony widok, powietrze było ciche i spokojne, leciuchny wiaterek podmuchiwał od strony zamku, młodzieniec wyszedł na małą wyniosłość, na której poczynął się szereg chat porządnej wioski. To znajome miejsce przypomniało mu szczęśliwe chwile spędzone w zamku, o jak często przejeżdżał ten wzgórek, śledząc zbójców z Balaklaju.

Wtem na zamku odezwał się głos dzwonka, a lekki zefir roznosił go po okolicy, na ten dźwięk zadrżał młodzieniec.

— Co to znaczy? — zapytał sam siebie.

— Śpieszmy, śpieszmy — rzekł w tej chwili wieśniak do kilku swych towarzyszy w świątecznych ubiorach, przechodząc około Jędrzeja — oto już dzwonią w zamku na Mszę świętą, w czasie której kapłan pobłogosławi państwa młodych, starosta będzie się gniewał, gdy się spóźnimy, mamy witać ich przy wyjściu z kaplicy.

— O Boże, więc już zapóźno! — zawołał młodzieniec, jakaś pomroka zasłoniła mu wszystkie przedmioty, członki konwulsyjnie zadrgały, kolana się pod nim ugięły, postąpił kilka kroków i upadł bez zmysłów na ziemię.

.

— O patrzcie, patrzcie, Mateuszowa, adyć to trup leży na drodze — zawołała w kilka chwil później wieśniaczka do swych sąsiadek, śpiesząca także do zamku.

— O Jezu, Marya! co to jest?.. aleć on jeszcze ciepły, on żyje, jeszcze oddycha, patrzajcie jakież to młody chłopiec, zaledwie mu się broda posiała!

— Tak, tak, oddycha, żyje, widać omdlały, ocućmy go, Mateuszowa, śpieszcie po wodę!

I dobre wieśniaczki zajęły się ratunkiem nieśczęśliwego, wkrótce starania ich zostały uwieńczone pożądanym skutkiem, młodzieniec wrócił do życia, lecz nie odzyskał zupełnej przytomności, ani sił, nikogo nie poznawał, zdawało się, że nawet utracił rozum.

— Cóż my z nim uczynimy, moje sąsiadki? — zapytała pierwsza — na drodze zostawić go niepodobna, chociaż to widać jakiś panek, jednak człowiek i brat, trzeba go ratować.

— Tak, trzeba go ratować, zabierzmy go do chaty, może to jaki magnat, to nam wynagrodzi nasze trudy — odrzekła druga.

— Mniejsza o to, czy wynagrodzi, lub nie, zawsze człowieka nie godzi się zostawić bez pomocy.

Zabrały Jędrzeja do chaty, usłały wygodne z siana posłanie iłożyły starania, na jakie tylko zdobyć się mogły.

Młodzieniec leżał bez przytomności, wieśniaczki używały wszelkich środków: leków, czarów, zażegnań, lecz wszystko bezskutecznie. Trzeciego dnia chory odzyskał nieco sił i rozumu, otworzył zapadłe oczy, z zdziwieniem spojrział wokoło siebie, rozgarnął dłonią

z czoła rozrzucone włosy i wsparł głowę na rękę, jakby pragnął sobie przypomnieć, jakim sposobem się tu znajduje.

Potem z żywością i przerażeniem zapytał obecných:

— Moi przyjaciele, kto mnie tu sprowadził, jam jechał do Misuryna... czy daleko do południa?

— Dopiero rano, drogi panie — odrzekła młoda wieśniaczka, stojąca najbliżej jego łoża.

— Jakto? mówiono, że już po południu, że dzwonią na Mszę świętą, przy której kapłan miał udzielić błogosławieństwo państwu młodym.

Wieśniacy, nie pojmując znaczenia słów jego, spojrzeli po sobie, rozumiejąc, że chory jeszcze ma gorączkę.

— Czemuż tak mi się przypatrujecie? pocoście mnie tu sprowadzili, jam śpieszył do zamku, aby tam przybyć przed ślubem Julji.... Ah, wyście mnie przytrzymali, zapewne z rozkazu kasztelana, abym mu nie wydarł narzeczonej... nędznicy!...

I zerwał się z łoża, chwytając za szablę.

— Panie, my was nie zatrzymujemy, znaleźliśmy was, bez duszy leżącego na wzgórku, z litości, ale nie z czyjzego rozkazu, zabraliśmy do chaty, aby nieść pomoc...

— Ach, pamiętam, pamiętam wszystko! ten głos dzwonu, mowę wieśniaków, śpieszących witać państwa młodych... Na Boga, dawno ja się znajduję w waszej chacie?

— Trzy dni panie, tak, trzy dni całe leżeliście bez pamięci — odrzekła wieśniaczka.

— Trzy dni!!!... więc już wszystko stracone! — zawołał z okropną rozpaczą Jędrzej, zakrył twarz dłońmi i znów upadł bez duszy na posłanie.

ROZDZIAŁ XVII.

Tymczasem w zamku starosty międzyrzeckiego wszystko szło swoim porządkiem. Zbliżył się dzień wesela, od samego rana widać było uwijającą się służbę w paradnych ubiorach, jakiś niezwykle ruch ożywiał ponury dziedziniec, licznie zjechani goście zajmowali apartamenty w całym zamku.

Okolo godziny 11-ej obecni w Misurynie zebrali się w wielkiej sali; jej ściany osłaniały bogate, złotem przetykane makaty, z dwóch przeciwnych sobie stron zawieszane były portrety rodziny Śladkowskich przywiezione z Kras, a miejsca pomiędzy nimi ubierała różnego rodzaju broń i pancerze, symetrycznie pozawieszane. Cztery rogi komnaty zajmowały ogromne, srebrne kandelabry, pełne świec z białego wosku. Ubranie to nadawało sali powierzchowność uroczystą i rycerską, a świetne stroje obecnych, ich uzbrojenie i marsowe postacie, możeby nieświadomemu krajowych zwyczajów nie dozwoliły domyśleć się celu tego zebrania.

Główną i najwięcej niejako uwagę zwracającą na siebie osobą był Jan Żółkiewski, czyli raczej Biały Grzegorz; na jego twarzy widać było tajemną radość,

tryumf i silne wewnętrzne wzburzenie. Jaśniał na nim świetny, aksamitny, koloru granatowego kontusz, którego wyloty podbite były błękitnym atłasem, z pod spodu widać było blado-różowy żupan, a na biodrach ciężki złoto-lity pas; u lewego boku wisiała karabela z bogato drogiemi kamieniami wysadzoną rękojeścią, a pod pachą trzymał sobolową czapkę. Ruchy jego zdradzały jakąś niespokojność, albo niecierpliwość; ile razy drzwi się otwierały, zawsze oczy Żółkiewskiego z żywością biegły w tę stronę.

Przed nim na krześle siedziała Teresa Białobrzaska, jego narzeczona, w długiej sukni z białej materji, piękną jej głowę otaczał wieniec z śnieżnych róż i lilij czystych jak jej dusza; oblicze jej było blade, smutne, każde żywsze poruszenie osób w komnacie przejmowało ją dreszczem; oczy miała spuszczone ku ziemi.

Obok Teresy było puste krzesło, a za niem stał kasztelan Białobrzeski, w świetnym ubiorze jak Żółkiewski, lecz oblicze jego ożywiała mocna radość, mimo jakiejś małej niecierpliwości. Często lekka chmura smutku przebiegała po jego czole, mianowicie gdy zwrócił wejrzenie na siostrę, lecz uczucie to było widać tylko chwilowe, bo wkrótce oblicze jego się wypogadzało, zapewne na myśl bliskiego szczęścia. Możnaby myśleć, że pan kasztelan jest egoistą.

Starosta międzyrzecki, pan zamku, z podobną niecierpliwością chodził po komnacie, podobnie spoglądał na drzwi, niekiedy przybliżał się do Białobrzeskiego, rozmawiając z nim, często ścisnął go za rękę.

Wszyscy oczekiwali kogoś — zapewne Julji, jak kazało domyślać się puste krzesło, obok Teresy.

Wtem drzwi się uchyliły, weszła młoda dziewczyna, sługa córki Śladkowskiego.

Starosta pobiegł ku niej.

— Cóż tam takiego? Julja jeszcze się nie ubrała, czekamy na nią — zawołał z żywością.

— Panna już była gotową, lecz nagle zasłabła i przymuszona byłam ją rozebrać.

— Co, zasłabła? — zawołali obecni.

— Tak jest, kiedy po ukończeniu całego stroju wychodziła z swej komnaty do pana starosty, nagle dostała jakiegoś zawrotu głowy i upadła na posadzkę.

Na te słowa kasztelan pobladł, a fałszywy Żółkiewski zgniótł w rękę swą sobolową czapkę.

— O Boże, cóż jej się stało?

— Starościanka — odrzekła gadatliwa pokojowa — musiała mocno cierpieć, bo kilka razy widziałam łzy w jej oczach gdy ją ubierała.

— Panowie bracia mi wybaczą — odezwał się starosta do otaczających go osób — że ich opuszczę na chwilę, muszę zobaczyć córkę i przekonać się o stanie jej zdrowia.

I, nie⁷czekając odpowiedzi, wybiegł śpiesznie dążąc do komnaty córki.

W sali powstał szmer, zaczęły się tworzyć koła, w różny sposób tłumaczono sobie powód nagłej słabości Julji, czyniono domysły, żałowano jej, niektórzy przejęci jakąś trwogą i ciekawością o stanie jej zdro-

wia, siedzieli spokojnie z wyrazem smutku na twarzy, oczekując powrotu starosty i jego wyjaśnienia.

Niedługo drzwi się otworzyły i ujrzano Śladkowskiego; lecz na widok rozpaczy na jego lieu, wszyscy struchleli. Twarz starosty była blada, czoło i brwi zmarszczone, w oczach świeciła rosa łzy, usta miał ściśnięte.

Białobrzeski pierwszy pobiegł ku niemu.

— Starosto, przerażasz nas, ach mów, twoja córka, Julja, jak się ma? czy mocno cierpi?

— Tak, bracie... cierpi... zastałem ją w zupełnem obłąkaniu.

— O mój Boże!

— Kasztelanie — przemówił znów Śladkowski przerwany z boleści głosem — ty zostaniesz zawsze naszym przyjacielem!.. będziemy ją ratowali, posłałem po lekarza.

Białobrzeski podał rękę staroście i ze łzami w oczach uścisnęli się serdecznie.

— Panie starosto! — zawołała, wbiegając pokojowa Julja — jest nadzieja, lekarka oświadczyła, że starościanka wkrótce będzie zdrową, że za parę dni przyjdzie do siebie.

— Co za lekarka?

— Którą przyprowadził Jakób, wysłany do miasta po doktora.

Na tę wiadomość, mniemany Żółkiewski uczynił poruszenie niecierpliwości i odezwał się do obecnych:

— Panie starosto i ty, kasztelanie, teraz, gdy już uspokojeni jesteśmy o zdrowie starościanki, gdy nie nam nie przeszkadza, możemy udać się do kaplicy.

Teresa podniosła błagalne wejrzenia na brata.

Śladkowski rzekł:

— Sądziłbym, panie Żółkiewski, że lepiej wstrzymać się kilka dni, dopóki Julja nie wróci do zdrowia.

— O daruj, panie bracie, lecz niecierpliwość moja jest tak wielka, tak gorąco pragnę siostrę waszą nazwać mą małżonką, iż trudno mi przystać na wasze przełożenie!

— Ha, kiedy tak pragnie pan starosta rubieszowski, idźmy — rzekł białobrzeski, podając rękę Teresy Grzegorzowi.

Dziewica westchnęła ciężko, a to westchnienie podobniejsze było do jęku. Obecni powstałi z miejsc swoich; muzyka zagrziała marsza, orszak wyszedł.

Zaledwie orszak ten wypłynął na długi korytarz, wiodący do kaplicy zamkowej, gdy Grzegorz, idący przodem, ujrzał w bliskości Martę. Zbójca zadrżał mimowoli, zimny pot oblał jego ciało, i mimo przerażenia, nie mógł oderwać wzroku od oblicza tego przesładującego go widma.

Na nieruchomej, marmurowej twarzy żebraczki, nie było prawie żadnego wyrazu, oczy iskrzące zwrócone były na bandytę i przeszywały go prawie do głębi duszy, postawa cała wyprężona jak posąg, usta tylko, lekko zgjęte uśmiechem szyderczym, uśmiechem naigrawania.

— Co to za mara! zkał się tu wzięła ta włóczęga! — zapytał prawie nieprzytomny Grzegorz, odwracając się do Śladkowskiego, gdy minęli Martę.

— To jest lekarka, która przybyła ratować moją córkę — odrzekł obojętnie starosta.

Orszak postępował dalej ku kaplicy.

Grzegorz przysporzył kroku, radby jak najprędzej ukończyć ceremonję i przyspieszyć chwilę, w której miał wpuścić do zamku gromadę swych zbójców. Niepokojność jego była tak wielka, iż lada szelest nabawiał go trwogą, chwycił za rękojeść szabli, spoglądając na wszystkie strony

Na zakręcie korytarza rzucił okiem w stronę, gdzie stała tułaczka, i ujrzał ją oddalającą się, spostrzeżenie to uspokoiło go nieco, spojrzął na swą narzeczoną.

Teresa postępowała jak ofiara, prowadzona na śmierć, do ołtarza.

Wtem ukazały się drzwi świątyni, mimowolna trwoga przyjęła bandytę na uroczysty głos organu. On, co nie zadrzał na widok śmierci w najokropniejszej postaci, dziś lękał się jak dziecko lada bagateli.

Orszak zbliżył się do przybytku Pana, pary wstępują... lecz nagle za progiem kaplicy powstał jakiś zgiełk, zamieszanie.

— Co to jest, co to jest? — pytali znajdujący się jeszcze na korytarzu, tłocząc się ku drzwiom świątyni, w których powstał tumult i ścisk. Każdy pragnął dowiedzieć się o przyczynie zamieszania.

Lecz my, aby nie stracić wątku zawikłanej nieco w tem miejscu powieści, opuścimy zamek, a udajmy się za Martą, gdy, po rozstaniu się na drodze z Jędrzejem, dążyła do twierdzy Kudak.

ROZDZIAŁ XVIII.

Nazajutrz, po odjeździe Jędrzeja z domu ojca, wielki hetman, wstawszy bardzo rano, udał się do swego gabinetu, gdzie, zamknawszy się z swym pisarzem, zostawał prawie do południa. Około godziny dwunastej przywołał marszałka dworu, polecił mu, aby wygotowano konie do podróży kilkodniowej. O drugiej godzinie dwór miał być w gotowości do wyruszenia w drogę.

Cały dzień dzisiejszy hetman był zamyślony, roz-targniony, ciągle wydawał rozkazy, rozsyłał posłańców w różne strony, zapewne przedsięwzięta podróż miała być albo bardzo odległą, albo też Koniecpolski postanowił gościć tam bardzo długo.

Postać jego, mimo jakiegoś zaambarasowania, była wesołą, usta uśmiechające się, czoło wypogodzone, oczy błyszczące zadowoleniem a obejście było łaskawe i uprzejme.

Po południu hetman zwołał oficerów obecnych w twierdzy do swego gabinetu, oznajmił im, że, z powodu zaślubin syna, wyjeżdża na kilka tygodni do Misuryna, porучzył dozór warowni dowódcy załogi, i poleciwszy, aby w ważniejszych interesach odnoszono się

do niego samego, pożegnał ich i wyszedł na dziedzi-
niec...

Właśnie Koniecpolski wsiadał do swej podróżnej
lecz wytwornej kolasy, którą czterech tęgich rumaków
ponieść miało do Misuryna, a dwór cały, składający się
przeszło ze trzydziestu osób, otaczał jego powóz, za któ-
rym stało kilka bryk, zajmowanych przez garderobę,
kuchnie i kredens hetmana, gdy na dziedzińcu ukazała
się Marta. Żebraczka śmiało przecisnęła się przez tłum
służby i dworzan, nie zważając na ich groźby i zapy-
tania, i przystąpiła do Koniecpolskiego.

— Ach Marta! — zawołał hetman z wyrazem przy-
jaźni, który mocno zadziwił otaczających go dworzan
i odwrócił się do żebraczki: — Cóż cię sprowadza do
Kudaku?

— Ważny, bardzo ważny interes, j. w. panie, do-
bro waszego domu, raczcie przeto wysłuchać mnie —
odrzekła stara sybilla.

— Mów, mów, moja dobra kobieto, cóż to ta-
kiego?

— W ten moment, hetmanie, lecz rzecz, którą mam
wam objawić, wymaga niejakięs tajemnicy, i lepiej by
wrócić do komnat, j. w. panie.

Hetman z zadziwieniem i zainteresowaniem spoj-
rzał na Martę, teraz dopiero spostrzegł jej ubiór w nie-
ładzie, jej suknie, okryte grubą warstwą kurzu, jej roz-
wiane wiatrem włosy i błotem zbryzgane odzienie.
Wszystko to przeraziło go niejako; żebraczka już raz
objawiła mu okropną tajemnicę, piekielny spisek, teraz

jej ubiór, cała postać zdawała się znamionować jakieś nieszczęście, większej jeszcze wagi.

— Chodźmy, Marto, chodźmy — rzekł nieco zmieszany.

I spuściwszy nogę ze stopnia powozu, do którego już miał wsiadać, udał się do swego gabinetu, gdzie, rzuciwszy się na krzesło, rzekł do żebraczki:

— Mów, Marto, słucham cię.

— Jaśnie wielmożny panie, przed kilku dniami przybył do zamku Stajków jakiś człowiek, mieniący się być starostą rubieszowskim, Janem Żółkiewskim, powracającym z niewoli tureckiej. Pan Białobrzesci i jego siostra zaraz od początku powątpiewali o prawdziwości jego osoby, lecz przybysz posiadał wszelkie papiery i dowody, dotyczące pana Żółkiewskiego, ale dziś powątpiewanie to stało się pewnością. Ciebie przeto, j. w. hetmanie, jako tak blisko połączonego związkami powinowactwa z rodziną Żółkiewskich, proszą o wsparcie i radę w tak krytycznem położeniu. Lecz czas jest krótki, nieznajomy nagli, aby, na mocy dawnych układów, oddano mu rękę panny Teresy Białobrzesckiej, pragnie przyspieszyć dzień wesela. Panie, uchronń tę młodą dziewczę od grożącego jej nieszczęścia; jedź, bo za parę dni już będzie zaślubioną oszustowi!

— Marto, co mówisz, któżby śmiał przybierać to szanowne imię, taki podstęp nie zdołałby się ukryć długo! — odrzekł hetman, ochłonawszy z pierwszego przestachu, jakim go postać żebraczki nabawiła. — Nie, moja dobra kobieto, mylicie się wszyscy, cóżby miał być za cel tego samozwania?

— O nie powątpiewaj o prawdzie mego twierdzenia, j. w. panie, czyż już tyle okropnych i szkaradnych podejść nie powinno was nauczyć, że postęпки zbrodniarzy są niedocieczone. Serce kobiety, kochanki, nigdy się nie myli. Teresa jest pewną, iż nieznajomy nie jest Janem; jej można zawierzyć. Pomimo największych zmian, starości i zeszpecenia, poznałaby kochanka swej młodości, przeczułaby, iż w tem zmienionem cierpieniami długiej niewoli ciele, mieszka dusza Żółkiewskiego; ona właśnie najmocniej twierdzi, iż ten nie jest Janem, że to oszust!

— Dobrze, Marto, pojedę do Stajków, zbadam prawdę, ta kilkonasto-letnia przerwa niewidzenia brata, nie mogła wygładzić go z mej pamięci, ja go poznam — mówił hetman, wpadając w jakieś zadumanie, nareszcie zamilkł, wsparłszy głowę na dłoni. — Tak, Marto, tak, jest tu coś niedocieczonego, dlaczego Jan nie doniósł mi wcale o swem przybyciu do Stajków, czyby zapomniał o swym bracie i siostrzeńcu?... to rzecz podejrzana, jedźmy do Stajków, jedźmy, Marto! Możesz zabrać się z moją służbą, widać, że jesteś znużoną, śpieszyłaś się, dziękuję ci, dobra kobieto!

I powstał z siedzenia, postąpił ku drzwiom, miał wyjść, gdy otworzyły się podwoje i marszałek hetmana oznajmił mu, iż obcy jakiś człowiek pragnie jak najśpieszniej z nim mówić.

— Któż to być może? posłaniec jaki od wojska?

— Nie wiem, j. w. panie — odrzekł dworak — sądząc z jego ubioru, możnaby mniemać, iż kiedyś zosta-

wał w służbie jakiego możnego pana, lecz dziś chyba rozbija po drogach.

— Cóż to za ubiór? niepojmuję cię?

— Są to resztki kubraka z herbem Lubicz, poszarpanego, zbryzganego krwią, twarz jego podrapana, prawa ręka mocno zraniona, głowa owiązana!..

— Co to jest, Lubicz, to herb Żółkiewskich? wprowadź go, śpiesz się!

A w tej chwili drzwi się otworzyły i wbiegł człowiek, którego powierzchowność w opisie wcale nie przesadził marszałek. Przybywający rzucił wzrokiem na obecnych, potem upadł do nóg Koniecpolskiego. Na jego wiekiem pooranej i szczerością tchnącej twarzy, widać było głęboką boleść; łyse czoło ocieniały długie siwe włosy, oczy rosły łzy, te łzy starca, tak przemawiające do duszy człowieka, usta osłonięte wielkim wąsem drżały konwulsyjnie z rozpacz czy radości, bo jakiś rodzaj pół uśmiechu, jakiś wyraz przymilenia umiłał je wyraźnie.

Nieznajomy upadłszy na kolana u nóg hetmana, objął je, całował z zapamiętaniem, wydając ciężkie łkania, potem wzniosł oczy na oblicze Koniecpolskiego, mówiąc przerywanemi wyrazami:

• — O Boże! znów oglądam go w mej starości, znów ściskam te stopy, które uczyłem stawiać! Boże, Boże! wysłuchałeś mych błagań... panie Stanisławie!....

Hetman przez małą chwilę wpatrywał się w oblicze nieznajomego; potem nagle, jakby przypomniawszy go sobie, zawołał:

— Marcin, Marcin! — i z pierwszym popędem radości przycisnął jego siwą głowę do swego łona.

Lecz po chwili, odsuwając się od niego, zapytał z żywością:

— A twój pan, twój pan, Marcinie — Żółkiewski, gdzie jest?

— Przychodzę błagać was o ratunek dla niego, on w więzach zbójcy!

— Co mówisz! — zawołali razem Marta i Koniecpolski...

— Tak, hetmanie, gdyśmy jechali z Oczakowa do Stajków, Biały Grzegorz napadł nas niespodzianie, otoczył i uwięził...

— Ach, co za światło! — zawołała Marta — jasnie wielmożny hetmanie, to on, w zamku kasztelana, udaje Żółkiewskiego!... a cóż, czy wierzycie teraz?

— Boże!.. co za szatańska przebiegłość — rzekł zatrwożony, niespokojny i wzruszony hetman.

— Tak, jasnie wielmożny panie! ten zbójca, zabrawszy panu staroście papiery, ustroiwszy się w jego suknie, pojechał do Stajków, aby oszukać kasztelana, aby uwieść jego siostrę i opanować zamek.

— Ach śpieszmy, śpieszmy do Stajków; mój Marcinie, ratujmy zagrożonych nieszczęściem! — zawołał Koniecpolski, śpiesząc ku drzwiom.

— O, zatrzymaj się, jasnie wielmożny hetmanie, zbójca już nie znajduje się w Stajkach ale w Misurynie, dokąd udał się na wesele swoje, a potem gdy choć jeden z jego ludzi wymknie się z rąk naszych, wtedy,

pobiegłszy do towarzyszy, da im znać o ujęciu wodza i starosta rubieszowski może stać się ofiarą ich zemsty. Wyprawę tę potrzeba urządzić w taki sposób, któryby nie wzbudził podejrzenia w zbójcach, a był pewny i nieomylny w swych skutkach.

— Tak, Marto, masz słuszość, przedsięwzięcie to jest niebezpieczne... a jednak czas nagli!

— Jasnie wielmożny panie, pozwól objawić mi zdanie w tym przedmiocie.

— I owszem, mów, mów, słucham cię!

— Czy wiesz, panie Marcinie, gdzie jest osadzony pan Żółkiewski? — zapytała żebraczka, obracając się do wiernego sługi.

— O jakże nie mam wiedzieć, kiedym sam tam był zamknięty, lecz Bóg wyswobodził mnie swą łaską. Krata w oknie mego lochu była mocno rdzą przeżarta, zdołałem ją zgąć i wyslizgnąć się z tej przekłetej norry! cały dzień i noc biegłem, wypytując się o was, jaśnie wielmożny panie, aby błagać o ratunek dla mego pana.

— Dziękuję, dziękuję ci, dobry Marcinie.

— Więc pan Marcin — rzekła Marta — uda się za mną do zwalisk Balaklaju, wy hetmanie raczycie kilkuset ludzi odważnych wysłać jaknajśpieszniej za nami do ruin, lecz cały ten oddział podzieli się na drobne hufce, które różnemi drogami nadciągną do Balaklaju i zbiorą się tam jutro o północy, aby wyswobodzić pana Żółkiewskiego.

— Dobrze, dobrze, Marto!

— Więc jutro o północy będę oczekiwała waszej pomocy w bliskości zwałisk, przy kopcu nad Czapczaklajem.

— Idź, niech Bóg wesprze twoje przedsięwzięcia, za chwilę wysłę pancernych.

Marta z Marcinem oddalili się.

ROZDZIAŁ XIX.

Dzień był ponury, dżdżysty, zimny jak zwykle w porze jesiennej, deszcz padał bezustannie, co chwila odgłos grzmotu rozlegał się pomiędzy ruinami Balaklaju a pioruny wstrząsały ziemię. Po takim dniu nastąpiła jeszcze burzliwsza noc. Szalony wichur, wciskając się w wązkie szczeliny, wył preraźliwie po krętych korytarzach ponurych zwałisk. Niekiedy oberwany burzą odłam muru z łoskotem padał na ziemię, aż wstrząsało się sklepienie schronienia zbójców, którzy w tej chwili jakby na przekór naturze, nie troszcząc się o pogodę, nie trwożąc gromów, ani piorunów, biesiadowali z wyuzdaną, dziką, bydlęcą rozpustą.

Wśród wielkiej, sklepionej izby w podziemiu, na bogatym dywanie, siedziało obszerne koło biesiadników, kilkanaście pochodni oświecało swym ostrym, jaskrawym blaskiem wnętrze tego przybytku bachantów, te grube dzikie rysy ze zwierzęcemi fizyonomiami, na których w całym odrażającym świetle zbrodnia nacechowała swe straszne piętno, a ostre trunki, ożywiwszy te wyniszczone

i zwiędłe oblicza, uczyniły je jeszcze szkaradniejszymi. Na środku stała kilkogarncowa baryłka z miodem, do góry jednym dnem, które było wybite, a obok niej kilka mniejszych naczyń blaszanych z wódką, mnóstwo kryształowych kielichów, srebrnych i złotych puha-rów rozrzuconych było po dywanie.

— Bracia, słyszycie jak ryczy burza — odezwał się jeden z towarzystwa — chce nam zepsuć humor i zgnieść naszą radość, otóż na złość burzy i piorunów, pijmy! Pomyślność Grzegorza i jego przyszłej żony — vivat!

— Pomyślność Grzegorza i jego małżonki! — powtórzyli zbójcy z okropnym wrzaskiem — vivat!...

— Śmiejmy się z burzy i piorunów!.. niech straszny lękliwych i tchórzów, a nie nas — ha, ha, ha!..

I całe podziemie odezwało się echem tego piekielnego śmiechu.

— Towarzysze — odezwał się znów drugi zbójca — wódz nasz biesiaduje teraz zapewne podobnie jak my, w Misurynie, wśród mnóstwa pań i panów okolicznych, obok swej jasnowłosej krasawicy, a jutro wezwie nas, abyśmy przybyli jako jego służba z Żółkwi do Stajków, pijmy przeto, cieszymy się, bo po raz ostatni ściany te widzą nasze przyjacielskie oblicza, po raz ostatni chronią nas pod swym sklepieniem. Bracia, pożegnanie dla tych murów — vivat!...

Znów toast ten przyjęty był z podobnym okrzykiem jak poprzednie.

— Więc jutro opuszczamy te zwaliska na zawsze, Mańkucie? — zapytał tamten.

— Tak jest, tak, bracie, gdy się dziś Grzegorz ubierał do ślubu, rzekł do mnie: śpiesz, mój chłopcze do Balaklaju i powiedz mej dziatwie, że jak najprędzej pragnę oglądać ich w Stajkach, których już nigdy nie opuścimy!

— Vivat nasz wódz, vivat życie swobodne i szczęśliwe w zamku! — zawołał z radością trzeci zbójca — bo wiecie, bracia, że uprzykrzyło mi się to podziemne krecie mieszkanie, w zamku przecież choć słońce człek widzieć będzie, choć niekiedy ujrzy z murów uśmiechającą się twarzą jakiej czarnobrewy, odetchnie czystem powietrzem, będzie żył jak wojewoda.

— O mój Hryszko, czy ty znasz szczęście panów zamkowych — rzekł smutnie jeden ze zbójców. — O nie daj Boże, abyśmy, opanowawszy zamek, zostali opanowani zarazem przez tęsknotę, zgryzoty i nienasycone żądze zamkowe, wierzajcie, tu byliśmy szczęśliwi.

— Mnich, mnich! — zawołali ze śmiechem towarzysze mówiącego — chce nam prawić kazanie, prorokować! W Stajkach będziemy prawdziwymi panami, vivat przyszłe rozkosze!

— Ech przyjaciele, co to znaczy dla mnie ta miareczka — zawołał jeden z pośród biesiadujących — wiecie, że opuściwszy to mieszkanie, pozostawimy bezużytecznie wszystkie zapasy tu znajdujące się, czemuż mamy żałować sobie? Słuchajcie, na cześć Grzegorza będziemy pić inaczej, ja wam dam przykład.

I porwawszy lej, włożył wążki koniec do ust, a położywszy się wznak, rozkazał drugiemu łać węń napój garncem.

Wtem na górze rozległ się głuchy łoskot, jakby przez upadek oderwanego kawała muru. Zbójcy nie zważali na to, lecz ten, którego nazwali mnichem, mniej pijąc, posiadał więcej przytomności umysłu, a nie należąc do powszechnej hulanki, więcej zwracał uwagi na srożenie się burzy.

Towarzysze jego z zapalem przyjęli ten nowy sposób raczenia się i toast taki na cześć Grzegorza kolejno obchodził biesiadujące koło.

— Przyjaciele, czy nie słyszycie tego ciężkiego, jednostajnego łoskotu — zawołał, zerwawszy się na nogi — ten odgłos zupełnie podobny do uderzeń siekiery! czy kto zamyśla dostać się do nas?...

— Bredzisz, mój bracie! — zawołali inni — coś ci się zawsze przywiduje, kładź się, teraz na ciebie kolej, pij na cześć Grzegorza!

— Nie chcę, nie będę pił! — zawołał pierwszy — ach słyszycie, coraz wyraźniej, zupełnie jakby kto rąbał mur, lub drzewo.

Zbójcy zaczęli śmiać się na głos.

— No, dawaj gębę! — zawołał pijany wynalazca toastu — na ciebie kolej.

— Mówiłem wam, że nie chcę pić!

— Cóżto jest nie chcę! odmawiasz należnej czei naszemu wodzowi? bracia, słyszycie go, on nie chce pić na cześć Grzegorza.

— W łeb mu wypalić!

— Na stryczek go! — zawołali zewsząd rozgrzani pijaństwem zbójcy.

I ze wszystkich stron rzucono się na nieszczęśliwego, lecz ten nie tracił przytomności, i kiedy czterdziestu przeciwników uderzyło na niego, w ciżbie potknąwszy się jeden o drugiego, zaczęli się przewracać, on wymknął się z pośrodku i wybiegł na ciemny korytarz. Tu łoskot, odzywający się na dworze, zdawał się być jeszcze wyraźniejszym. Zbójca postanowił przekonać się o przyczynie jego i wyszedł z podziemia.

Noc była ciemna, deszcz drobny z wiatrem szumiał po żółkłych liściach, niekiedy błyskawica oświecała rozległy obraz spustoszenia wśród ponurych ruin Balaklaju.

O kilkadziesiąt kroków od wchodu do podziemia bandy stała ciężka baszta z potrzaskanym i zwalonym szczytem, z obu jej stron szczątki wyniosłych i grubych murów czyniły trudnym do niej przystęp, gdyż brama, stanowiąca jedyne wejście na wązki dziedziniec, gdzie stała ta wieża, była pod samo sklepienie zasypana gruzem.

U stóp wieży czerniało kilkanaście postaci, a poza murem stały gęste czaty...

— No, dalej, panie Marcinie, dalej — mówił pierwszy głos — niech rąbią mur, aby rozszerzyć otwór lub wyjąć kratę, bo prety w tem oknie są mocne i oprą się wszelkim naszym natarciom. Zrzućcie bojażń z serca; noc burzliwa, pioruny i grzmoty zagłuszą ten słaby łoskot.

— Ach, Marto, gdyby nas zbójcy usłyszeli, popsulibyśmy całą sprawę, daliby znać swemu hersztowi, a ten wymknął by się z rąk naszych.

— Możesz zaufać, Marcinie, mej przezorności, śpiesz się, bo czas drogi, niedługo zacznie dzień, jakże inaczej wyswobodzić twego pana?

— Ha, niech się dzieje wola Boga, przyjaciele, weźcie siekiery i wybijcie parę kamieni pod tem okienkiem. Tylko żwawo chłopcy, żwawo!

Kilku silnych ludzi zaczęło rąbać mur, iskry sypały się z pod ich uderzeń, a granit opierał się wszelkiej natarczywości. Po półgodzinnej pracy nawet jednego nie zdołali wybić kamienia.

-- Stójcie, przyjaciele, stójcie, w ten sposób nie nie wskóramy! — rzekła Marta — Marcinie, potrzeba prochem mur rozsadzić,

— Ach, bój się Boga, kobieto, taki huk może umarłego zbudzić z grobu, nie tylko czujnych zbójców!

— O gderasz, stary, czyżto pioruny nie okropniejszy wydają łoskot? Weź-że się do dzieła, tylko szczerze i ostrożnie, żeby deszcz nie zamoczył prochu.

Marcin był posłuszny woli żebraczki, rozkazał śwідrem wywiercić głęboką dziurę na spojeniu dwóch kamieni, nabił ją, założył lont, skrzesał ognia i podpalił koniec, potem wszyscy ukryli się za basztą, a w parę chwil silny wybuch wyrwał cały narożnik wieży.

— Dzielnie, chwacko, moja przyjaciółko! — zawołał uradowany skutkiem Marcin—już połowa pracy dopełniona, reszta pójdzie łatwo, teraz chłopcy wyjmujcie po jednym kamieniu, dopóki nie wyrobicie otworu, któremby można dostać się wewnątrz wieży. Tak, tak, dobrze, nawet z bardzo małym łoskotem rozebraliśmy całą wieżę.

Wkrótce zaczerniał obszerny otwór do środka baszty. Marta, zapaliwszy małą latarkę z zasłoniętymi ścianami, weszła wewnątrz, lecz niedługo ukazała się na powrót, oświadczając, że w tej części wieży nie znalazła nikogo.

— O, Boże! — zawołał Marcin — co się to znaczy! pamiętam bardzo dobrze, żem był zamknięty w tej komórcie na dole, a nademną pan starosta. Słyszałem jego głos, rozmawiałem z nim. O Stwórco Wszechmocny, czyżby ci łotry śmieli targnąć się na jego życie!

Wszyscy zdrętwieli na tę okropną myśl.

— Nie, Marcinie, tego by nie uczynili, musiałeś się pomylić, może tam obok, ale nie tutaj znajduje się pan Żółkiewski; mógł ztamtąd wychodzić jego głos.

— Ach masz słuszość, ale jak się tam dostać, okno wysoko.

— Wszak wewnątrz muszą być wschody, niech kilku uzbrojonych ludzi wejdzie za mną, przejrzymy całą wieżę.

Drzwi z komnaty, do której wybito otwór, nie były zamknięte i prowadziły na wązki, lecz czysty korytarz, z którego było cztery wschody, po dwa z każdej strony naprzeciw siebie; z trzeciej znajdowało się małe podłużne okienko, a z czwartej wązkie kręcone wschody. Wszystkie te drzwi były tylko poprzymykane i nieopatrzone żadnym zamkiem, prócz żelaznych rygli, lecz, w żadnej z tych czterech celek nie znaleziono nikogo, nawet słomy, ani najmniejszego śladu niedawnego pobytu tam więźnia.

— O Stwórco Wszechmocny! co to znaczy, gdzie pan starosta?... O Boże, Boże, odwróć-że to nieszczęście, ocal mego pana! — wołał Marcin.

Na wyższym piętrze jeszcze większe pustki, bo korytarz był zawalony gruzem, drzwi popróchniałe, a niektóre połupane.

— Ha, zejźmy jeszcze do podziemia, może tam znajdziemy starostę, o Boże zmiłuj się nad nami—mówił drżący ze wzruszenia i niespokojności Marcin.

— Dobrze, przyjacielu, chodźmy, niech Pan Bóg da, aby poszukiwania nasze były niebezowocne! — odrzekła Marta.

Schody do lochów podziemnych były czyste i zdrowe, na wązkim lecz bardzo długim korytarzu znajdowało się mnóstwo drzwi, niektóre były pootwierane, inne pozamykane na rygle. Co kilkanaście kroków podziemie to przecinały poprzeczne przejścia, łączące je z lochami, znajdującymi się pod zwalonymi już murami, przez które potrzeba było przechodzić, aby dostać się do wieży.

Jakimś tajnym wiedzeni instynktem, nasi poszukiwacze udali się naprzód do drzwi zamkniętych. Marcin odsunął drżącą ręką zardzewiały rygiel. Marta śpiesznie roztwarła drzwi i wydała mimowolny krzyk radości.

Na słomie w rogu izby klęczał mężczyzna, zarośnięty, wybladły, wynędzniały, oblicze jego zdawało się być młode, lecz mocno wyniszczone cierpieniami, ubiór jego rycerski był podarty i zszarżany.

— Zbawcy! — zawołał słabym głosem więzień — o tak, serce mi mówi, że wy nimi jesteście, wasze oblicza, tak miłe!.. Ach więc znów ujrzę świat!

— Chodź, chodź z nami przyjacielu! — rzekł Marcin — śpiesz się, dawno już jesteś tu uwięziony?

— O już pewno będzie rok... tak mi się zdaje, lecz nie mogę być pewny, bo w tem podziemiu wieczna noc panuje.

— Nieszczęśliwy — rzekła z litością Marta.

— O nie, teraz już jestem bardzo szczęśliwy, bo ujrzę niebo, słońce, mych przyjaciół, dobroczyńców... Aniele!... Ach, dobra kobieto, powiedz, czy nie słyszałaś co o kasztelanie Białobrzeskim, o jego córce?

— Córka jest zdrową, a ojciec się żeni, właśnie jutro jego wesele.

— O mój Boże! z kim? o jakżem rad, że oni szczęśliwi! śpieszmy, śpieszmy, przyjaciele, pragnę, jak najprędzej uścisnąć mego dobroczyńcę.

— Ach, więc ty jesteś Stanisławem! — zawołała Marta.

— Tak jest, tak!

— O dzięki niebu, udasz się z nami do Misuryna, tam jest kasztelan, tam jutro ma odbyć się jego i jego siostry wesele.

— Więc Żółkiewski wrócił z niewoli.

— Tak jest, lecz popadł w drugą, tutaj wraz z tobą jęczy w więzach.

— Jakto? co za niepojęte mówisz mi rzeczy, a za kogoż idzie Teresa?

— Później dowiesz się o wszystkim, teraz niema czasu, szukamy Żółkiewskiego.

— Tu obok mnie i nademną jest ktoś zamknięty...

— Ach, to ja byłem nad wami, panie Stanisławie — zawołał Marcin — ale kto obok?

Wszyscy śpiesznie udali się do drugiej celi, i roztwarcili drzwi.

— To on — zawołał Marcin, rzucając się do nóg pana.

— Tak, tak mój wierny, dobry Marcinie, to ja jestem — mówił Żółkiewski — o jakże się wam wywdzięczę, moi przyjaciele, za wasze poświęcenie, za wasze trudy!... Śpieszmy, śpieszmy moi drodzy, aby uprzędzić zbójcę.

— Tak, panie starosto, bo jutro wesele, oszukany Białobrzeski niczego się nie domyśla.

— Wiem, wiem, wszystko słyszałem, coście mówili, śpieszmy.

— Lecz obszukajmy jeszcze, czy nie znajdziemy kogo więcej u tych łotrów — rzekła Marta — pan starosta z Marcinem i panem Stanisławem niech wyjdą na świeże powietrze, za chwilę połączymy się z wami.

Marta z niezmordowaną usilnością przebiegła z kilkoma ludźmi wszystkie zakątki podziemia, lecz nigdzie nie znalazła żywej duszy. W jednej komnacie ujrzała szkielet, leżący na zczerniałej słomie, w innej ciało, [które przed kilkoma miesiącami opuściła dusza. I pełna jakiegoś tajemniczego smutku wyszła z lochów, połączyła się ze starostą i razem ruszyli ku Misurynowi.

Już świtać zaczęło, chmury nieco się rozrzedziły i deszcz ustał padać, w szarym zmroku już można było rozeznąć o kilkanaście kroków przedmioty. Nasi wyswobodzeni więźnie ze swymi zbawcami, przeszedłszy stosy gruzów, ściągnęli czaty i na czele orszaku, składającego się z kilkudziesięciu ludzi, dążyli ku zamkowi Śladkowskiego.

Lecz zaledwie oddział postąpił kilkanaście kroków, gdy zaszeleściało coś w krzakach, potem zaczęły sypać się gruzy z kupy zwalisk i wyraźnie słyszeć się dały kroki uciekającego człowieka.

— Trzymaj! — zawołał Marcin i zaczął biedz w ślad zbiega.

Marta puściła się za nim, a kilkunastu żołnierzy rozbiegło się wzdłuż muru, który zasypywały zwaliska.

Goniący, wydostawszy się z gęstwiny, ujrzeni prawie na wierzchu muru człowieka biegnącego z nadzwyczajną szybkością po osypujących mu się pod nogami gruzach. Marta i kilku ścigających byli bardzo daleko od niego i postępowali po kamieniach nieśmiało i bojaźliwie, zatem niepodobna było, aby go dościgli, lecz gdy nieznajomy już był bardzo blisko szczytu kupy zwalisk, nagle pod stopami obrywa mu się kamień i nieszczęśliwy zsunął się aż na samą ziemię. Żołnierze rzucili się ku niemu, lecz zbieg zerwał się żywo i, ubiegłszy kilkanaście kroków, przeskoczył odłam muru, leżący na murawie i z drugiej jego strony upadłszy, przyległ do ziemi, ścigający minęli kamień, a nie ujrzawszy nikogo, pognali w las. Wtedy zbieg zerwał się

powtórnie i, dopadłszy drzewa, ze zręcznością wiewiórki wdrapał się na nie w jednej chwili. Marta stojąc, na murze, widziała to wszystko.

— Hej, bracia, do mnie! tu jest nasz ptaszek.

— Gdzie, gdzie? — wołali, zbiegając się, żołnierze, nie widząc nikogo.

— Włazł na ten dąb... tam prosto o kilkadziesiąt kroków, śpiesznie, bo nam ucieknie, to jest zbójca Białego Grzegorza, nie wypuście go z rąk, bo, jak da znać towarzyszom, nie łatwo wydostaniemy się z ich szponów.

Żołnierze otoczyli dąb.

— Co u licha — rzekł Marcin — tu go nie widać, to być nie może, przecież on nie żołądz, abym go nie spostrzegł między liśćmi.

— Zapewniam was, że widziała, jak wlaził na drzewo, dąb ten stoi zdaleka od innych, gdzieżby się mógł podziać.

— Wiecie, bracia, co zrobimy, aby nie tracić czasu z tym lotrem — rzekł jeden ze ścigających, śmiejąc się z całej duszy. I przybliżył się do grona towarzyszy i poszeptał im coś do ucha.

— Wybornie, cudownie! — zawołał Marcin — nad takimi bisurmanami nie trzeba mieć litości, biegnij, przyjacielu, tam do tych chat po słomę, a wy zbierajcie suche gałęzie.

W kilka chwil nałożono stos pod dębem, Marcin zakrzesał ognia, przyniesiono kilka snopów słomy i w parę minut płomień objął drzewo, a kłęby dymu wzniosły się pod obłoki. Drzewo, zmoczone deszczem nie chciało się palić, trzeszczały tylko kora i liście jego,

lecz niedługo rozległ się ciężki upadek ciała na stos ognia; potem odezwały się jęki, ale śmiechy żołnierzy zagłuszyły je wkrótce.

Był to nieszczęśliwy, nazwany od kolegów mni-chem.

Marta tylko stała ponura i blada.

Okolo godziny 12-ej po południu orszak przybył do Misuryna.

— Co to za uroczystość? — zawołał Żółkiewski, widząc zgromadzonych włościan w świątecznych ubiorach u bramy zamku.

— Czekamy na państwa młodych Żółkiewskich i Białobrzeskich — odrzekł podstarości, stojący na czele tłumu wieśniaków — aby ich pożegnać, gdy za chwilę będą opuszczali zamek, bo już zapewne udali się do kaplicy.

— O Boże! — jęknął Jan i zaczął biedz ku bramie.

— Wstrzymaj się, starosto! — zawołała Marta — możecie spłoszyć naszą kawkę w pawich piórach, może uciec, trzeba być ostrożnym, ja udam się naprzód z jednym z naszych żołnierzy, przepatrzę stanowisko nieprzyjaciela, a potem przez niego dam wam znać, starosto.

— Dobrze, dobrze, Marto, działaj, jak uważasz najlepiej — odrzekł Żółkiewski, przygnębiony niepowodzeniami.

W parę chwil przybiegł szeregowiec, wzywając starostę, aby jak najspieszej udał się za nim do kaplicy.

Żółkiewski, jak dziecko, bez woli, poszedł za swym przewodnikiem, a kiedy wchodził do świątyni, na zakręcie korytarza ukazał się weselny orszak.

W kilka chwil nadeszli państwo młodzi.

Zaledwie bandyta przestąpił próg świątyni i zbliżał się ku stopniom ołtarza, gdy nagle stanął przed nim Żółkiewski i uchwyciwszy go za rękę, zawołał piorunującym głosem:

— Stój! złoczyńco! nie plam tego świętego miejsca skalaną twą stopą!

Grzegorz sięgnął lewą ręką po ukrytą zanadram broń. Byszcząca stal mignęła w powietrzu, lecz Teresa swą słabą dlonią wstrzymała ten pocisk, a Stanisław, towarzyszący Żółkiewskiemu, uchwycił z tyłu za oba ramiona oszusta. Białobrzaska z okrzykiem radości rzuciła się na łono starosty rubieszowskiego.

— Co to jest — szeptali obecni!

Wtem wbiegła Marta, wołając:

— Trzymajcie go, trzymajcie, to Biały Grzegorz!

— Zbójca! — zapytali goście głośniejszym głosem. — Co to znaczy?

— Tak, zbójca, który was chciał oszukać, podejść, strzeżcie go z pilnością, bo wam umknie, to Biały Grzegorz!

Zbójca, widząc niepodobieństwo ratunku, rzucił broń od siebie i, założywszy ręce, stanął z groźnem wejściem.

ROZDZIAŁ XX.

Nazajutrz po tym dniu dziwnych wypadków w Misurynie, znów w wielkiej, gościnnej sali zgromadzone było liczne towarzystwo, powiększone tylko obecnością Jana Żółkiewskiego i Stanisława. Dziś na wszystkich obliczach panowała szczerza i prawdziwa radość, wszystkie czoła wieńczyło szczęście, a usta błogi uśmiech. Lice nawet Teresy wczoraj blade, smutne, napiętnowane cierpieniem, dziś ozdobione jest lekkim odcieniem rumieńca, promieniejące szczęściem i wesołością. Młoda Aniela podobną była do swej ciotki, z różnicą, jak jej miłość była gorętsza i gwałtowniejsza, tak też i radość wydatniejsza i burzliwsza. Dziewica miała oczy zroszone łzą, pierś jej gwałtownie się wznosiła i opadała, ruchy jej były niespokojne i wzrok jakby obłąkany. Każda chwila rozłączenia z lubym czyniła ją niespokojną i trwożliwą.

Jeden tylko starosta międzyrzecki był roztargniony i zamyślony, jak wczoraj, na jego obliczu widać było mieszaninę uprzejmości gospodarza, i tajnego smutku — ojca; uśmiech był nieco wymuszony i lękliwy. Córkę jego Julję nie było w zgromadzeniu.

Kasztelan Białobrzescki przejęty był szczęściem swej jedynaczki i siostry, jednak często zwracał oczy na Śladkowskiego, a wtedy na jego obliczu osiadał mimowolny odcień ponurego smutku.

Wkrótce boczne drzwi rozwarły się szeroko, kapela starosty zagrzmiała, a marszałek oznajmił, że śniadanie na stole.

Goście parami weszli do przyległej komnaty; obszerne stoły, w podkowę zastawione, uginały się pod ciężarem srebrnych naczyń, mieszczących wytworne onego czasu potrawy. Muzyka uprzyjemniała czas, spędzony przy stole.

Tymczasem w niezbyt odległej komnacie Julja leżała złożona ciężką gorączką, obok łóża stoi wierna jej służba, na jej twarzy znać mocną boleść i współczucie. Chora spoczywała w ciężkim, niespokojnym śnie, światło, padające przez malowane szyby, oświeślało twarz starościanki bladą i nieco zmienioną słabością. Usta jej drgały jakby usiłując wymówić jakieś wyrazy; czasami gwałtowne poruszenie trwożyło strzegącą ją pokojówkę. Lecz co chwila chora była spokojniejszą i sen jej zdawał się być swobodniejszy. Nareszcie dziewczyna usiadła obok łóża, w komnacie zaległa ponura, głęboka cisza, tylko kiedy niekiedy dźwięki muzyki i okrzyki biesiadujących przerywały te cczą spokojność.

Po godzinnym spoczynku chora poruszyła się na posłaniu — pokojówka powstała śpiesznie. Julja z wolna otworzyła oczy i ciężko odetchnęła.

— Pić, pić, Józefo! — przemówiła słabym głosem. Pokojówka podała jej kubek z napojem.

— Co to za dźwięki?... ta muzyka... co to znaczy — zapytała z trwogą starościanka.

— O moja panienko, od wczoraj wiele, bardzo wiele, zaszło tu dziwnych rzeczy. Wiecie, kto był ów człowiek, mieniający się Janem Żółkiewskim?

— No któż taki!... więc to nie był starosta rubieszowski.

— Gdzież zaś, moja panienko, to zbójca, Biały Grzegorz!

— Boże! — zawołała przełęczniona dziewczica — zbójca pośród nas, a myśmy o niczem nie wiedzieli...

— Ach, pani, takie wzruszenie może wam szkodzić, uspokój się pani, o jakżem ja nierozsądna... Najświętsza Panno!... ach uspokój się pani! — wołała Józefa, widząc, że Julja drżała całym ciałem.

— O nie lękaj się, moja droga, już się czuję zdrowszą, ale cóż się z nim stało?

— Prawdziwy starosta, który był przez zbójcę przytrzymany na drodze i uwięziony w Balaklaju, został wyswobodzony przez Martę i przybył do Misury-na, kiedy właśnie Biały Grzegorz prowadził do ołtarza jego narzeczoną.

— Ach co za szczęście, bo gdyby o jedną chwilę spóźnił swój powrót...

— Taki ślub byłby nieważny, powiada nasz ksiądz kapelan, bo ślubujący był oszustem i pod cudzem imieniem go czynił. A potem jako zbójca, powszechnie ścigany, zostałby ukarany śmiercią — szczebiotała gadatliwa Józefa. — Ale, ale, ze starostą przybył uwolniony z więzienia zbójców młody człowiek, jakiś pan Stanisław, podobno naręczony panny Białobrzeskiej. O jakcy oni szczęśliwi!

— Szczęśliwi — powtórzyła smutnie Julja i w oczach jej zabłyśły mimowolne łzy.

— O Boże, pani znów płaczesz? jakażem ja nierozsądna, zawsze muszę pani sprawić jaką przykrość, widać coś powiedziałam, co panią gniewa, albo smuci.

— O nie, Józefo, szczęście bliźnich zawsze mnie cieszy i największą czuję rozkosz, kiedy mogę w czem przyłożyć się do niego — odrzekła starościanka.

— O tak, tak, ja wiem o tem, jednak pani jesteś smutną, płaczesz... ale muszę pani sprawić przyjemność, powiedzieć o jednym nieszczęśliwym młodzieńcu, który potrzebuje wsparcia i opieki cudzej, bo musi być bardzo cierpiącym.

— Cóżto za młodzieniec?

— Nie wiem pani, nawet nikt nie zna go w okolicy, przed paru dniami znaleziono go na wzgórku przy końcu wsi. Leżał jak martwy, niedając najmniejszego znaku życia. Sołtysowa jest bardzo dobra kobieta, litościwa i uczynna, dowiedziawszy się o nim, zabrała go do swej chaty, młodzieniec odzyskał zmysły, ale musi mieć obłąkanie, bo nie mówi do rzeczy, nic od niego dowiedzieć się nie można, powtarza tylko wyrazy: Wesele, wesele! już wszystko stracone!

— O mój Boże! — rzekła ze współczuciem starościanka — on musiał wiele cierpieć, kiedy dolegliwości aż odjęły mu rozum. Wiesz, Józefo, jestto dobrodziejstwo stracić pojęcie, wtedy już się nie czuje ogromu swego nieszczęścia! Lecz nie dla wszystkich Stwórca tak litościwy!

— O, co pani mówisz! — zawołała przełęknięta pokojówka dziwnym wyrazem oblicza Julji — pani nie wiesz, że on i w obłąkaniu cierpi mocno, okropnie, ani jednej chwili nie leży spokojnie, rzuca się, drze za włosy, płacze, śmieje, narzeka.

— Biedny młodzieniec!

— O bardzo. A gdybyś go pani widziała, jak miłe jego blade oblicze, jak młody, zapewne niema dwudziestu lat jeszcze... O, trzeba mieć kamienne serce, aby nad nim nie zapłakać.

— Moja Józefo, ja muszę go widzieć; daleko do chaty sołtysowej?

— Pani, w tym stanie! — zawołała zdziwiona pokojówka — pani byś przez pokój nie zdołała przejść, nie dopiero taki kawał drogi, to aż na końcu wioski. A ojciec pani, pan starosta, co by na to powiedział?... Rozkaż pani, a ratunek poniesie mu kto inny tak dobrze, jak wy sami.

— Tak, masz słuszność, może i kto inny z mego rozkazu... I mówisz, że jest piękny i młody? — zapytała Julja, utopiwszy wzrok w obliczu Józefy.

— Tak, młodzieuchny, blondyn, dopiero zaczyna zarastać.

— Blondyn! — zawołała z coraz większą, żywością Julja.

— Cóż to panią tak dziwi, czy nie lubisz pani blond włosów — zapytała dobroduszenie dziewczyna.

— Tak... tak, nie lubię i nie poniosę mu żadnej pomocy... do chaty sołtysowej to bardzo daleko... wszak to w tej ostatniej chałupie pod górką?

— O nie, tu trochę bliżej — odpowiedziała pokojówka — na prawo, ta wielka porządna chata, łatwo ją odróżnić od innych.

— Ach wiem, wiem — zawołała Julja, porwała się z łoża i pewnym krokiem pobiegła do okna —

patrz Józefo, to ta, co to ją widać na prawo, pod tą wielką wierzbą?

— Tak, pani, ale na Boga, jak można wstawać z łóżka bez obuwia, pani tak ciężko chora, możesz się zaziębić—wołała zdziwiona do najwyższego stopnia dziewczyna.

Lecz widząc, że starościanka po tem pierwszym wysileniu chwieje się na nogach, wsparła ją na swoim ramieniu i odprowadziła na pościel.

Długą chwilę ponure panowało milczenie, Julja zdawała się być pogrążoną w głębokiej zadumie, walkę sprzecznych uczuć widać było na jej czole.

— Czy nie wiesz, Józefo, od jak dawna ten młodzieniec znajduje się w tych stronach? — zapytała nareszcie.

— Znaleziono go tego dnia, w południe, kiedy miało być wasze wesele, do tego czasu leżał bez żadnej przytomności, dziś dopiero odzyskał nieco zdrowia.

— I nie pytano go, z kąd przybył, jak się nazywa?

— Nie śmieli czynić mu żadnych pytań, widząc jego cierpienia, a potem ta chwila polepszenia była tak krótką, bo, dowiedziawszy się, że już trzeci dzień zostaje w tym stanie, zawołał: „więc już po weselu!.. wszystko stracone“ i znów wpadł w dawną niemoc.

— Mówił o weselu, powiadasz? i ono go tak mocno przeraża?

— O tak, pani, to jest jedyny wyraz, który teraz wymawia.

— Ach to wesele... bo też dzień ten był strasznym, okropnym jak chwila ostatecznego sądu... chwila ta odwlekła się, ale nie minęła jeszcze...—mówiła w okropnem wzruszeniu Julja, potem odwróciła się i zakryła twarz koldrą.

Po chwili rzekła do pokojówki:

— Możesz odejść, moja Józefo, jestem zdrowszą, spocznij, nie spałaś zapewne całą noc... nie będę cię potrzebowała.

Dziewczyzna, przyzwyczajona ulegać we wszystkim woli pani, oddaliła się z komnaty.

Zaledwie zamknęły się za nią podwoje, Julja porwała się z łóżka, przybiegła do drzwi, zamknęła je na klucz, upadła na kolana przed obrazem Boga-Rodzicy, modliła się niedługo, lecz gorąco; potem śpiesznie zaczęła się ubierać zarzuciła płaszczyk z kapturem na siebie, zasłoniła twarz i wyszła na korytarz. Przecho-dząc około drzwi biesiadnej komnaty, usłyszała okrzyki biesiadujących, pomieszane z dźwiękami muzyki. Nagle powstał mocny szelest krzesel, zapewne wstawawano od stołu. Julja zadrżała, aby kto nie spotkał jej, zaczęła iść śpieszniej, zbiegła ze wschodów, wyszła z zamku, nikt jej nie poznał, ani nawet zwrócił na nią uwagi. Bez wahania, ani namysłu, udała się prosto drogą, do wsi wiodącą, i skierowała swe kroki ku chacie sołtysowej. Dostyć daleka ta podróż wymagała więcej sił, niż posiadała osłabiona Julja, lecz mocna wola, wspierając ją, kazała zapominać o znużeniu.

ROZDZIAŁ XXI.

W zamku tymczasem nikt nie wiedział, ani domyślał się o postępku Julji. Cały dzień bawiono się ochoczo, starosta nie miał czasu nawet jednej chwili poświęcić córce. Józefa parę razy pukała do jej drzwi, lecz zastała je zamknięte i pomyślała, że starościanka spać musi — zatem jest zdrowszą.

Nadszedł wieczór, wszystkie okna zamku zajaśniały rześmistem światłem, okrzyki, radość, śmiechy, dźwięki muzyki, rozlegały się po strojnie ubranych komnatach. Aniela i Stanisław, Teresa i Jan promieniali szczęściem prawdziwem w pośród tego roju wesołych biesiadników.

Białobrzeski i Śladkowski tylko byli nieco roz-targnieni, ich wesołość była nienaturalna, uśmiech wymuszony, cierpienie, mimo mocnej woli zatajenia go, wydobywało się z duszy, osiadając na ich pomarszczonych czołach. Obadwa często rozmawiają z sobą, wtedy oblicza ich wypogadzają się nieco, w oczach zaświeci nadzieja, i dłonie darzą się uściskiem.

Wśród tego gwarne go tłumu nikt nie zwraca uwagi na tych dwóch cierpiących ludzi, każdy zajęty kielichem, swym towarzyszem, lub sobą.

Starosta pragnął godnie przyjąć panów braci, zebranych na wesele jego córki, wielkie poczynił przygotowania, lecz Bogu podobano się inaczej, okoliczności zmieniły postać rzeczy, ale sąsiadów zawsze potrzeba uczyć w swym domu.

Liczna służba roznosi napoje, stare wina dodają humoru i ożywiają wesołość, wszyscy oddają się zabawie z całą duszą.

Zbliżyła się chwila kolacyi, trąby i kotły odezwały się wrzaskliwie, rozwarły się złożone podwoje i olśnionym oczom przedstawił się w przyległej komnacie wytworny długi stół, zastawiony srebrem, pełny najwyszukańszych potraw. Blask licznych światła podwojonego obitemi promieniami od błyszczącego metalu, czynił widok ten wspaniały i ponętny. Wielu z panów braci połknęło ślinkę, popuszczając pasa, na przynęcający ten obraz. Goście porządkiem starszeństwa lub godności przeszli do tego przybytku rozkoszy, zajęli miejsca, a zwolna znikwały z półmisków te delikatne potrawy, wypróżniały się flasze, a rosły natomiast, szczerokość, otwartość, dobry humor i oświadczenia.

Gdy tak wszyscy zajęci byli zabawą, i nikomu nawet na myśl nie przyszedł groźny niedawno bandyta, dziś więzień w Misurynie, towarzysze tymczasem jego, dowiedziawszy się o ujęciu wodza, wysłali Tomaszka, który zdołał ująć z rąk nieprzyjaciół, gdy uwięziono bandytę, aby jakimkolwiek sposobem mógł zobaczyć się z nim i poradzić o sposoby wyzwolenia.

Noc ponura zaległa okolicę, wokoło ciemno i głucho, w oknach tylko zamkowych tysiące świateł migocze i rozlega się huczna muzyka, lecz na dziedzińcu, w ogrodzie i na murach, cisza i spokojność panuje głęboka.

W środku prawie twierdzy, wśród wyniosłego muru, oddzielającego ogród od dziedzińca, czyli opasu-

jącego właściwą twierdzę, stoi groźny, ponury budynek, albo wieża raczej. Na dole miejsce okien zastępują wąskie podłużne otwory, jak strzelnice, na parę stóp wzniesione od ziemi.

Wchód jest od strony dziedzińca, szerokie, dębowe podwoje, zewnątrz okute żelazem, po kilku kamiennych stopniach prowadzą do posępnego sklepienia.

Wieża ta była zbrojownią.

W tej właśnie chwili, przy pierwszym oknie albo strzelnicy, po prawej stronie od ogrodu, stał jakiś człowiek, lub mara, nieruchomy jak posąg i milczący jak głaz martwy. O kilka kroków od niego z lewej strony, widać podobną postać, szarą, nieruchomą i milczącą.

Ale zbliżmy się ku tym dwom podejrzanym ciniom, może cokolwiek dozwoli nam domyśleć się powodów ich postępowania, może je poznamy.

Powietrze było ciche i spokojne, leciuchny wietrzyk nawet nie ruszył drzewem, ani zaszeleścił opadłym liściem; łatwo przeto usłyszeć można było ciche szemranie i rozumieć wyrazy mowy, wychodzące z wąskiego okienka zbrojowni.

— Bądź zdrow, Tomaszu, bądź zdrow, przyjacielu... nasze plany... nadzieje... wszystko przepadło.

— Wodzu! mój waleczny, wielki wodzu! o czemuż nie mogę przynajmniej uścisnąć twej ręki, twych nóg...

— O wierz mi, Tomaszu, ciebie mi tylko żal na świecie, kochałem cie jak brata.

— Wodzu, ja nie przeżyję twej śmierci!

— Dziecko jesteś!... posiadasz bezpieczne schronienie w Balaklaju, którego sztuczny wchód zakrywa kupa gruzów, i pięćdziesięciu na wszystko poświęconych towarzyszy... opuść te strony, ofiaruj usługi swoje Rzeczypospolitej, jesteś młody, waleczny... mnie bo krępowała zemsta... umrę, lecz już dosyć wywdzięczyłem się braciom za ich słodycz, przywiązanie, szczęście którego doznawałem! pomiędzy nimi — mówił z dziwną ironią w głosie Grzegorz — wy zaś jesteście swobodni.

— Nie, nie umrzesz, wodzu! — zawołał z zapalem towarzysz — ach, ja zapomniałem, że mam w ręku sposobność wyrwania cię z tego ohydneho więzienia, że posiadam 50-ciu, jak sam powiadasz, na wszystko poświęconych ludzi. Ja wybawię cię, lub pomszczę.

— Tomaszu, wypełnisz moje rozkazy, a ja zabraniam ci tego!

— Wodzu, co mówisz? dlaczego?!...

— Nie pozwolę ci narażać wszystkich towarzyszy na oczywistą zgubę.

— Ty, który dawniej nie znałeś niebezpieczeństwa, ani niepodobieństw?

— Tak, poświęcałem wszystko dla mej zemsty, ale teraz, gdy ani zemścić się, ani korzystać niepodobna, zabraniam ci narażać towarzyszy! Mury obsadzone są mocną strażą, w koszarach mieszka kilkuset zbrojnych ze szlachty i orszaków panów, przybyłych na wesele, wszedłszy do zamku, zostałbyś pochwycony jak w pułapkę.

— Lecz wał ogrodowy jest niestrzeżony, tamtędy wprowadzę naszych ludzi, wybijemy otwór w tym murze i uwolnimy cię.

— Nie, zabraniam ci tego. O kilka kroków na murze stoją czaty, najmniejszy szelest nie ujdzie ich baczności, zgubiłbyś towarzyszy, których poświęcenia się i tak nadużywaliśmy dotąd. Dozwól mi umrzeć z błogą myślą, że przynajmniej tych kilkudziesięciu ludzi, którzy byli tylko narzędziami mej woli, ujdą ręki kata, że zapewnisz ich szczęście.

— O nie, wodzu, nie, ty nie umrzesz, my cię wyswobodzimy mimo twej woli! Za kilka godzin już zamek cały będzie pogrążony w głębokim śnie, ta pijana czereda pasibrzuchów, utrudzonych całodzienną hulanką, legnie jak martwa. Służba spać będzie podobnie panom, wtedy wpadną nasi towarzysze, zapalą zamek na cztery rogi z jego śpiącymi mieszkańcami, i gdy strażę pobiegną ratować panów, my uprowadzimy cię mimo nawet twego oporu.

— Nie, Tomaszu, nie będziesz nieposłuszny, zamek cały kamienny nie łatwo zapalić, możecie wszyscy zginąć bezpotrzebnie; rozkazuję ci, abys był godnym następcą i ojcem mych ludzi... jeżeli nie straszą cię trudy i niebezpieczeństwa, żyj dla mej zemsty!

— Zemsty!... — szepnął jakiś cichy głos.

Tomasz śpiesznie podniósł głowę, spojrzął dokoła, bacznie przyglądał się każdemu krzakowi, każdemu drzewu, lecz nie dostrzegł osoby, któraby mogła wymówić to słowo.

— Zdawało mi się zapewne — rzekł sam do siebie.

— Bądź zdrow, Tomaszu, bądź zdrow, odejdz — mówił Grzegorz.

— Nie, wodzu, nie odejdę, dopóki nie dozwolisz mi ratować siebie, zostanę tu do białego dnia, niech dręczą męczarniami, będę cierpiał przynajmniej z tobą. Nie chcę przeżyć cię, wodzu!... Lecz dlaczego mi wzbraniać próbować szczęścia. Przysięgam ci, że nie umrzesz jeszcze, po północy przychodzę z towarzyszami, wydre cię ze szpanów wrogów, później ukarzesz mnie za nieposłuszeństwo.

— Tomaszu, nie czyń tego, bądź zdrow!

— Nie, dowidzenia.

Zbójca lekkim krokiem pobiegł ku wałowi ogrodu, zsunął się z niego i znikł w ciemności na równinie. Wtedy poruszyła się owa druga postać, przystąpiła do okienka, przy którym stał przed chwilą Tomasz i rozśmiała się szyderczym głosem.

— Ha, ha, ha! Grzegorzu, ciesz się, będziesz o północy wolnym.

Wewnątrz wieży odezwało się okropne przekleństwo.

Szara postać wyjęła z pod płaszcza małą latarkę, przy jej świetle otworzyła dębowe podwoje i weszła do podziemnego sklepienia.

Po kilku kamiennych wschodach wchodziło się do małego przedsionku, z którego żelazne kratowe drzwi prowadziły do wielkiej sklepionej rotundy, z której na-

przeciw pierwszych były drugie drzwi zamknięte debowemi podwojami.

W tej rotundzie siedział Grzegorz.

— Czego tu chcesz, czarownico! — zawołał bandyta, zapalony gniewem, gdy Marta (gdyż to ona była tą drugą postacią) zaświeciła mu w oczy latarką przez kratę. — Czy i tu jeszcze prześladować mnie będziesz.

— Pragnęłam widzieć cię raz jeszcze, raz ostatni, szlachetny rycerzu z Multan, aby przypomnieć ci Adyla, mego syna!

— Precz, poczwaro!

— O nie, przyjacielu, nie odejdę tak prędko, pragnę nacieszyć się twem obliczem, twą wściekłością, jak ty cieszyłeś się moim żalem i boleścią, gdyś cię błagała o syna!... Ciesz się, o północy twoi ludzie przyjdą wyswobodzić cię z więzienia, nie będziesz sam cierpieć, oni wszyscy podzielą twój los, bo kilkuset uzbrojonej szlachty będzie ich oczekiwać z przyjacielskiem przyjęciem — biedacy, sami wejdą w łapkę.

Grzegorz zgrzytnął okropnie zębami, lecz nie uczynił najmniejszego poruszenia, tyłem odwrócił się do Marty.

Wtem zefir przyniósł z okien zamkowych mocniejszy dźwięk muzyki, pomieszany z wesołym okrzykiem biesiadujących.

— Czy słyszysz brzmienia radosne kapeli, ten gwar zabawy? To tryumf prawdziwego Żółkiewskiego, to radość z pognębienia zbójcy, niszczącego okolice, i z wytopienia jego bandy.

Bandyta wstrząsnął się z gniewu, lecz nie wymówił ani jednego wyrazu i wolnym krokiem oddalił się w głąb rotundy.

W tej chwili rozległ się wiwatowy wystrzał z moździerza.

— Słyszysz te wystrzały? to panowie bracia piją zdrowie dawnej twej narzeczonej panny Teresy, która miała ci przynieść zamek Stajki... o, i tak będziesz go posiadał... mimo woli twej nawet, do śmierci dla ciebie i twych braci dadzą w nim mieszkanie, lecz widzę, że jesteś zimny na wszystko, muszę ci objawić mój zamiar, może ta wiadomość uczyni cię czulszym. Wiesz, jutro myślę w towarzystwie kilkuset pancernych odwiedzić wasze mieszkanie w Balaklaju, przejrzeć wasz skarbiec, napełniony rabunkiem, i poprosić do Kudaku w gościnę twych towarzyszy, jeżeli dziś ujdą zasadzki w Misurynie.

Bandyta jak lew rozdrażniony rzucił się na kratę, wstrząsnął nią, lecz żelazo oparło się jego natarczywości, a Marta, cofnąwszy się w tył, rozśmiała się śmiechem szatana.

— Nędzna żebraczko!... czarownico!... precz ztąd, precz!...

— Poczekaj, jeszcze ci wszystkiego nie powie działą. Znasz zapewne kupę gruzów, pod którą ukrywa się wchód do waszej jaskini, jak ci się zdaje, wszak kilka centnarów prochu, który znajduje się tu, za temi drugimi drzwiami, rozsadzi tę granitową zaporę i otworzy nam wejście do waszego schronienia?

— Kłamiesz, nędznico!... Chyba szatan objawił ci te tajemnice.... ale nie, nie, ty nie będziesz mogła korzystać z tej wiadomości! nie odejdziesz ztąd żywą!

I znów przybiegł do kraty, usiłując ją wyrwać, aby pomścić na żebracze jej naigrawanie. Marta stała tuż za drzwiami, świecąc w oczy bandycie z urąganiem.

Grzegorz, widząc bezskuteczność swych usiłowań, wyciągnął rękę przez kratę, pragnął uchwycić przeciwniczkę i wydarł jej z rąk latarnię. Marta cofnęła się wstecz i zaczęła szydzić z bezbronnego nieprzyjaciela.

Wściekłość bandyty wzrastała z każdą chwilą, upadek wszystkich nadziei, widoczne niebezpieczeństwo jego towarzyszy, strata tak bezpiecznego i korzystnego dla nich schronienia, jego obecne położenie, bliska śmierć, której przyczyną była prześladowająca go żebraczka — wszystko to podwajało jego zapalczywość i rodziło okropną żądzę zemsty.

Grzegorz, widząc, że krata opiera się jego sile, zaczął szukać jakiej broni, którąby ukarał naigrawanie się żebraczki, lecz napróżno; nic nie znajduje. Nareszcie przybiega do przeciwległych drzwi, lecz zastaje je zamknięte — uderza sobą z całych sił, podwoje roztwierają się, wchodzi do małej, ciemnej celki, której ściany, wylane lśniąca warstwą smoły, odbijały promienie światła z latarni. Na podłodze stało kilkanaście beczek, silnem uderzeniem nogi wybija dno w najpierwszej, klepki rozleciały się i czarny połyskujący proch rozsypał się po ziemi.

— Proch!.. — zawołał zbójca w mimowolnej trwodze i stanął nieruchomy, potem wolnym krokiem wyszedł z tej strasznej komnaty. Marta nie słyszała jego wykrzyknika.

— No, cóż, bohaterze, coś taki zamyślony: może przysłać ci księdza, śmierć bliska, trzeba porachować się z sumieniem, a wieleś nabroił, pamiętasz wszystkie twe ofiary, przypominasz sobie panią Śladkowską? twą żonę.... córkę Zuzannę?..

Na te okropne wspomnienia, Grzegorz znów wpadł w szaleństwo gniewu.

— Ha, poczwaro, któraś poprzysięgła mi zgubę! któraś była przyczyną śmierci mej żony, córki i mojej, nie ujdiesz mej zemsty... czarownico, pomszczę ich śmierć, umrę, lecz razem z tobą!... ocale mych nieszczęśliwych towarzyszy!...

Porwał latarnię i pobiegł ku drzwiom ciemnej komnaty.

ROZDZIAŁ XXII.

Kiedy wrócili z Balaklaju żołnierze wysłani za Martą i oznajmili Koniecpolskiemu o pomyślnym skutku ich wyprawy, ucieszony hetman zaczął śpiesznie wybierać się w podróż do Misuryna. Lecz znów przybycie posłańca od wojska wstrzymało jego odjazd. Koniecpolski rozkazał wprowadzić go do swego gabinetu, gdzie sam się udał, a po wysłuchaniu postanowił dopiero opuścić Kudak.

Zaledwie wielki hetman zajął miejsce przed swym biurkiem, gdy wszedł młodzieniec z raportem od Potockiego. Cała powierzchowność młodego posłańca uprzedzała za nim i zniewalała serce. Oblicze blade nieoctnęło szlachetnością, wejrzenie śmiałe, lecz bez zachwałości, zdawało się świadczyć o jego szczerości, czoło wyniosłe, postawa wspaniała, żołnierska, oczy tylko mocno zapadłe dowodziły o cierpieniu duszy.

Młodzian wszedłszy, oddał głęboki ukłon Koniecpolskiemu i wręczył mu pismo hetmana polnego.

Wielki hetman z zajęciem spojrzął na posłańca, potem rozłamał pieczęć i zaczął czytać. Czoło jego chmurzyło się, brwi marszczyły w miarę coraz dalszego zagłębiania się w rapportcie, odetchnął ciężko i znów spojrzął w oczy młodzieńcowi o kilka kroków przed nim stojącemu.

— Więc waść jesteś Kazimierz Śladkowski.

— Tak jest, j. w. hetmanie.

— Pan polny hetman chlubnie tu pisze o was, wasze męstwo i odwaga uchroniły naszych od wielkiej klęski.

— Waleczność, j. w. hetmanie, jest powinnością każdego żołnierza!

— Tak, tak, mój młody przyjacielu, jednak odwaga i męstwo dowodzą prawości charakteru i są chlubą rycerza. Cieszę się, że takim widzą brata mej synowej.

Kazimierz z jakimś niedowierzaniem, czy zadziwieniem spojrzął na hetmana.

— Czy waszmość jedziesz na wesele siostry? — zapytał Koniecpolski łaskawie.

— Tak jest, j. w. panie, mam zamiar wprost z Kudaku udać się do Misuryna.

— Więc będziesz mi towarzyszył, pojedziemy razem, właśnie tam się wybieram. Jędrzej z mem błogostawieństwem już tam pośpieszył od dwóch dni.

— Co, pan Jędrzej?.... Wszak ojciec donosił mi, że siostra idzie za kasztelana Białobrzeskiego.

— Tak być miało... twoja dobra siostra czyniła z siebie ofiarę dla szczęścia innych... O, Julja jest młodą, lecz pełną cnót dziewczyną. Jędrzej zapewne uprzedził wesele i nakłonił swą prośbą i mojem wstawieniem się waszego ojca, do zmienienia swego postanowienia i oddania mu ręki corki.

— Wybór wasz j. w. hetmanie bez wątpienia wielki czyni nam zaszczyt i dzięki wam zań składam, lecz za szczęście mej siostry podziękować nie umiem, bo mowa ludzka nie posiada wyrazów na określanie tego! co czuje moje serce.

I, z zapalem ująwszy rękę Koniecpolskiego, przycisnęła ją do ust swoich. Hetman z rozrzewnieniem złożył pocałunek na jego głowie.

Za pół godziny obadwa opuścili Kudak.

Nazajutrz około wieczora już Koniecpolski z młodym bratem Julji zbliżali się do Misuryna. Od paru godzin zciemniało, jesienne niebo posiane było drobnymi chmurkami, po nad zamkiem czerwieniała lekka łuna odbitego światła z okien.

— Zapewne trafimy na wesele, patrz, Kazimierzu, jak licznem światłem jaśnieją okna zamkowe — mówił Koniecpolski — lecz czemuż nie zatrzymali się do mego przybycia, wszak uprzedziłem Jędrzeja, że wkrótce przyjadę...

— O, droga moja siostra! jakaż ona szczęśliwa dziś być musi — pomyślał Kazimierz, ale mimo tej pocieszającej myśli, jakieś smutne przeczucie owładnęło jego umysłem.

Hetman także pogrążył się w dumanii.

Wtem okropne łyśnięcie oblało potokiem światła mury zamkowe, potem silny huk wstrząsnął ziemię i czarne tumany na chwilę zasłoniły wszystko, lecz wkrótce czerwone płomienie wzniosły pod obłoki swe dumne ramiona.

— Na Boga, co to jest! — zawołał Kazimierz — patrzcie, hetmanie, zamek gore śpieszmy!.. śpieszmy!..

— Ach, to zbójcy zapewne wysadzili go w powietrze, słyszałeś tę silną eksplozyę to był wybuch prochu. Janie, dalej po koniach, pędź co tchu!..

Kazimierz wydarł z rąk sługi biec i zaczął poganiać rumaki. W przeciągu dziesięciu minut przybyli do twierdzy...

Zamek, okropny przedstawiał widok, wszystkie okna były powyrywane, dachy obdarte, mury popękane, a przez wyłomy widać było wnętrze ozdobnych komnat.

Na dziedzińcu panowało okropne zamieszanie, pawilon najbliższy zbrojowni był cały w płomieniach. Tłumy szlachty, kobiet w wytwornych strojach i żoł-

nierzy w okropnem przerażeniu tłoczyły się ku głównej bramie.

Pierwszą myślą Kazimierza było ratować ojca i siostrę, lecz na dziedzińcu ich nie znajduje — pyta, ale w powszechnej trwodze nikt mu nie odpowiada, każdy zajęty sobą. Biegnie do komnat ojcowskich, wtem na wschodach spotyka młodzieńca, unoszącego dziewczę w bieli ubraną — To Jędrzej i Julja pomyślał, i zawołał ich po imieniu. Młodzian obejrzał się.

— Nie, to nie Julja, odrzekł — to panna Białobrzeska; — starościanka zachorowała i leży zapewne w swym pokoju, ratuj ją!...

Młodzieńcem tym był Stanisław.

Kazimierz biegnie do komnaty siostry — pod drzwiami zastaje ojca, dobywającego się do sypialni córki.

— Mój ojczu! gdzie jest Julja, ocalmy ją!

— Tu, ale zamknięte — odrzekł starosta — musiała usnąć.

Młodzieniec z rozpaczą uderzył we drzwi, zamek odskoczył, otworzyły się — lecz pokój pusty, nikogo niema.

— O mój Boże! porwano ją! — zawołał nieszczęśliwy starzec i upadł bez sił na łożo córki.

Kazimierz porywa ojca i wynosi na dziedziniec.

Tymczasem Koniecpolski swoją przytomnością umysłu, doświadczeniem i powagą zdołał przywrócić porządek wśród tej zatrwożonej, różnorodnej tłuszczy. Żołnierze wzięli się do ratunku i gaszenia ognia, słudzy odbili drzwi od stajen, wyprowadzili konie, po-

wytaczali pojazdy. Nieład się zmniejszył, po przekonaniu, że największe niebezpieczeństwo już minęło. Dla pomocy, hetman rozkazał zgromadzić włościan z całej wsi i przy wspólnych usiłowaniach pożar został ugaszony.

W tej chwili Kazimierz wyniósł na dziedziniec bezprzytomnego swego ojca; zaczęto go cucić, starzec nie prędko odzyskał zmysły, a pierwszym zapytaniem jego było:

— Gdzie jest Julja, gdzie moja córka!

Pomiędzy wieśniakami, wezwanymi do pomocy w gaszeniu ognia, był sołtys, który usłyszawszy rozpaczliwe narzekania nieszczęśliwego ojca, zbliżył się i oznajmił, że starościanka przed paru godzinami przybyła do jego chaty, niosąc wsparcie nieszczęśliwemu podróżnemu, i że...

Śladkowscy obadwaj nie chcą więcej słuchać, lecz, pragnąc jak najspieszniej uściskać Julję, biegną do chaty sołtysa.

Po przywróceniu porządku, Koniecpolski także zaczął dowiadywać się o swego syna, a gdy z wielkiem zadziwieniem usłyszał, że Jędrzej jeszcze nie przybył do Misuryna, zatrwożony nieco tą złowróżbną wiadomością, opuścił miejsce to okropnych wypadków.

Julja tymczasem, opuściwszy pokryjomu zamek, szczęśliwie przybyła do chaty sołtysa; wieśniacy poznali ją natychmiast.

— Ach, nasza pani niesie pomoc temu nieszczęśliwemu młodzieńcowi! — zawołała sołtysowa, ujrawszy ją na progu — o niech was Bóg błogosławi.

— Jakże się ma, moja droga? — zapytała Julja ledwo dosłyszczanym ze wzruszenia głosem i przymuszona była wesprzeć się o najbliższy przedmiot, aby nie upaść, jakieś dziwne uczucie trwogi, czyli też radości opanowało całem jej jestestwem, serce silnie biło, łono się wznosiło, ręce zaczęły drżeć, jakieś zimno i gorąco przebiegało po jej ciele.

— Dziś zrana był nieco zdrowszy, ale teraz znów opanowała go okropna gorączka... zobaczcie, pani, jaki blady... zdaje się że zasnął w tej chwili.

Julja postąpiła parę kroków ku posłaniu chorego, a spojrzawszy na twarz jego, wydała okrzyk przerażenia.

— Ach to on!.. to Jędrzej!..

Młodzieniec drgnął silnie, roztwarł nabrzmiałe powieki i spojrzał błędnym wzrokiem dokoła.

— Już trzy dni upłynęło... wszystko stracone... niech umrę! — wymówił machinalnie chory głuchym głosem.

— O nie, Jędrzeju, nie umrzesz! będziesz żył dla twego ojca, dla twych przyjaciół... dla mnie, Jędrzeju!

— Już trzy dni! — powtórzył znów chory.

— O Boże, on postradał rozum! Jędrzeju, Jędrzeju spojrzyj na mnie! to ja, Julja — wołała dziewczica w najwyższym poruszeniu.

— Już trzy dni!.. wszystko przepadło... już po weselu! a mój ojciec zezwolił... „będziesz z nią szczęśliwy“ powiedział — o będę szczęśliwy... ale nie tutaj... — mówił młodzieniec w obłąkaniu, lecz nieco dźwięczniejszym głosem.

— O mój Jędrzeju... co ty mówisz, jeszcze nie nie przepadło, jeszcze nie po weselu!.. Przyjdź do siebie! spojrzysz na mnie, to ja jestem!..

— Kto do mnie przemawia, czyżże to głos? Precz, precz maro piękna! precz odemnie!

— O mój Boże, on mnie nie poznaje! — zawołała w rozpacz dziewczica, klęcząc u łóża nieszczęśliwego młodzieńca i uchwyciła palającą dłoń jego, silnie nią wstrząsając — Jędrzeju, to ja, Julja, jestem przy tobie, ja mówię do ciebie mój najdroższy!

— Julja, kasztelanowa Białobrzaska?.. Julja sprzedała się nikczemnie starcowi!..

— O Stwórco Wszechmocny oświeć go!.. powróć mu rozum!.. o co za szkaradne podejrzenie... on mnie posądza, a ja poświęciłam się dla jego szczęścia!

I bolesne łkania żalu przerwały jej mowę. Chory poruszył się na pościeli i ciężko westchnął.

— Któż tu płacze, czyż wszędzie cierpienia i narzekanie, o jak przykre są łzy bliźniego.

— Jędrzeju mój, to ja, przyjdźże do siebie mój najdroższy!

— Najdroższy!.. — powtórzył machinalnie chory.

— Boże, Boże drogi! on zupełnie postradał rozum — zawołała w najwyższej rozpacz dziewczica i rzuciła się na łono młodzieńca, pragnąc swem uściśnieniem przywrócić mu władzę rozeznawania. — Jędrzeju, Jędrzeju mój, przyjdź do siebie, odwołaj twoje szkaradne podejrzenie, spojrzysz na mnie... to ja jestem... Julja twoja!..

— Moja Julja... kto mówi do mnie te pocieszające słowa.

— Ja, mój Jędrzeju, ja! ach przyjdź do siebie, będziemy jeszcze szczęśliwi!

— Szczęśliwi?... ja z Julją, o mój Boże! z Julją, która oddała rękę Białobrzeskiemu.

— Nie, nie oddała, oszukano cię mój Jędrzeju.

— Więc ona jest jeszcze wolną? a ja tu tracę czas bezpotrzebnie, zdaleka od niej! — zawołał młodzieniec i szybko podniósł się na posłaniu, ognistym wzrokiem i bez obłąkania spojrzął przed siebie i ujrzał klęczącą ze złożonemi rękami postać dziewczicy. — Boże czy to sen? Julja!..

— O Panie Najwyższy, wysłuchałeś mych próśb! on odzyskał rozum, poznaje mnie!

— Tak jest, poznaje cię najdroższa! Aniele mój!..

I oboje jakby tajemną popchnięci władzą rzucili się w swoje objęcia.

— Więc ogłądał cię jeszcze!.. o powiedz, jakim sposobem, co cię tu sprowadziło? więc jeszcze nie należyś do kasztelana?

— Bóg uchował mnie od tego nieszczęścia, mój Jędrzeju, abyśmy byli szczęśliwi!

— Tak, Juljo, tylko dla szczęścia naszego żyć będziemy, dla naszej miłości.

— I dla ojców naszych — dodała dziewczica — bo nasze szczęście będzie także ich szczęściem! O, mój najdroższy, wszystkie minione cierpienia i dolegliwości nikną na samą myśl drogiej przyszłości naszej!

— Dlaczegoż o nich wspominać, kiedy już przeminęły i bodaj nigdy nie spotkały nas na drodze życia — rzekł młodzieniec wspierając się na pośłaniu.

— O nie lękaj się, czyż miłość nasza nie będzie nam osładzała drobnych utrapień.

— Drobnych?.. lecz gdyby wolą Boga było rozłączyć nas?

— O nie, my nigdy nie rozstaniemy się na ziemi, będziemy żyć w nieprzerwanem szczęściu!

— Nigdy... o nieprzerwane prawdziwe szczęście tylko w niebie, tak najdroższa, tam nie nam go nie przerwie, czuję, iż wkrótce pożegniam cię na czas jakiś, lecz tam znów się zobaczymy!

— Co mówisz, Jędrzeju, słowa twoje przerażają mnie, ty żyć będziesz, będziesz żył dla mnie, dla naszej miłości!..

— Tak, chciałbym, lecz nie moja wola — mówił przerywanym głosem młodzieniec — siły mnie opuszczają... ta chwila przytomności jest tylko zapewne ostatniem wysileniem!

I zwolna opuścił głowę na poduszkę.

— Jędrzeju, Jędrzeju, nie opuszczaj mnie tak prędko... teraz gdy już nie ma brakuje do szczęścia naszego!

— Bądź zdrowa, nie żałuj mnie... wkrótce znów się połączymy... na wieki!.. Pociesz ojca mego... bo on tak stary, słaby... potrzebuje pociechy... brat mój jeszcze mały...

— Nie, Jędrzeju, ja ciebie nie przeżyję! jeżeli umrzesz, umrzemy razem! nie chcę pozostać na ziemi

samą, opuszczoną!.. Jędrzeju, Jędrzeju, nie opuszczaj mnie!..

— Uspokój się, Juljo, wszak to rozstanie się będzie tak krótkiem, bo cóż jest kilka, lub kilkadziesiąt lat w porównaniu z wiecznością?.. taka wola Boga!.. o nie płacz, bo łzy twoje palą mi serce... o jakaż luba spokojność rozlewa się w duszy mojej... Boże, Boże, przyjm duszę moją!..

Julja wydała przytłumiony, bolesny jęk i ukryła oblicze w dłoniach, lecz chory uczynił błagalne poruszenie aby się uciszyła. Chwila ta była okropną i bolesną, lecz nie trwała długo, wkrótce młodzieniec rozwarł oczy — były osłupiałe, wydał ciężkie na wpół jęczące westchnienie i wyciągnął rękę do kochanki. Julja z przeraźliwym krzykiem rzuciła się na jego łono, konwulsyjnie objęła na wpół martwe ciało, gwałtownie przyciskała je do łona, pragnąc z swych ust wlać w niego jeszcze iskrę życia.

Wieśniacy obecni w chacie zbiegli się do łóża konającego, lecz nie zdołali go wydrzeć z objęć rozpaczającej dziewczycy. Julja kilka godzin zostawała w tym stanie, nareszcie wydała dziki, mocny krzyk — był to ostatni.

Oboje nie żyli!

ROZDZIAŁ XXIII.

Zakończenie.

List pułkownika Stanisława Potockiego, wojewodzica bractawskiego, do Stanisława Koniecpolskiego, wielkiego hetmana.

*Wielce miłościwy, Wielki Hetmanie
koronny Dobrodzieju!*

Aby dopełnić obowiązku, włożonego na mnie w wyszukaniu śladu syna waszego, muszę być zwiastunem przykrej wiadomości, która boleśnie zakrwawi rodzicielskie wasze serce.

Natychmiast po odebraniu waszego polecenia, rozesłałem ludzi w okolice drogi, prowadzącej z Kudaku do Misuryna, którzy przynieśli mi pewną wiadomość, iż pan Jędrzej przejeżdżał przez step około Tamakówki, iż widziano go przeprawiającego się przez Dniepr, a później udającego się ku Misurynowi, gdzie wszelki ślad jego zaginął.

Udałem się przeto do zamku Starosty międzyrzeckiego. Ach, j. w. Hetmanie, jakże smutnego i osobliwego obrzędu byłem tam świadkiem. Gdym wjeżdżał do twierdzy, jęklivy dzwon kaplicy rozrywał swym żalobnym głosem powietrze. Tłumy napelniały dziedziniec, w środku stało kilka młodych wieśniaczych par, w ślubnych ubiorach, lecz smętne ich postacie były w okropnej sprzeczności z tym strojem wesela.

Starościanka, Julja Śladkowska, mając oddać rękę kasztelanowi Białobrzeskiemu, uprosiła ojca, aby wszystkie młode dziewczęta w Misurynie, doznające jakichkolwiek przeszkód w połączeniu się z kochankami, wyposażył i wydał za mąż. Śladkowski wypełnił życzenie córki, szanując wolę tego anioła, który sam, nigdy nie doznając szczęścia, własnym kosztem przysparzał go innym.

Dzisiejszego poranku te pięć młodych dziewcząt ubranych w bieli, w wieńcu białych róż i cyprysu na głowie, przybyły, aby towarzyszyć trumnie do świątyni i odebrać ślubne błogosławieństwo wobec martwej swej dobrodziejki. I ja udałem się za niemi, przejęty jakimś mimowolnem wzruszeniem i rozrzewnieniem.

Lecz jakież niespodziany widok ukazał się moim oczom: na środku wielkiej sali ozdobnie ubranej, przysposobionej do wesela Julji, stały dwa katafalki — na jednym spoczywała starościanka, na drugim — wasz syn, hetmanie!..

O trudno określić stanu mej duszy w tej chwili. Boleść, zadziwienie i żal, opanowały mój umysł. Stałem jak martwy, lzy zaćmiły mi wzrok, serce się ściśnęło — obok trumny klęczał ojciec i brat Julji, pogrążeni w rozpacz. Na widok zimnych zwłok tych dwojga pełnych nadziei młodych ludzi, trudno nie dzielić powszechnego żalu.

O przyczynie niespodziewanej śmierci Jędrzeja, tyle zebrać zdołałem:

Kiedy po strasznym wybuchu, który wysadził w powietrze zbrojownię zamkową, obecni w Misurynie szukali ocalenia w ucieczce, starosta, pragnąc ratować córkę, pobiegł do jej komnaty, lecz była pustą, po długich poszukiwaniach, znaleziono Julję w chacie wieśniaczej na końcu wsi, martwą, obok ciała waszego syna.

Trudno domyśleć się powodu tak nagłego skonu dwojga tych młodych ludzi, tembardziej, że nie już nie było na przeszkodzie do ich szczęścia.

Wieśniacy tak mówią o tem strasznem i tajemniczem zdarzeniu:

W dzień, który był przeznaczony na wesele starościanki z kasztelanem, znaleziono waszego syna bez zmysłów na drodze, nikt go nie poznał. Przez trzy dni leżał młodzieniec w mocnej gorączce, kiedy nareszcie niewiadomo z kąd dowiedziała się o cierpiącym Julja, przybyła, aby nieść mu pomoc i będąc świadkiem jego skonu, sama wyzionęła ducha obok kochanka.

Takie zeznanie uczynili mi mieszkańcy chaty, gdzie umarło tych dwoje aniołów — więcej nic dowiedzieć się nie mogłem *).

W czasie tego okropnego wybuchu zginął Biały Grzegorz, ten straszny bandyta, który sam zapewne

*) Niesiecki tak pisze o familji Koniecpolskich: Stanisław Koniecpolski kasztelan Krakowski, hetman W. koronny, starosta Buski, Barski, Bytomski, Kowalski etc. syn Aleksandra wojewody Sieradzkiego, miał trzy żony — pierwszą Żółkiewską córkę kanclerza koronnego i hetmana wielkiego, z której miał syna Jędrzeja, lecz ten młodo umarł — drugą Krystynę Lubomirską, a ostatnią Zofią Opalińską — i t. d. Tom II karta 583.

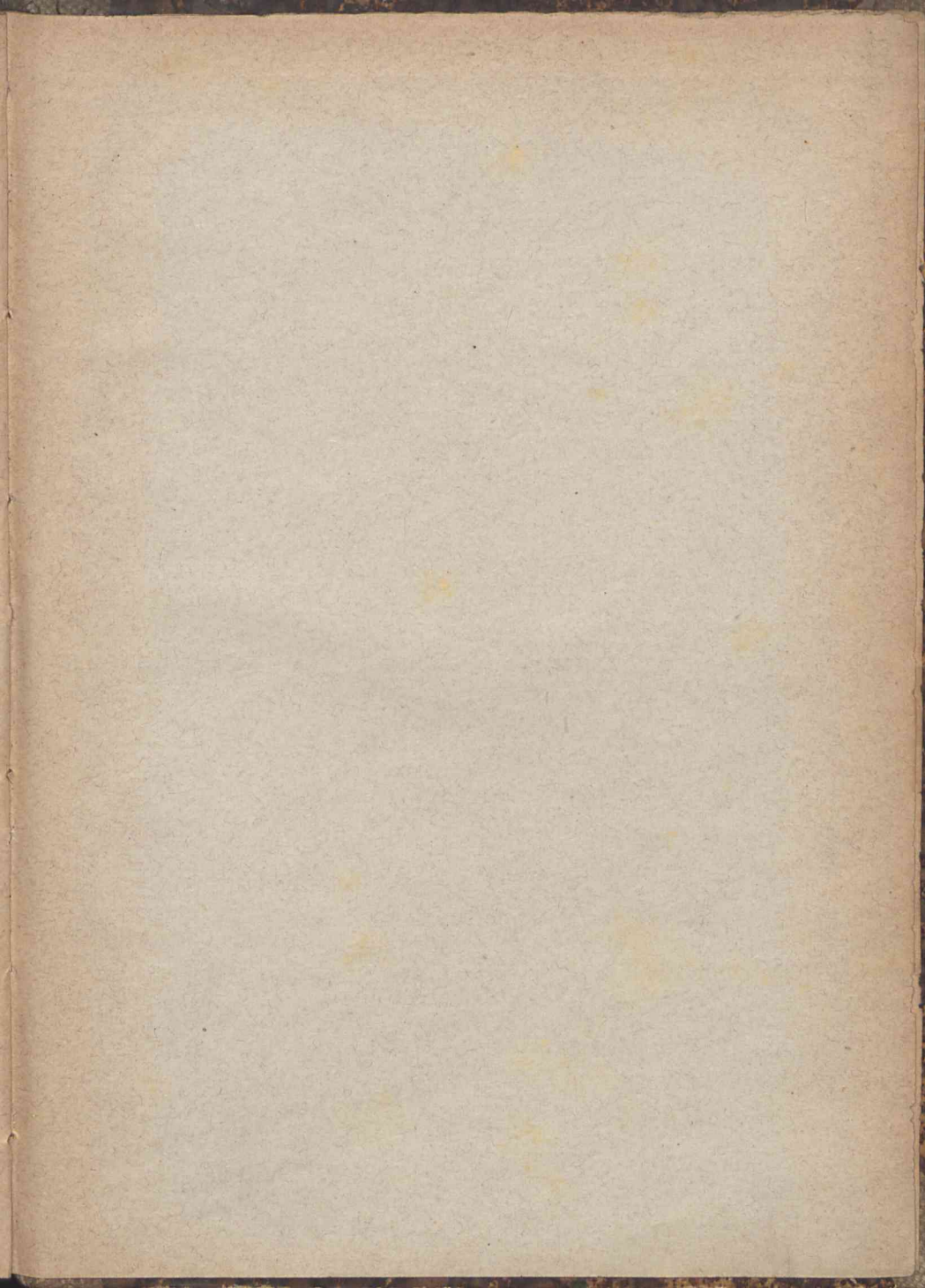
był powodem eksplozji i Marta stara żebraczka, która tego wieczoru, pragnąc wyręczyć dozorcę więźnia, poniosła mu posiłek.

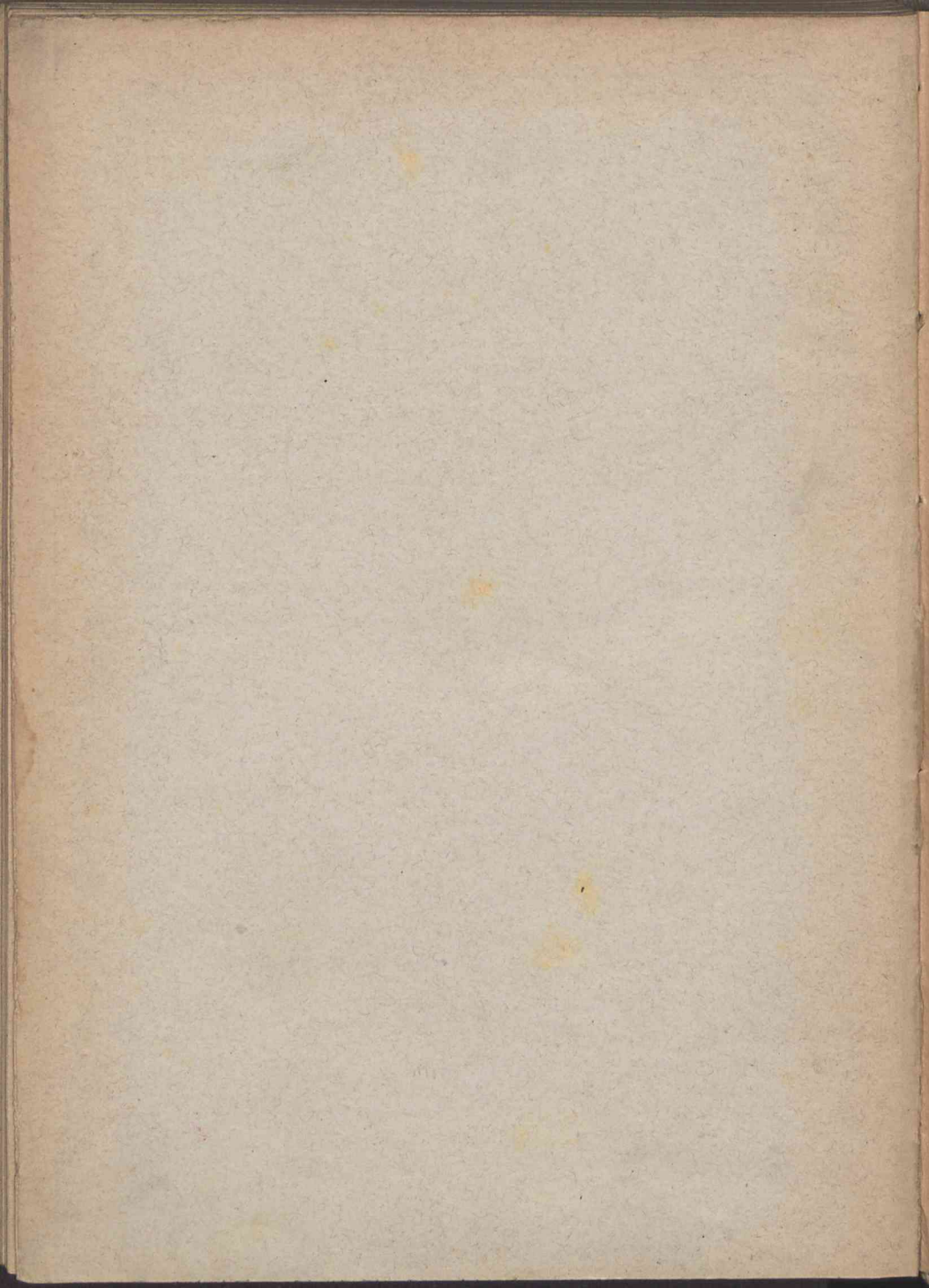
Białobrzeski ze swą córką, jej narzeczoną, siostrą i p. Janem Żółkiewskim, powrócili do Stajków, gdzie wkrótce mają się odbyć wesela tych dwóch szczęśliwych par.

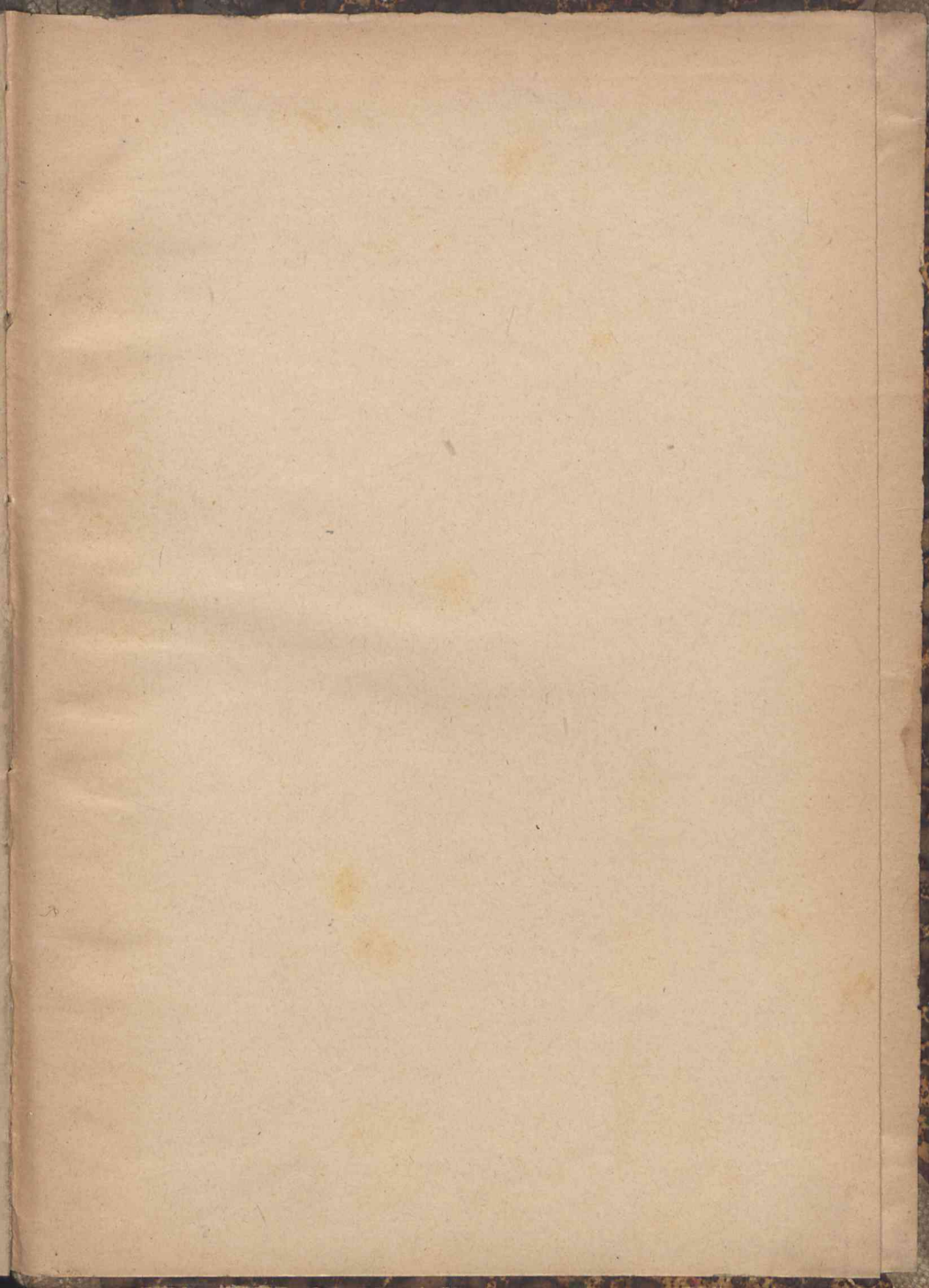
Śladkowski i jego syn są niepokieszeni po stracie Julji. Nieszczęsny starzec może utraci wkrótce i syna, bo Kazimierz mimo próśb ojca pragnie opuścić świat i zamknąć się nazawsze w klasztorze.

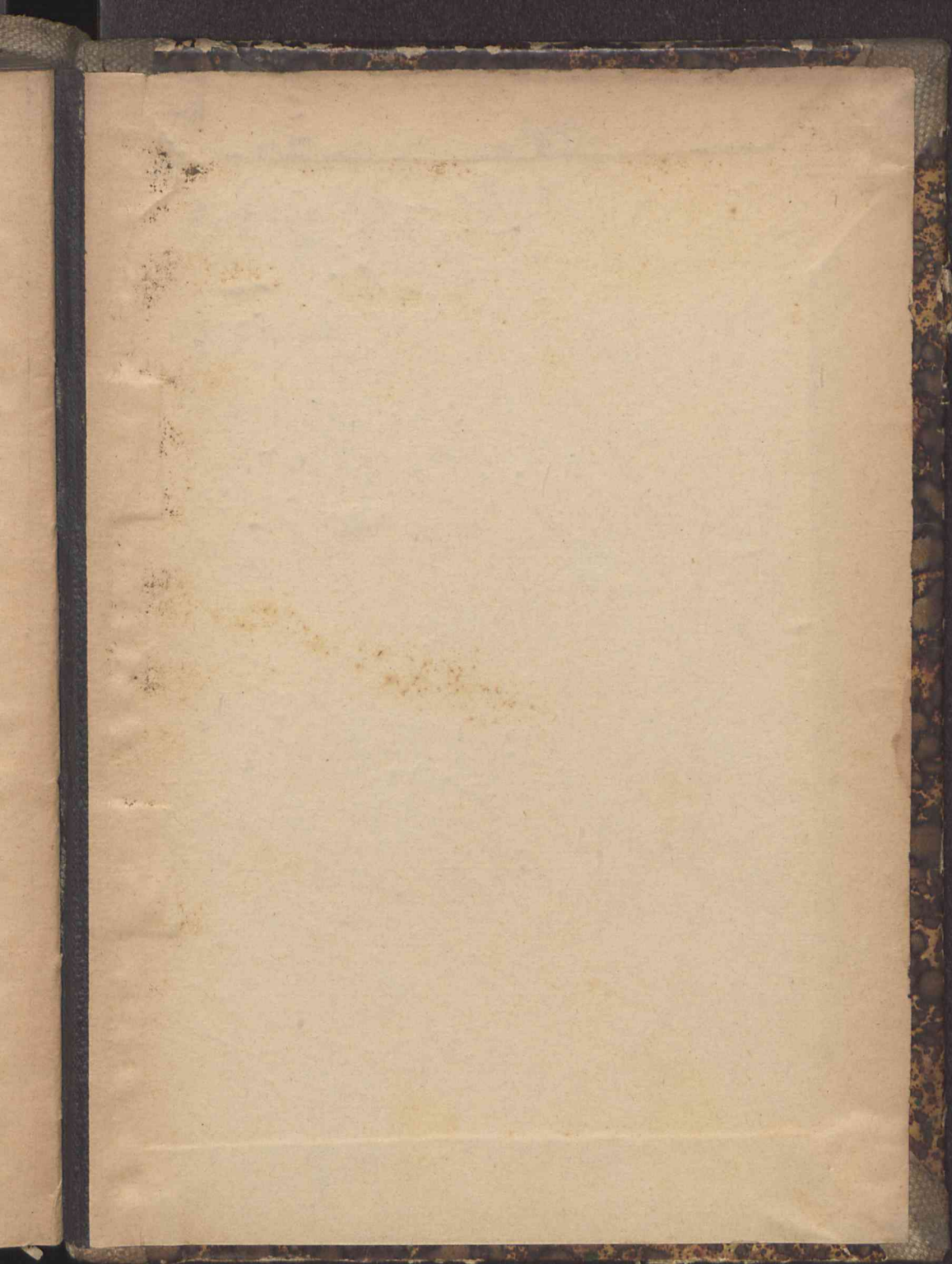
K O N I E C .











Dolnośląska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu



100275325